

EUGENIUSZ DEBSKI



cia
booty

FLASH
BACK

NOWE PRZYJĘCIE
DWA MAJ 2011

www.debski.art.pl

Eugeniusz Dębski

Yeates III Flash Back

Życie jest w zasadzie sprawą prostą,

to my sami komplikujemy je

poruszając się po nim krętymi drogami.

Godzinami mógłbym opowiadać o złośliwości telefonu. Zawsze, kiedy wygodnie rozpięram się w fotelu otoczony pracowicie rozłożonymi papierosami, termosem z kawą, zapalniczką, popielniczką, oszronioną szklanką z kostką lodu pływającego w jeziorcu whisky, kiedy włączam maszynę i zastanawiam się nad pierwszym słowem – odzywa się sygnał. Niemal nigdy nie udaje mi się poskromić swojej ciekawości – wstaję i rozpoczynam idiotyczną rozmowę o niczym z kimś mało ciekawym. Tym razem wytrzymałem tyle, że dopiero gdy skończyło się nagranie na dysk, podszedłem i posłuchałem, co ma mi do powiedzenia mój agent.

–Owen, wiem, że jesteś w domu. Masz sto minut do spotkania z Richmondem Markiem Guylordem. Gdybyś chciał sam przed sobą udawać ignorancję, to powiem ci, że jeśli zechce wyda twoje powieści w nakładzie dowolnym, – nawet kilku milionów. Nawet kilkunastu albo kilkudziesięciu. Tak więc obciąż swój gibki jęzor plasterkiem ołowiu i zbieraj się. AKME ma swoją siedzibę na placu Armstronga.

Sto minut. Jakob ma irytujący zwyczaj podawania odstępów czasowych w minutach, co zmusza rozmówcę do marszczenia brwi, przygryzania dolnej wargi i obliczeń. Za sto minut będziemy mieli drugą. Kilkanaście milionów... Wróciłem na fotel i wyłączyłem maszynę. Przyspieszyłem proces topienia lodu grzejąc szklankę w dłoniach, potem żał mi się zrobiło biednej kosteczki – szybko dopiłem whisky i dolałem świeżej. Dziewięćdziesiąt siedem minut czasu... Nie pójdę... Jakob mnie zabije. Pobiegnie z przeprosinami do Guylorda, będzie obrzucał mnie wyzwiskami, polewał strugami obelg, będzie się kajał i przepraszał. Albo jeszcze gorzej – powie, że jestem nieśmiały! Pójdę.

Najszybciej trzeźwieję w wannie. Zrobiłem sobie czterdziestominutowe leżenie z dwoma drinkami i pojechałem do AKME. Do Richmonda Marca Guylorda. Właściciela jednej z największych korporacji wydawniczych, największej sieci Express-Totka i mnóstwa innych największych rzeczy. Portier wystartował w moim kierunku z szybkością nieosiągalną dla wielu napastników futbolowych.

–Owen Yeates – powiedziałem. – Jestem...

Wyprostował się i zmienił wyraz twarzy w sposób nieosiągalny dla wielu mistrzów sceny.

–Pan Guylord przyjmie pana za siedem minut – przerwał mi, ale zrobił to w sposób niesłychanie elegancki nieosiągalny dla wielu żalonych autorów podręczników savoir-vivre'u.

Skinąłem głową i ruszyłem do wyjścia, eskortował mnie bezszelestnie, choć

miał na stopach pantofle na skórzanych podeszwach. W holu wysunął się nieco do przodu i wskazał fotel pod baldachimem z liści poliandra. Zapaliłem – smukła marmurowa popielniczka natychmiast podjechała do mnie i przywarowała obok dłoni z papierosem – i rozejrzałem się. Wsłuchałem się w stały, dyskretny szmer dolarów kapiących z każdego centymetra powierzchni, z każdego przedmiotu, z każdego uśmiechu personelu. Nawet gdybym przedtem wątpił w możliwość wydania moich powieści jednocześnie w kilkunastu językach i w milionowym nakładzie, to widok tego cichego agresywnego przepychu musiałby złamać i moje wątpliwości, tak jak codziennie łamał serca i dusze hardych biznesmenów, co to przysięgali sobie stawianie twardych warunków, a po chwili pobytu w holu na uginających się nogach wchodzili do gabinetu Guylorda, by z góry zgodzić się na wszystkie jego warunki.

Z korytarza wyłoniła się grupka Japończyków pilotowana przez rewelacyjnie zbudowaną brunetkę. Podstarzali Japończycy szli za nią wytrzeszczając oczy, a ich małżonki rozglądały się w poszukiwaniu miotacza płomieni albo przynajmniej duchownego, który odesłałby hostessę do najodpowiedniejszego dla niej miejsca, czyli do piekła. Ponieważ nic takiego nie wpadło im w ręce dziewczyna spokojnie zatrzymała się przy automacie Express-Totka.

–A tu macie państwo jeden z trzydziestoośmiomilionowej armii automatów do najpopularniejszej w stanach gry – Express-Totka. – powiedziała do podszczypujących ją spojrzeniami Japońców. – Zasady gry są proste: trzeba wytypować dowolny układ siedmiu cyfr z sześćdziesięciu i opłacić zakład gotówką lub czekiem. Losowanie wygrywającego zestawu liczb odbywa się co minutę, tak więc grający niemal natychmiast dowiaduje się, czy został milionerem, czy stracił swoje dziesięć centów. Tu... – wskazała smukłym palcem -...znajduje się ekran

wyświetlający aktualne stawki, można więc zagrać albo poczekać na większą pulę. Można również... – uśmiechnęła się, a wtedy moje serce na moment zastrajkowało, ale co tam serce – przysiągłbym, że popielniczka zwiotczała na swojej marmurowej nodze –...grać systemowo, z większą ilością typowanych liczb.

–Popatrzyła na bliskie eksplozji matrony made in Japan.

–Może zechce pani spróbować? – zaproponowała najbliższej. – Na koszt firmy, rzecz jasna. – Wrzuciła do szczeliny monetę i odsunęła się robiąc miejsce przy klawiaturze. Japonka chwilę się wahała, a potem krzywo się uśmiechnęła i postukała trzema palcami w klawiaturę. Automat potwierdził przyjęcie zakładu melodyjnym sygnałem, cała grupa zamarła, w niemal zupełnej ciszy czekaliśmy kilkadziesiąt sekund,

a potem automat wyświetlił wylosowany przez jakiś sekretny komputer zestaw liczb. Japonka poszerzyła nieco szczelinę uśmiechu i odsunęła się od klawiatury.

–A teraz może pani? – hostessa uśmiechnęła się do innej kobiety.

Sekundę przed tym uśmiechem zdążyłem zamknąć oczy, dzięki temu nie poderwałem się i nie wymordowałem ciosami karate całej wycieczki. Usłyszałem graną melodyjkę i zaraz potem triumfujący jazgot grupy. Otworzyłem oczy.

Automat pulsował feerią barw. Japończycy okazywali brak opanowania, hostessa uśmiechała się tak, że poliander zaczął wyciągać korzenie z gleby – miał zamiar przytulić brunetkę do swej szorstkiej kory. Automat rozćwierkał się całą serią triumfalnych melodyjek. Pójdiesz, durniu, na złom, pomyślałem.

–Siedemset czterdzieści dwa dolary i siedemnaście centów! – zawołała hostessa i niedbale oparła dłoń na obudowie automatu.

Oderwałem z wysiłkiem spojrzenia od jej melodyjnych kształtów i w tej samej chwili usłyszałem gdzieś spod sufitu:

–Pan Owen Yeates. Proszę wejść do windy numer cztery.

Popielniczka wciąż wgapiła się w piekielną przewodniczkę, przywołałem sprzęt do porządku wrzucając doń połowę papierosa i wszedłem do windy. Ruszyła natychmiast i wypuściła mnie dopiero w sekretariacie R.M. Guylorda. Sekretarka nie zrobiła na mnie większego wrażenia, była tylko śliczna, nic więcej. Uśmiechnęła się i poprowadziła w kierunku drzwi do gabinetu bossa. Musiał to być jeden z kilku gabinetów, bo nie przypuszczałem, by w takiej skromnej scenerii jeden z najbogatszych ludzi Układu Słonecznego rzucał na kolana innych możnych. Gdy otworzyły się drzwi, siedł już w moim kierunku z wyciągniętą dłonią i sympatycznym uśmiechem na twarzy.

–Ogromnie się cieszę, panie Yeates – powiedział i prawie mu uwierzyłem, że mówi prawdę. – Dziękuję, Barbaro – rzucił w przestrzeń za i ponad moim ramieniem, ściskając jednocześnie moją dłoń. – Nie odmówi pan kropelki koniaku? – zapytał wskazując ręką fotel.

–Ludzie nie rozpieszczają pana odmowami – powiedziałem. – Niby dlaczego ja mam podejmować takie ryzyko?

Powinien był rzucić teraz na mnie bystre przenikliwe spojrzenie pod tytułem „Nie wiedziałem, bracie, że jesteś taki lotny”, ale nie zrobił tego. Zdobył moją sympatię. Co prawda zdobywa ją każdy, kto częstuje mnie koniakiem z butelki, na której widnieją tylko trzy litery: AYO. Guylord uważnie przyjrzał się swojemu

kieliszкови i gestem zaproponował degustację.

–Panie Yeates – zaczął zaraz po przełknięciu pierwszej porcji. Spodobało mi się to zestawienie: moje nazwisko i najdroższy koniak świata. – Mam recenzje pana książek, wiem, że pierwsze wydania rozeszły się znakomicie, przeczytałem więc obie powieści. Zgadzam się z recenzentami, że od tej chwili określenie „czytadło” straciło swoje protekcyjno-negatywne zabarwienie. To jest właśnie to, co powinno się czytać w chwili zmęczenia, w podróży czy dla podniesienia ciśnienia. Jeśli zadowolą pana moje warunki wydam to w dużym nakładzie, naprawdę dużym. Nie to co K.A.W.

Cały czas bawił się swoim kieliszkiem, wpatrywał w powstające i gasnące zawirowania, ani razu nie oderwał spojrzenia i nie popatrzył na mnie. Przypominał mi w tej chwili Phila, stojącego przede mną i grzebiącego

czubkiem buta w dywanie, co niechybnie znaczyło, że za chwilę dojdzie do sedna opowieści, i nie spodziewa się pochwały... Łyknąłem trochę i z przyjemnością poczułem znowu przechodzący po skórze pleców dreszcz. Koniak z dreszczykiem!? Skoncentrowałem się na tym, co mówi Guylord.

–Sądzę, że pozostały już kwestie techniczne, które powinni omówić ze sobą pański agent i moi pracownicy... – Po raz pierwszy od dwóch minut podniósł wzrok od kieliszka i popatrzył na mnie. – Rozumiem, że pan wyraził zgodę, przychodząc tutaj?

Skinąłem głową.

–Znakomicie. – Uśmiechnął się, i zaraz spuścił wzrok, jakby chciał częścią tego uśmiechu obdarować AYO. – Cieszę się.

–Potrafi pan jeszcze cieszyć się z tak błahego powodu? Prychnął cichym śmiechem przez nos i energicznie opadł plecami na oparcie fotela. Miał śmieszny uśmiech – wargi mu drżały, jakby nie był zdecydowany, co zrobić: parsknąć głośnym śmiechem czy zgasić rehot w zarodku. Na chwilę z jego oczu wyparowało zmęczenie.

–Sam się sobie dziwię – powiedział chyba szczerze. – Ale tak. Każda udana transakcja cieszy mnie, niezależnie od przewidywanego zysku.

–A straty?

–Straty?... – powtórzył pytanie jakby szukał w sobie szczerzej odpowiedzi. – Chyba mnie specjalnie nie martwią...

–Zwłaszcza że strata siedmiuset czterdziestu dwóch dolarów i siedemnastu centów nie jest godna obciążania sobie nią pamięci...

Zmarszczył brwi i przekrzywił nieco głowę.

–Dlaczego wymienił pan akurat tę kwotę? Czy to ma jakieś znaczenie? – zapytał.

–Tyle sprezentował pański automat do Express-Totka jakiejś Japonce. Tu na dole... – wskazałem kciukiem podłogę.

Guylord roześmiał się szczerze.

–Zauważył pan to? Cha, cha! Drobnym upominek. Nie wypada dawać pewnym gościom tak nieznacznych prezentów, ale jeśli sami oskubią mnie z tysiąca czy dwóch, to nie dość, że cieszą się okropnie lecz jeszcze czują coś na kształt litości do mnie. Dużo łatwiej z nimi później rozmawiać...

–Papilarny dekonsor na obudowie? – zainteresowałem się.

–Tak. Kilka upoważnionych hostess może sterować wygranymi. Ale będę musiał zająć się tą sprawą – skoro pan zauważył...

–No i przez nieposkromioną próżność wkopałem dziewczynę... – pokiwałem głową z wyrzutem skierowanym do samego siebie.

–W takim razie kasuję swoje słowa. – Odstawił kieliszek i natychmiast chwycił leżący na stoliku metalowy termopis. Już po pół sekundzie rozjarzyło się oczko sygnalizujące gotowość do pisania. Albo Guylord miał gorączkę, albo termopis miał wysoką częstotliwość. Richmond Marc opadł na oparcie fotela i kilka razy podrzucił termopis, tak że ten wykonywał w powietrzu obrót i lądował w podstawionych palcach. Patrzył mi przy tym w oczy i przygotowywał się do najtrudniejszej części rozmowy. Wiedziałem już mniej więcej, o co może mu chodzić.

–Mam też do pana drugą sprawę... Widzę, że już się pan tego domyślił. – Nerwowo podrzucił termopis i zręcznie go złapał. – Potrzebuję pana również w innym charakterze...

–A honoraria za książki są tylko formą zamaskowanej opłaty za te inne usługi. – Przerwałem mu wściekły na siebie i Jakoba.

–Ależ nie! To zupełnie niezależne od siebie sprawy! To czysty przypadek, że obie pańskie profesje interesują

mnie w jednakowym stopniu.

–Wycofałem się z jednej z nich – powiedziałem i zanurzyłem nos w kieliszku.

–To wiem, ale odzyskanie pańskiej licencji nie sprawi kłopotu ani panu, ani mnie.

–Być może ma ją pan nawet gdzieś tu w biurku czy w kieszeni. – Odstawiłem kieliszek i zapaliłem papierosa. Po sekundzie ze stolika wysunęła się popielniczka, a represer podwoił wysiłki; smużka dymu, szarpnęła się i pognęła w górę polykana

przez potężny bezszmerowy wyciąg. – Niczego to jednak nie zmienia, jestem detektywem na emeryturze. Aktualnie rozwiązuję zagadki tylko na papierze. To jest wygodniejsze, bezpieczniejsze i bardziej dochodowe. Mogę w nich występować w roli supermena, mogę mieć przygody z najpiękniejszymi dziewczynami. Mogę wszystko, niemal jak pan... **A! Właśnie, chyba stać pana na stado o wiele efektywniejszych ode mnie detektywów?**

Guylord, nie przerywając podrzucania i zręcznego chwytania termopisu, westchnął i zacisnął wargi.

–Wiem sporo o panu, nawet nie z powieści. Zastanawiałem się nad pańską kandydaturą i nad innymi również, ale tylko pan ma ten zestaw cech, który czyni z człowieka detektywa. Ma pan dar wyczuwania fałszu, jest pan odważny, ostrożny, konsekwentny, słowny i tak dalej. Mnie nie jest potrzebny pistolet czy ekranowy zgorzkniały pechowiec. Potrzebuję kogoś, kto wie co to jest paludologia i potrafi strzelać, koniecznie musi to być mieszanka refleksu z inteligencją.

–W mojej opinii z wojska... – wtrąciłem się, ale natychmiast mi przerwał:

–Ostrzegano mnie również, że jest pan złośliwy. Nie szkodzi. Inne pana cechy, jak nikogo innego, predestynują do wykonania...

–Nie, nie! – tym razem przerwałem ja. – Wprowadzono pana w błąd, panie Guylord. Nie ma innych takich cech. – Wrzuciłem papierosa do popielniczki i poderwałem się z fotela. – Ma pan rację mówiąc, że inne, czysto techniczne sprawy mogą omówić między sobą pracownicy. My już wszystko sobie wyjaśniliśmy. Naprawdę jestem niezwykle wdzięczny za AYO, zaiste boski napój. Muszę uciekać, póki dysponuję jeszcze resztkami swojej słabej silnej woli.

Guylord przez całą moją perorę wpatrywał się we mnie zmrużonymi oczami. Teraz wolno pochylił się i wstał, odkładając termopis na stolik. Pokręcił głową ni to podziwiając moją silną wolę, ni to w zadumie nad moją głupotą. Wyciągnął dłoń.

–Szkoda – powiedział. – Wydawało mi się, że jest to wymarzona dla pana sprawa i mógłby ją pan rozwiązać w ulubiony sposób. Trudno. – Nieco sztucznie uśmiechnął się i rozłożył ręce.

Równie fałszywie przepaszając uśmiechnąłem się i ja, po czym wyszedłem. W windzie uprzytomniłem sobie, że Guylord ani razu nie wspominał o pieniądzach, – musiał rzeczywiście zebrać sporo informacji o eksdetektywie O.Y. Szybko stłumiłem eksplozję ciekawości, która mogła mnie rzucić w jakąś awanturę, i wsiałem do oczekującej mnie clayetty. Ukochany samochodziak Pymy dowiózł mnie, co prawda, do

domu, ale – jak zwykle – jazda nim nie sprawiła mi żadnej przyjemności. Półśrodek lokomocji i tyle.

W livingu włączyłem cichą muzykę i z papierosem w ustach zwałem się na kanapę. Usiłowałem zastanowić się nad konspektem nowej książki, ale uparty mózg, wykazując się dużym procentem niezależności, wracał do rozmowy z wydawniczym i innym gigantem.

Od czasu kiedy zwróciłem swoją licencję, czyli od niemal dwu lat był moim pierwszym poważnym potencjalnym klientem i musiałem przyznać w duchu, że bez większego wysiłku niemal zdruzgotał moje barykady i posiał ziarno zwątpienia w słuszność obranej drogi. Musiałem też sam przed sobą przyznać, a chwila sprzyjała autoanalizie – Pyma z Philem i Tebą wybrali się po zakupy – że pisanie książek dla, jak to określiło kilku krytyków, mniej wyrobionych, niewyrobionych czy wręcz infantylnych czytelników bawiło mnie przez pierwszy rok. A ostatnio coraz częściej wdycham do dobrych kiepskich starych czasów. I teraz ta rozmowa... Propozycja wykazała, że podświadomość tylko czekała na sprzyjający moment. Zgasłem papierosa i zagnałem tę podświadomość głęboko pod świadomość. Następne pół godziny wypełniła mi krzątania wśród sprzętów i garnków, ale boeuf Strogonoff nie był w stanie zagłuszyć telepiących mną wątpliwości. Zostawiłem garnek z gotowym wołem na utrzymującej

temperaturę płycie i wróciłem do livingu.

Na kanapie, tyłem do mnie siedział jakiś mężczyzna. Niepotrzebnie puściłem psa z Pymą, ale za późno było na samokrytykę. – Zrobiłem krok i zatrzymałem się. Poznałem siedzącego mężczyznę, a poza tym ktoś bezszelestnie wsunął się za moje plecy, poczułem to, gdy leciutki powiew powietrza musnął mi włosy na karku. Stałem nieruchomo. Mężczyzna z kanapy odwrócił się i popatrzył na mnie. Wyglądał nieco inaczej niż w Touhy, tam był wściekły, niemal szalony. Tu siedział dystyngowany pan w średnim wieku i tylko wprawne albo nieufne oko mogło dostrzec, że skórę i rysy twarzy zastąpiła maska z cieniuchnej syntskóry. Tak się aktualnie prezentował Ian Honeycomb, szef Iron Knife, arbitrażu jedyne i nadrzędne, arbitrażu największych syndykatów gangsterskich. Stawiało go to na równi albo nawet kapinkę wyżej od tychże syndykatów. W tym większy stupor wprawiała mnie jego obecność w moim domu. Widzieliśmy się raz; przeżyłem to widzenie, które trwało kilka minut... Uroczych trzysta czy pięćset sekund, podczas których mogłem umrzeć trzysta czy pięćset razy. Cicho wypuściłem powietrze z płuc.

–Przepraszam za to wtargnięcie do pańskiego domu – powiedział Honeycomb.

–Nie mogłem jednak stać zbyt długo pod drzwiami. Jeszcze raz przepraszam – popatrzył gdzieś za moje plecy. – W porządku, Cyd. Poczekaj na mnie w wozie.

Nie patrzyłem na wychodzącego Cyda, podszedłem do barku i stuknąłem w jego pokrywę.

–Napije się pan czegoś? – zapytałem nie patrząc na Honeycomba. – Może...

–Nie, dziękuję – przerwał mi. – Nie bawmy się w kurtuazję. Obaj jesteśmy świadomi, że nie wpadłem tu na pogawędkę w przyjacielskim tonie.

Po sekundzie wahania zamknąłem pokrywę i pozostawiając nieutulony w żalu barek, usiadłem w fotelu naprzeciwko gościa. Patrzyłem w jego oczy i usiłowałem określić typ uczuć, jakie do niego żywiłem, ale wychodziło mi ciągle, że jest mi po prostu obojętny, I tak nieźle jak na jednego z cesarzy podziemia.

–Mam dla pana robotę, panie Yates.

Zrobił przerwę i jeszcze uważniej wpatrzył się we mnie. Wzruszyłem ramionami. Honeycomb sięgnął do kieszeni i wyjął prostokąt trapuglanu z wtopioną licencją detektywa Oparł dłoń o stolik i zakręcił prostokątem w palcach.

–Potrzebny mi jest detektyw... – powiedział. – Może to brzmi śmiesznie... – Teraz z kolei on wzruszył ramionami. Obracana w palcach licencja regularnie uderzała rogiem o blat stołu wydając ciche plastikowe pyknięcie. Zwalczyłem w sobie chęć zerknięcia na dobrze znane mi zdjęcie, dopiero piątą wersję komputer uznał za wystarczająco podobną do oryginału. Może dlatego uważałem, że moją licencją może posługiwać się dowolny obywatel kraju. – Nie śmieje się pan? – zapytał. Pokręciłem głową. – Dziwne... – powiedział do siebie. – Sam się śmiałem: mogę rzucić do boju kilka tysięcy różnego rodzaju kozaków, a jednocześnie mam głębokie przeświadczenie, że to nie wystarczy.

Poczułem, że gdzieś z tyłu nadleciał mały cienki pocisk i wwiercił się w moją czaszkę, niemal natychmiast bezgłośnie eksplodując. Coś się przetarło w mojej głowie po tym wybuchu.

–I dlatego zgłasza się pan, właśnie pan, do byłego detektywa o miernych kwalifikacjach – to może poświadczyć kilkuset policjantów w naszym okręgu – z przeciętnymi wynikami, o kiepskim stanie zdrowia i fatalnych manierach... – pan ma szczęście i olbrzymią masę intuicji, Yeates – Powiedział poważnie. Prostokącik licencji wyskoczył z jego dłoni, wykonał kilka obrotów w powietrzu i posłusznie wrócił na miejsce.

Ołśniło mnie:

–I na dodatek mam w domu komp. – Zerwałem się z fotela i podszedłem do klawiatury. Postukałem w nią i odwróciłem ekran w stronę Honeycomba. – I dlatego wiem, że... Proszę... – Wskazałem palcem napis na ekranie: - ...

»Paludologia«, z języka łacińskiego „paludes” bagna – dział hydrografii dotyczący bagien. Stąd np. „paludyzm” gorączka błotna, malaria, choroba występująca na kuli ziemskiej do połowy XX wieku” – przeczytałem. – Nie ma pan kompa, Guylord?

Guylord Honeycomb długą chwilę patrzył na mnie a potem uśmiechnął się. Wróciłem do fotela i usiadłem, a on pokręcił głową i westchnął.

–Panie Yeates, no niech pan sam powie, jak mam zrezygnować z zamiaru zaangażowania pana? Już pan wykrył więcej niż ktokolwiek wcześniej. Muszę pana mieć...

Zacisnąłem zęby – to ostatnie zdanie zabrzmiało nieco inaczej niż wszystko, co powiedziane było wcześniej. Zesztywniał mi kark.

–Sądzę... – musiałem odchrząknąć, trzeba było to zrobić wcześniej, chrypa zdradziła moje zdenerwowanie -...że od tej chwili powinienem pana słuchać uważniej?

–Wcale nie. Mam nadzieję, że jest pan wystarczająco zaintrygowany...

–Jestem – przyznałem. – Ale jednocześnie mam twarde postanowienie dotrzymać danego samemu sobie słowa.

Guylord odetchnął głęboko. Poczułem, że za chwilę padną słowa najważniejsze w naszej rozmowie.

–Panie Yeates, musi pan wziąć tę robotę. Nie mam wyboru, muszę pana mieć. Dostanie pan wynagrodzenie, o jakim marzy kilku milionerów w naszym kraju, dostanie pan nieograniczoną pomoc, o ile zażąda jej pan, dostaje pan sprawę absolutnie w pana stylu... – zawiesił głos.

–Niech pan skończy – zażądałem.

–I gwarancję, że pańskiej żonie i synowi nie spadnie z głowy przysłowiowy włos.

–I tu dochodzimy do sedna – odetchnąłem. Poczułem się lepiej, gdy padły te słowa. – Jeśli się nie zgodzę, to pańscy kozacy, niezdolni do jakiejś rewelacyjnej sprawy, okażą się akurat kompetentni do porwania kobiety i dziecka. Dobrze mówię, panie Guylord?

–; Muszę pana mieć... – oświadczył po raz trzeci tego wieczora.

–Dobrze. Nie mam argumentów. Biorę tę pana sprawę. Gdzie jest Pyma i Phil?

–Z tego co wiem, to wracają właśnie do domu – powiedział spokojnie. – Chyba pan nie myśli, że trzymam ich gdzieś w piwnicy?

–Oczywiście, że nie. Może pan to zrobić w każdej chwili. Nie odpowiedział. Ale nie musiał.

–No więc, jak powiedziałem, biorę. Jednocześnie ostrzegam...

–Tylko bez pogroźek, panie Yeates. Po co? Rozwiąże pan tę sprawę, a potem możemy bawić się w wojnę. Jeśli będzie się nam chciało. Ale to potem. Na razie zapraszam pana na Gołębią Wyspę. Może pan zabrać rodzinę, gwarantuję wspaniałe wakacje.

–Nie, dziękuję. Wolę żeby nic się nie zmieniło w ich życiu. Zupełnie nic – zakończyłem z naciskiem.

Wzruszył ramionami i skinął głową, potem wstał i podszedł do mnie. Wstałem również.

–Proszę mi wierzyć – wcale nie miałem zamiaru wywierać na pana nacisku. Miałem nadzieję, że uda mi się pana zaangażować w inny sposób. Naprawdę jest mi przykro. Liczę na wybaczenie i zmianę stosunku do – mnie.

Nie zaryzykował podania mi ręki, wyminął mnie i skierował się do drzwi. Dotknął klamki i odwrócił się.

–Gdy będzie pan gotów, proszę zadzwonić do AKME. Po trzech godzinach będzie pan w mojej posiadłości. Nazywa się Veina.

–Dobrze. Może jutro. Tylko... Wolałbym wiedzieć co mam zrobić. Co się stało?

–Właśnie o to chodzi! – Pozwolił sobie na lekki uśmiech. – Chodzi o to, co się nie stało...

Skinął głową i wyszedł.

Nawet nie popatrzył na mnie. A trzeba było. Bo właśnie w tym momencie naprawdę mnie zaangażował. Rozejrzałem się po livingu.

–Paludologia... – powiedziałem do siebie. – Nauka o bagnach. Życie nie jest już takie samo, gdy się wie takie rzeczy...

Usłyszałem czyjś chichot. To ja chichotałem. Usiłowałem wzbudzić w sobie przynajmniej niechęć do Honeycomba-Guylorda, ale w głębi duszy cieszyłem się. Prawdę mówiąc, życie pisarza okazało się dość nudne. A honoraria i poklask nikłe,

albo bliskie temu.

Pogodę mieliśmy wspaniałą, dzień – jeden z tych, o których mówi się „Co za piękny dzień!”, morze pod nami utrzymane w tonacji ciemnozielonej, zdrowe, chłodne, gładkie, jakby rozsmarowała je na olbrzymiej kromce miękką dłoń Pana Boga. Pilot w roztargnieniu patrzył przed siebie poruszając lekko głową w rytm miękko pulsującej w znakomicie wytłumionej kabinie muzyki. Sięgnąłem do termosu, wstrzeliłem do swojej szklanki dwie kostki lodu i polałem odrobiną whisky. Pilot zerknął na mnie, szeroko się uśmiechając.

–Pogodę będzie pan miał jak rzadko – powiedział. – Chociaż tutaj zawsze jest pogoda – uzupełnił wesoło.

–Inaczej byśmy tu nie lecieli...

–A pewnie! Nie po to...

–Golf Echo BC! – wdarł się do kabiny równy głos końcówki werbalnej. Golf Echo BC!

Pilot sięgnął ręką do pulpitu i dotknął palcem jednego z kilkunastu przycisków.

–Beta BC... – rzucił w kierunku szyby. – Zgłaszam podejście. Czas do lądowania siedem – czterdzieści pięć.

–Golf Echo BC. Proszę przyłożyć dłonie do dekonsora.

–Beta BC... Wykonuję. – Pilot wzruszył przepaszająco ramionami i wskazał brodą płytkę dekonsora. Po raz drugi tego dnia podpisałem się swoimi liniami papilarnymi i nie czekając na polecenie pozwoliłem kamerze sfotografować siatkówkę oka. Identyczna procedura poprzedzała dwie godziny temu wejście na pokład latającej salonki Guylorda. Pilot postąpił tak samo jak ja.

–Golf Echo BC. Korytarz osiem – dwa – cztery. Czas siedem – zero – zero.

–Dziękuję Beta BC – rzucił pilot zupełnie naturalnie, jakby rozmawiał z człowiekiem. – Wykonuję.

Wyłączył samoster i przyspieszył nieco, wykorzystałem wbijającą mnie w fotel bezwładność osuszając do końca szklaneczkę. Dwie kosteczki lodu, już nie tak kanciaste jak przed chwilą, brzęknęły słabo, gdy odstawiłem szklankę do gniazda nad barkiem. Wschodni koniec wyspy, ku któremu się kierowaliśmy, wsunął się już pod dziób naszego pioniera. Wyglądał jak szczyt kraba albo przyciężkawy księżyc gdzieś między nowiem a pełnią, albo sierp. Veina to głęboka zatoka, niezbyt szeroki pas ziemi obejmujący ją i wąskie pasmo grobli łączącej ten sierp-księżyc-kleszcze z o

wiele większą pozostałą częścią wyspy. Od strony zatoki plaża kusiała wspaniałym, niemal białym piaskiem, od zewnętrznej strony brzeg wyglądał raczej jak nieświeży lukier na wierzchu rogala – ciemne plamy kamienistych odcisków przeplatały się z jaśniejszymi, piaszczystymi skrawkami. Na ostrzu sierpa, grubszej części kleszczy, widniała ścięta piramida sporego budynku pomalowanego na jasny brąz z lustrzanymi szybami strzelającymi we wszystkie strony jaskrawymi słonecznymi spojrzeniami.

–Sporo miejsca do kąpieli – powiedziałem.

–Jasne, ale nie radziłbym podpływać do zewnętrznych plaż – wesoło ostrzegł mnie pilot.

–Jak również podchodzić do lądowania nie wyznaczonym korytarzem.

–Co kto lubi... – parsknął cichym śmiechem nie odrywając spojrzenia od celownika, w którym cyrkowo utrzymywał

cztery zera. – Wolałbym już skok z wieży w Syracuse.

Pionier łagodnie skręcił w lewo, posłuszny pulsującym zerom zawisnął na pół sekundy nieruchomo i miękko osiadł na murawie lotniska. Pilot kilkoma pstryknięciami wyłączył silnik i systemy pokładowe, a potem wstał z fotela i szybko ruszył do wyjścia. Podniosłem się i ja.

–Proszę stanąć na tej płycie i zatrzymać się na kilka sekund. Wystarczy trzy – cztery, ale ja zawsze stoję dwa razy dłużej.

–Tak? – Wlazłem na miękki dywanik i pokiwałem się na stopach.

–Jak pan zobaczy pieski, to podziękuje mi. Dwa bloodhoundy, doberman szybszy od błyskawicy i Nabuchodonozor, który tylko dlatego nie znalazł się w księdze rekordów Guinnessa, że nikt go tam nie zgłosił. Zaraz je pan zobaczy.

Stałem cierpliwie na dywaniku, który nasączył moje obuwie zapachem mającym zapewnić mi bezpieczeństwo w raju Guylorda. Butler zatrzymał się trzy kroki przed schodami i skłonił głowę.

–Dzień dobry panu – powiedział uprzejmie. – Może pan zejść, już wołam psy. Muszą pana poznać – przycisnął prawą dłoń do piersi. Myślałem, że powie: „Ave, Caesar”, ale uruchomił tylko nadajnik. Zerknąłem na pilota, pożegnałem go mrugnięciem oka i zszedłem na murawę.

Za budynku wyłonił się wąski ciemnobrązowy pocisk i gnał w naszym kierunku wyrzucając swoje ciało w przód i podciągając je po trzech sekundach lotu, niemal szybował z niesłychaną gracją, a połykał przestrzeń żarłocznie jak nieokrzesany gourmand pasztet z Clichot. Kilka metrów przed nami zatoczył ostry łuk i bokiem

ustawił się w kierunku mojej osoby.

–Widziałeś? – zawołał z tyłu podniecony pilot. – Nie pędzi na wprost, bo musiałby hamować w niewygodnej pozycji! Co za cwaniak!

–To jest Bolto – powiedział butler. – Już pana zna...

Bolto mrugnął oczami i popatrzył na butlera. Musiał znaleźć w jego oku przyzwolenie, bo odwrócił się i wolno poszedł w kierunku cienia pod rozłożystą sosną. Nieznany mi nijaki mężczyzna podszedł do flyera.

–To Saba i Serwo – butler wyciągnął ramię i wskazał coś po mojej prawej ręce.

Gnały do nas dwa wspaniałe bloodhoundy, pocieszny widok, jeśli nie jest się celem, do którego dążą piękne pieski w skórach za dużych o półtora numeru. Marszczyły im się łby, uszy fruwały wokół głowy, uderzały w szyje, niemal przeszkadzały w biegu, ale i tak nie próbowałbym wyścigu z nimi. Co prawda Bolto mógłby obiegać je w koło i jeszcze wygrałby dowolny wyścig na dowolnym dystansie. Saba i Serwo, a może Serwo i Saba rozdzieliły się tuż przed wyhamowaniem. Ustawiły się na wprost moich rąk, każdy wziął na siebie jedną i hałaśliwie, zupełnie inaczej niż gentleman Bolto, wciągnęły powietrze w nozdrza. Potem oba podeszły bliżej i podstawy głowy pod moje dłonie. Pogłaskałem je za uszami i rozejrzałem się dyskretnie. Gdzieś w pobliżu musiał być ten Nabuchodonozor. Złapałem spojrzenie butlera i popatrzyłem przez ramię. Było to bardzo potrzebne doświadczenie, wreszcie zrozumiałem, co naprawdę znaczy słowo „skamienie”. Potwór, który stał jakieś cztery metry ode mnie, miał wzrost i wagę irlandzkiego kucyka. O ile bywają takie duże kucyki! Na pewno zaś nie ma tak długich. Łeb miał podobny do muzealnego okazu szefa bizoniego stada, i prawie tak samo żywe spojrzenie. Patrzył gdzieś obok nas, nie trudził się obwąchiwaniem mnie, a może zrobił to wcześniej? Raczej skłonny byłem przypuszczać, że polega na swoim ogromie. Zmusiłem się do oderwania spojrzenia od mastiffa, pomogły mi w tym Serwo i Saba niecierpliwie podrzucając łby. Podrapałem je raz jeszcze, jednocześnie zastanawiając się, czy lubią takie rozdygotane dłonie na swoich łbach.

–No dobrze – powiedziałem do butlera. – Będę grzeczny. Coś jeszcze?

–Proszę – Usunął się z nie istniejącej na kobiercu z trawy ścieżki i wskazał mi ręką dom. – Bagaż za chwilę będzie w pańskim pokoju.

Zrobiłem dwa kroki w asyście nowych przyjaciół i obejrzałem się do tyłu. Nabuchodonozor stał nieruchomo,

ciężkim spojrzeniem przebijając sklepienie niebios.

Butler ruszył zaraz za mną, dogonił mnie i szedł po mojej lewej ręce. Gdy zerknąłem nań nieznacznie, przechwycił czujnie mój wzrok i pozwolił sobie na leciutki uśmiech.

–Robi wrażenie?...

–Widziałem już większe konie – powiedziałem. – Aportuje? A co? deski do surfingu czy podkłady kolejowe?

–Raz przyniósł wścibskiego dziennikarza.

Znudził mnie ten psi temat, nie zwalniając pochyliłem się i poklepałem bloodhoundy po łopatkach.

–No, chłopcy i dziewczynki! Uciekajcie!... Natychmiast runęły do przodu, na ćwierć sekundy zostawiając za sobą skórę; jak na animowanym filmie dogoniła je dopiero po pierwszym kroku.

–Rozumiem, że był to wstęp do wykładu o zachowaniu w Veinie? – powiedziałem kwaśno. – Streść mi szybko pozostałe siedemdziesiąt dwa punkty...

–Nie przedstawiłem się, przepraszam. Proszę mówić do mnie Newell. A co do ograniczeń to nie ma tu absolutnie żadnych. Przynajmniej dotyczących pana.

Sięgnął do kieszeni na piersi marynarki i wyjął mały koralik na krótkiej szpilce. Podał mi go w marszu.

–Wszystko tu jest – wyjaśnił. – Może pan korzystać z dowolnego pojazdu, otwiera bramę i załatwia sprawy w banku na tamtej części wyspy – wskazał dłonią za siebie, gdzie musiała znajdować się „tamta strona wyspy”. Weszliśmy w cień rzucany przez budynek. Z tyłu dogonił nas wysoki wizg rozrusznika pioniera przechodzący w dostojne buczenie niezawodnego silnika. W ogromnej szybie zobaczyłem odbicie Nabuchodonozora: obejrzał się leniwie, chwilę trwał nieruchomo patrząc na flyer – widocznie rezygnując z przytrzymania łapą zabawki – dostojnie odsunął się o cztery czy pięć kroków, zwałił ciężko na trawę i ignorując potężne strumienie powietrza, ułożył do drzemki w pełnym słońcu. Prawie na pewno był największym psem na kuli ziemskiej, ale na pewno był najlepszym psim aktorem na tejże. Newell zwolnił nieco, jednocześnie wskazując kierunek ręką.

–Tędy dostanie się pan do swojego pokoju niezależnym korytarzem – powiedział. – Drzwi otwiera tylko quide – Pokazał palcem na moją dłoń, w której zaciskałem otrzymany przed chwilą koralik.

–Tylko?

–Tylko – powtórzył z mocą.

Jakby intonacja mogła mnie do czegokolwiek przekonać! Wsunąłem koralik do

kasetki w bransolecie zegarka i podszedłem do drzwi. Nie otworzyły się. Stuknąłem w nie palcem.

–Coś jeszcze? – odwróciłem się do Newella.

–Własne hasło – wskazał mikrofon, wystającą ze ściany płytkę cal na cal. – Drugie drzwi, prowadzące na ogólny korytarz, mają standardowy dekonsor. Gdyby pan czegoś potrzebował, proszę mnie wezwać. Za półtorej godziny będzie tu pan Guylord. W tej chwili jest tu tylko panna Tada Ventham. Ostatnio widziałem ją na plaży.

Odwrócił się na pięcie, zamierzając odejść.

–Hej! – zatrzymałem go. – A jeśli zmienię obuwie? Pieski zdejmą mi je z nóg razem ze stopami?

–Przepraszam, nie wyjaśniłem problemu do końca. Wystarczy zrobić krok po jakimkolwiek pomieszczeniu domu, to wystarczy.

Zrobił ze mnie durnia, as kuty! Mruknąłem powątpiewająco:

–Czy to na pewno niezawodna metoda?

–W każdym razie lepszej nie ma – uspokoił mnie i odczekawszy chwilę z pytająco przekrzywioną głową, pochylił ją w lekkim ukłonie i zniknął za rogiem domu.

Nacisnąłem przycisk na ścianie i powiedziałem:

–Banał.

Wsunęły się w ścianę nadspodziewanie raźnie. Wszedłem do kabiny windy, a po trzech sekundach jazdy lustrowałem swoje nowe mieszkanie. Stałem w części livingu oddzielonej od reszty ścianką, drzwi na „ogólny”, jak powiedział Newell, korytarz były tuż obok. Za ścianką rozpościerał się spory pokój z esowatą kanapą i niemal tak samo dużym barkiem. Cztery masywne fotele i dwa lekkie krzeselka. Wall Street, czyli ogromny odbiornik TV, dwa utrzymane w kolorystyce wnętrza obrazy i jedna kompozycja przestrzenna naprzeciw kanapy. Cztery lampy na wyciągnikach, dywan od jednego krańca horyzontu do drugiego, warujące przy ścianach popielniczki. Podeszedłem do znajdujących się na przeciwnej do wejścia ścianie drzwi. Sypialnia i oddzielony ruchomą ścianą, gabinet. Moja walizka jakimś cudem stała już obok wpasowanej w ścianę szafy. Łazienka. Wróciłem do livingu. Ocenilem rozmieszczenie popielniczek i zapaliłem papierosa, oczekiwałem, że wszystkie pięć rzucą się do mnie, ale musiały się jakoś komunikować ze sobą – podskoczyła tylko jedna i grzecznie jechała przy nodze, gdy szedłem w kierunku, barku. Był równie dobrze wyszkolony –

rozwarł przede mną swoje wnętrze, gdy tylko wyciągnąłem w jego kierunku dłoń. Nieco zbyt służalczy, jak na mój gust, ale darowałem sobie uwagi. Za to wnętrze miał bogate. Zmusiło do zastanowienia się przez cholernie długą chwilę. Zemściłem się robiąc niezwykle pracochłonny koktajl Lerby’ego, na który nigdy nie mam czasu, a w knajpach robią go z byle czego i byle jak. Po około sześciu minutach był gotów, niezły czas, wspaniały smak. Smakowałyby Pymie. A!... Powiedziała wczoraj:

–Wierzysz mi, że się, mimo wszystko, cieszę?

–Cieszysz się? – zaskoczyło mnie.

–A tak. Gdybyś widział siebie spojrzeniem wypalającego dziury w policyjnych patrollerach, zaciskającego palce podczas oglądania reportażu z obław i topiącego wzrokiem pancerne szyby wystawowe sklepów z bronią... Poza tym wiem, gdzie schowałeś kluczyki od bastaada i nawet domyślałam się, gdzie go trzymasz. Założę się nie wiem o co, że ma pełny zbiornik, a w bagażniku trzymasz kilka metrów linki i termos ze świeżo zaparzoną kawą.

Żuchwa opadła mi tak, że do ust mógłby wskoczyć nie kalecząc sobie uszu – zając. Potem odzyskałem władzę nad odpowiednimi mięśniami, nawet całkiem zgrabnie usiadłem.

–Od dawna? – wykrztusiłem.

–Ho, ho! Bawiła cię pierwsza książka, prawda? W drugiej już tylko wyżywałeś się na biednych przestępcach. Kilka razy widziałam, jak półgłosem czytasz swoje dialogi. Leniwie sączyłeś słowa zdolne do położenia na łopatki nosorożca...

–Dość, Pyma! Błagam! – Poderwałem się z fotela i przycisnąłem ją do siebie tak, że nie mogła wyartykułować żadnego słowa. – Już nigdy nie będę uważał, że jestem mistrzem intrygi! Zawsze będę się ciebie radził, nie będę niczego ukrywał...

–No to powiedz, dlaczego wzięłaś tę tajemniczą robotę – przerwała mi lekkim tonem.

–Po prostu facet trafił na chwilę słabości... – skrzywiłem się. – Wiesz, jaki jestem miękki pod pancerzem widocznym...

–Taki sobie zwykły facet? – zapytała równie lekko.

Zbierała punkty do ostatecznej rozgrywki. Gorączkowo szukałem jakiegoś ukrycia.

–Niemał tak... – powiedziałem ostrożnie kryjąc się za gardą z tego „niemał”.

–I taki sobie, niemał... – podkreśliła to słowo -... zwykły facet przynosi ci twoją własną licencję? Na dodatek wzbogaconą o literkę A, co, jak kiedyś sam

tłumaczyłeś, znaczy, że policja kraju, a może i kilku krajów, otwiera na twój widok ramiona i sejfy z najtajniejszą informacją?

Wysunęła się z moich odrętwiałych objęć i zaczęła liczyć:

–Raz! Dwa! Trzy! Cztery!

–Rzućcie ręcznik – rzuciłem przez ramię. – Zgoda. To nie jest zwykły facet i to nie jest zwykła sprawa... Koniec informacji.

–I to cię pokonało?

Szybciej niż laserowa drukarka odmówiłem przekonywającą modlitwę i rzuciłem się w odmęty kłamstwa.

–Siadaj w takim razie... – westchnąłem. – Zrobić coś do picia?

–Proponujesz to szczerze, czy chodzi ci o zwłokę?

–Fifty – fifty... – Na początek zawsze dobrze jest zyskać zaufanie okłamywanego jakimś przyznaniem. „Podręcznik zaawansowanego kłamcy”, strona siódma. Nie czekając na decyzję podszedłem do barku i zrobiłem dwa manhattany różniące się od siebie tylko ilością angostury. Podałem ten łagodniejszy Pymie i usiadłem obok niej na oparciu fotela. Miałem nadzieję, że długo nie wytrzyma z zadartą głową i łatwiej mi będzie łągać.

–No więc... – lękąłem, żeby stworzyć wrażenie zakłopotanego. – Wiesz, że większość swojego życia spędziłem...

–E-h-h! – Pyma przeciągnęła się w fotelu i zapadła weń. – Obudź mnie, jak przestaniesz truć...

–Poczekaj! Już idzie sedno. Rzeczywiście nie mogę sobie znaleźć miejsca. Pisanie jest fajne, nawet bardzo, ale muszę się kręcić między żywymi ludźmi, taką mam naturę, że bawi mnie grzebanie w kłamstwach. Ich wykrywanie podbudowuje mnie, dowartościowuje. A książki... Kapitalna praca, dopóki piszę o czymś świeżym, co niedawno przeżyłem. Próbowalem przypomnieć sobie stare sprawy – nic z tego. Nudne jak małże w oleju. Pisanie nie sprawia mi przyjemności, lenistwo zaś nie daje forsy. I tak, i siak, i owak musiałbym wkrótce zabrać się do jakiejś roboty. A wiesz, że nie mam żadnych kwalifikacji... Tylko nie mów mi, że mógłbym zostać magazynierem w CBI...

–Nie, tego nie mówię...

–A co mówisz?

–Właśnie – nic. Tylko musisz mi obiecać, że nic ci się nie stanie, to raz, i dwa: że podjęcie się tej sprawy nie ma żadnej utajonej otoczki!

Nadzwyczaj długo mogła siedzieć z przekręconą i zadartą do góry głową! Wyjąłem papierosy i przypaliłem dwa. Podałem jednego Pymie i gestem poprosiłem o popielniczkę. Gdy odwróciła się, powiedziałem z namysłem:

–O drugim punkcie nawet nie ma co mówić... – Pyma zajęta sięganiem po popielniczkę nie odezwała się, w duchu podskoczyłem kilka razy do góry. – A pierwszy... Cóż, wiesz, że kocham życie i mam zamiar zjeść go tyle, ile mi odmierzono, i raczej więcej niż mniej, na mniej się nigdy nie zgodzę!

–Czyli...

–Czyli! – przerwałem jej – nie ma problemu! Wyjadę na kilka dni, a potem wracam i będę się zmagał z kimś czy z czymś. Na razie jadę dowiedzieć się, o co chodzi. Może nawet okaże się, że rezygnuję ze sprawy? – „Podręcznik zaawansowanego kłamcy”, strona siedemnasta i sto trzecia.

Pyma poderwała się z fotela i w tej samej chwili do domu wpadł Phil.

–Opowiem wam kawał! – wrzasnął.

–Nie-e-e! – ryknęliśmy zgodnie z Pymą.

–Ta-a-ak!!! – pokrył wrzaskiem nasz opór.

W nocy Pyma wróciła do naszej rozmowy. Oszczędzała mnie jednak wyraźnie.

–Owen? – Poczułem, co się święci, starannie sapałem przez nos. – Na pewno jesteś znakomitym detektywem” jestem też przekonana, że piszesz świetne czytała... – Poruszyła się obok mnie i tchnęła prosto w ucho: – Ale kup Philowi nowy rower inercyjny i zapytaj jak się mnie okłamuje!

Nie wytrzymałem i roześmiałem się. Odwróciłem się do niej. Gdzieś mniej więcej w godzinę później zapytałem:

–Czy to nie ty kupiłaś mu zupełnie niespodziewanie kilka dni temu latawca z solarami? A przedtem łóżko z kompletem bajek?

Pyma starannie sapała przez nos.

Pociągnąłem ze szklanki przez malutką szczelinę w wargach. Chłodny koktajl spłynął po języku, szczypiąc weń lekko. Wrzuciłem papierosa do popielniczki i natychmiast zapaliłem drugiego. Wyciągnąłem się na kanapie i oddałem na kwadrans dolce far niente. W tym czasie dokończyłem Lerby’ego i wypaliłem dwa papierosy. Przerzuciłem też stertę myśli, ale żadna nie była godna poświęcenia jej więcej niż dwie sekundy czasu. Jedna część mojego umysłu cieszyła się z powrotu do zawodu, druga – wściekała z powodu konduity zleceńodawcy, trzecia – zastanawiała, czego też może

chcieć od Owena Yeatesa bodaj czy nie najważniejsza postać w krajowym, a może i światowym podziemi. Jeszcze inna część zastanawiała się, jak schować Pymę i Phila. Naturalnie, każda z tych części pragnęła zdominować resztę i walczyła o to tak zażarcie, że w pewnej chwili poczułem się jakby niepotrzebny im, poczułem, że świetnie poradzą sobie beze mnie, jak jeźdźcy, którzy porzucają zmęczone chabety i szybciej niż one kontynuują marsz. Musiałem ustawić sprawy na właściwym miejscu. Zerwałem się z kanapy i zakląłem ciężko. Spłoszone części umysłu ucichły, a ja z ukrycia przyglądałem się rozwojowi wypadków.

Zobaczyłem więc jak zbliżam się do barku i nalewam średniozaawansowaną porcję apple jacka, stawianego przez niektórych wyżej nawet niż oryginalny calvados. Zapaliłem jeszcze jednego papierosa i podszedłem do okna ze szklanką w dłoni. Subtelny posmak garbnika dębowego z beczek, w których leżakował Jack, dopiero trzecim tyku przebił się przez aromat Lerby’ego; o smaku papierosa wyraziłem się krótko i mocno, na głos. Zrozumiałem, że jestem podniecony i zdenerwowany. Roztrzęsiony, jak po pierwszym strzale do człowieka.

–Chol-le-r-ra!... – powiedziałem do siebie.

Zostawiłem szklankę na parapecie i szybko ruszyłem do sypialni. Sapiąc ciężko wypakowałem walizkę, odkrywając przy okazji w szafie komplet wyposażenia plażowego. Potem zażyłem kąpieli, przed którą dotarło do mnie, że zestaw kosmetyków przewyższa zaopatrzenie sklepów dolarowych trzeciorzędnej Europy, nie było tu chyba tylko płynu na porost włosów, co odebrałem jako wielkoduszny gest gospodarza. Potem nago wróciłem do Jacka i sumiennie przyjrzałem się widokowi za oknem.

Przede wszystkim rzuciła mi się w oczy płowa plama Nabuchodonozora w miejscu, gdzie niemal – godzinę temu rzucił się na trawę. Potem przesunąłem się trochę i spojrzałem na szerokie pasmo murawy wolne od kwiatów i krzewów. Musiało prowadzić na plażę, bo właśnie szła po nim nieludzko zgrabna dziewczyna, a krople wody lśniły i skrzyły się na jej nagim i – o dziwo – niemal białym ciele.

Najpierw pomyślałem, że nie zdjęła jeszcze czepka, ale gdy podeszła bliżej zobaczyłem, że ma po prostu ogoloną głowę. Po chwili dotarło do mnie, że pozbyła się w ogóle owłosienia na ciele. Tak to przynajmniej wyglądało od frontu, nie zdołałem przyjrzeć się jej plecom – skręciła i weszła najpierw w cień rzucany przez budynek, a potem zniknęła za jego rogami. Co tam mówił ten Newell!? Że panna Ventham... Mada? Nada? Nieważne, Ventham! Popatrzyłem w dół na swoją owłosioną pierś,

brzuch i resztę. Hm, nie zauważyłem w łazience żadnych depilatorów, może nie jest to obowiązkiem wszystkich gości? Zresztą ja tu jestem w pracy. Zachichotałem i zrozumiałem, że poranne dwa wtryski plus to, co wypilem podczas lotu oraz Lerby i apple jack, przebiły się zbiorowo przez gardę i osłabiły mnie ciosami w korpus. Szybko wróciłem do łazienki i kwadrans stałem pod lodowatym strumieniem.

–Naprawdę się cieszę, że pan tu jest – powiedział Richmond Marc Guylord, mocno ściskając mi dłoni.

Nie miał, rzecz jasna, na twarzy maski, z twarzą Guylorda wyglądał sympatycznie, zwłaszcza że zgrabnie krzątał się za kontuarem nadspodziewanie niewielkiego barku. Wyskoczył stamtąd po sekundzie uważnego przyglądania się mojej osobie. Rozejrzałem się po salonie.

–Mam rozumieć, że zaangażował mnie R.M. Guylord? I w ogóle, która z tych dwóch twarzy jakie znam jest twarzą prawdziwą? Ta obecna?

–Oczywiście, Tamtej używam rzadko i nie lubię. To ubranie robocze.

Gestem kciuka zapytał mnie, na co mam ochotę. Zamierzałem pokręcić głową, ale coś mi nie wyszło. Guylord uśmiechnął się jakby z ulgą.

–AYO? – zapytał.

Skinąłem głową, ale nie zdążyłem nic powiedzieć. Drzwi obok barku otworzyły się i weszła podglądana wcześniej przez okno dziewczyna. Natychmiast odnalazła mnie spojrzeniem i ruszyła w moim kierunku, również zrobiłem dwa kroki i uściśnąłem chłodną, prosto spod przysznica dłoń.

–Owen Yeates – powiedział Guylord. – Tada Ventham. Oboje w ubiegłym roku odnieśliście sukces...

–Czytałam – powiedziała Tada, nie wypuszczając mojej dłoni. A ja też nigdzie się nie spieszyłem. – I nawet żałowałam, że nie jestem Owenem a to znaczy, że książka mi się podobała... Wcześniej chciałam być Robin Hoodem, Anią, Augustem Blue...

–Ja, niestety... – z żalem wypuściłem jej dłoń ze swojej -... nigdy nie chciałem być panią. Wyglądałbym żałośnie w pani kostiumie.

–Widzę i słyszę, że zostaniecie przyjaciółmi – powiedział odrobinę zjadliwie Guylord.

–Na” pewno. Uwielbiam być przyjacielem kogoś, kto mnie rozumie. Innych nie chcę. – Odwróciła się i podeszła do kontuaru odebrała swój americano. Podeszedłem i ja i ostrożnie wpuściłem do ust kilka kropel koniaku. – W czym mnie

pan widział?

–W najtrudniejszej partii solowej w historii baletu klasycznego, Layli – wyrecytowałem monotonnym głosem nadętego specjalisty.

Tada prychnęła śmiechem.

–Wierzę w to – dodałem. – Przyznam... – Wpłynąłem na szerokie wody oceanu blagi -...że próbowałem stać na jednej nodze, podczas gdy pani wykonuje to pas de deux...

–Pas de deux to solówka pary... – przerwała mi.

–Aha... Dziękuję. Więc, jak mówię, dziwiłem się, jak to może tak pani tańczyć na jednej nodze dwadzieścia sześć minut, co za lekkomyślność! Przecież ta noga musi się zdeformować, będzie pani miała żyłastą muskularną kończynę, podczas gdy druga ulegnie atrofii... – Zaciśnąłem wargi i pokręciłem głową.

Tada spokojnie zmierzyła mnie spojrzeniem i wolno przeniosła wzrok na taflę szkła oddzielającą nas od trawnika.

–Pomyliłem się – powiedział śmiejąc się Guylord.

–Chyba jednak nie zostaniecie przyjaciółmi. Prawda? – zwrócił się do Tady.

Odwróciła się do niego i dopiero teraz mogłem – przyjrzeć się jej spokojnie. Na ogolonej głowie miała srebrzystą czapczkę z cieniutkich drucików czy nici, coś w stylu kolczugi rycerskiej. Dwa pasma identycznej tkaniny? plecionki? tworzyły szerokie szelki, osłaniające piersi i podtrzymujące opiętą na podbrzuszu i sterczącą we wszystkie strony spódnice. Gdybym miał takie nogi, w ogóle bym ich nie używał w obawie, że się wytrą. Podniosłem spojrzenie akurat żeby zobaczyć, jak Richmond Marc uśmiecha się.

–To niegrzecznie robić do mnie miny na temat gościa stojąc do niego tyłem – powiedział.

–A ty-y! – powiedziała napiętym ze złości głosem Tada. – A ty-y... Jesteś nudziarz. Już wolę tego ignoranta i złośliwca!

Odwróciła się i zanim zdążyłem cokolwiek ze sobą zrobić, wycisnęła – tak to opisują wprawni literaci – na moich ustach gorący pocałunek. Szczerze mówiąc, nie miałem zamiaru jej w tym przeszkadzać. Sama zaczęła, dołączyłem do niej nieznacznie, sama zakończyła, oderwała się ode mnie i potrząsnęła głową. Druciana misiurka czy co to tam było rozkołysała się z cichym metalicznym szelestem. Tada odstawiła swoją szklankę i podeszła do szklanej ściany.

–Idę popływać – powiedziała. Niedbale strząsnęła na podłogę czapeczkę

i stuknęła palcem w ścianę. Tafla usunęła się jej z drogi. Tada odwróciła się do nas. – Może tu jest... – pokręciła palcem w powietrzu -...i świetna klimatyzacja, ale powietrze tu jest sztuczne. Zupełnie inaczej jest nad wodą...

Wyszła na dywan z trawy. Przystanęła na pół sekundy. Tyle potrzebowała na zrzućcie z siebie „sukienki”. Przekonałem się, że nie ma porośniętych włosami pleców. Guylord westchnął teatralnie. Wskazał gestem fotele i poczekał aż ruszyłem do nich. Szybko powędrowała na swoje miejsce. Usiedliśmy.

–To moja siostra – powiedział, gdy rozsiedliśmy się wygodnie. – O czym wiedzą cztery osoby...

–Teraz już pięć – poprawiłem go.

–Nie, teraz cztery – powiedział z naciskiem. – Wie pan dlaczego to mówię?

–Hm, sądzę, że to forma zadośćuczynienia za wymuszenie przy pomocy groźby mojej współpracy – powiedziałem patrząc mu w oczy.

–Zgadza się... Owen... Nie wierzę w wydajną wymuszoną pracę, to dobre w przypadku robotników z trzeciego świata. Dlatego chcę pana przekonać, że musiałem sięgnąć do dowolnych środków, byle tylko pozyskać pana do współpracy. Musiałem... Muszę... – poprawił się -... wyjaśnić, co się wokół mnie dzieje. Bo coś się dzieje. A mnie już nawet nie chodzi o moje życie, ale... Nie, to trzeba inaczej! – przerwał sam sobie. – Zacznę z daleka. – Poprawił się w fotelu i zmrużone oczy utkwiał w ścianie za moimi plecami.

–Trzydzieści lat temu byłem skromnym, kiepsko prosperującym adwokatem z praktyką na końcu, gorszym końcu, Czterdziestej Ósmej w NY. Pewnego wieczora, tuż przed moim wyjściem z biura, w którym od kilku tygodni nie gościł klient, weszli dwaj gentlemani w podeszłym wieku. Zaraz za nimi wpadli czterej goryle. Cała czwórka miała w dłoniach tak ciężkie rewolwery, że zabiłyby mnie sam podmuch pocisku. Gentlemani okazali się głowami dwu Familii, które od trzech lat nie mogły dojść do porozumienia w kilku zasadniczych sprawach. „Nie pomagały mediacje innych rodzin, nie pomagały apele i wołanie o rozsądek. W końcu obaj szefowie, widząc niechybnie zbliżający się koniec swoich klanów, postanowili zagrać va banque i zgodzić się z werdyktem losowo wybranego prawnika. Ktoś tknął palcem w książkę telefoniczną i wypadło na mnie. Tyle powiedziano mi na początku rozmowy, a potem zaznajomiono z historią sporu, stanem aktualnym i żądaniem obu stron. Goryle robili kawę i przynosili kanapki, gentlemani tykali neocardinę i z nadzieją patrzyli mi w oczy. Później dowiedziałem się: obaj byli pewni, że oczekują na nich egzekutorzy innych

rodzin, którym strzelaniny przeszkadzały w spokojnym nabijaniu kabzy. Krótco mówiąc, zapoznałem się z sednem sporu i tak dalej, wlałem w siebie ocean podłej kawy, doznałem olśnienia i – ku zdziwieniu wszystkich, nie wyłączając siebie – wpadłem na naprawdę genialny pomysł. Przyniosło mi to sławę w określonym środowisku, pieniądze a kolejne olśnienie, zabraniające mi wiązania się z którąkolwiek z Familii, spowodowało, że z czasem stałem się arbitrem nadrzędnym, ostatnią i ostateczną wyrocznią. Błyskawicznie, sam tego nie chcąc, wysforowałem się nawet przed tradycyjnych bossów podziemia. Nikt nie zauważył, jak i kiedy to się stało, a kiedy zauważył, było już za późno – żadna z rodzin nie zgodziła się na moją detronizację. To jasne – mój kat stałby się katem dla wszystkich. Tak więc doszliśmy do stanu obecnego, czy raczej sytuacji sprzed kilku lat. Jeszcze wcześniej, to gwoli uzupełnienia, po kilku rozmowach z głowami największych koncernów zbrodni i pieniędzy, ustaliliśmy taktykę działania na najbliższe lata i dziesięciolecia. Nie są to już prości Włosi, wszyscy mają na ścianach dyplomy najlepszych amerykańskich uczelni, żaden, z nich nie chce skończyć w rowie ze szkodliwą dla zdrowia porcją ołowiu w bebechach, żaden nie chce rozgłosu, nie marzą im się bitwy na ulicach... I wszyscy zgodzili się, że należy zintensyfikować proces prania pieniędzy, lokowania ich w uczciwych interesach, tak żeby po jakimś czasie można było bez obawy o własne i rodziny zdrowie wyjść na ulicę późnym wieczorem. Po prostu –

wszyscy chcieli przejść na stronę uczciwych, jeśli tacy są, milionerów. I to się udało.

Widząc moje zdziwione spojrzenie, dodał: – Wiem, że nadal sprzedajecie narkoty i bibry, że przestępczość istnieje, ale niewiele ludzi wie, że to doszli do głosu detaliści, którzy nigdy nie zdobędą takiej pozycji, jaką myśmy osiągnęli, jestem w stanie zdeptać ich jednym telefonem. Nie trzeba być gangsterem, wystarczy mieć pieniądze, – a wtedy ich własna ochrona wystrzela pracodawców jak kaczki. W każdym razie dzisiaj spora część krajowych bogaczy to szefowie największych gangów. Nie będziemy się wdawali w dyskusję nad ich morale, sytuacja wygląda tak, że aktualnie jesteśmy bogatymi, szanowanymi obywatelami naszego pięknego kraju. Mnie przyszło to najłatwiej – nigdy nie miałem własnej armii, najpóźniej dołączyłem do grupy bossów, najpłycej zanurzyłem się w bagnie przestępcstw... Nawet nie dlatego, że jestem dobry i z gruntu, uczciwy, po prostu nie miałem specjalnego wpływu na bieg rzeczy.

Sięgnął po swój kieliszek i zapominając o nim wrócił do poprzedniej pozycji. Znalazł gdzieś ołówek i zaczął nim żonglować w znany mi już sposób. Zapalił

papierosa.

– Teraz dochodzę do sedna. Od mniej więcej dziesięciu miesięcy coś się wokół mnie dzieje... Nie potrafię tego zwerbalizować – jakbym był w zamkniętym ciemnym pokoju i nagle poczuł, że coś jest obok mnie. Włączam światło – pokój pusty, drzwi zamknięte. Gaszę – znowu jest.

– Przeniósł spojrzenie ze ściany na mnie. – Nie wiem, czy mnie rozumiesz?... Takie nieokreślone tchnienie czegoś nieprzyjemnego.

Gładko przeszedł na „ty”. Nie rozumiałem tylko, czy chodzi mu o pozyskanie mojej sympatii, czy naprawdę był taki bezpośredni, taki... swój. Bronilem się, ale musiałem przyznać, że zdobywał moją przychylność krok po kroku.

– Nie udało mi się dokonać kilku transakcji, to raz. I to takich... – poszukał odpowiedniego słowa – takich, które nikomu nie szkodziły, na których nie tak znowu wiele bym zarobił. Dlatego zaniepokoiło mnie to, nie lubię pozornie głupiego postępowania. Nie będę się wdawał w szczegóły, te transakcje są ważne tylko dlatego, że w ogóle zwróciły moją uwagę. Ktoś, coś, jakaś klika chce czegoś ode mnie. Robi to bardzo delikatnie, ostrożnie, niemal niewyczuwalnie, pod narkozą. Nawet niespecjalnie mnie to przeraża: to jest tak, jakby na jakimś terytorium nagle częściej zaczął występować katar. Nic groźnego, ale niby dlaczego? W sumie – nie tu mam dla ciebie robotę, tu sam sobie poradzę. Dla ciebie mam wyraźniejszy ślad. – Rzucił na mnie krótkie spojrzenie. – Dziesięć dni temu wdarł się do tej posiadłości zamachowiec. Był świetnie wyposażony: karabin, dwa granaty, coś tam jeszcze... Przedarł się przez płot, który miał zatrzymać nawet wirusy. Nie wyczuły go psy. I... – Podniósł palec do góry i zrobił znaczącą pauzę. Za jego plecami, w oknie zauważyłem, jak Newell idzie z puszystym szlafrokiem przerzuconym przez ramię w kierunku morza. – ... Teraz najważniejsze: ktoś go zabił! Rozumiesz? Już na terenie Veiny! Weszły tu dwie osoby i jedna z nich zabiła drugą. Jestem przekonany, że ten zabity miał mnie zlikwidować, ten drugi mnie uratował...

– I pewnie nie zgłosił się po nagrodę... – powiedziałem.

Za drzwiami wyłoniła się Tada. Na szczęście miała na sobie szlafrok. Guylord łyknął ze swego kieliszka i opadł na fotek – No właśnie... – sapnął. – Irytują mnie obie te rzeczy. Nawet nie wiem, która bardziej. I to jest twoje, Owen, zadanie.

Tada podeszła do budynku. Łyknąłem AYO i zrobiłem mądrą minę.

– Kto wynajął piorun i kto zapewnił paratoner... – mruknąłem do siebie.

– Słucham?

Tada wyciągnęła dłoń w kierunku szyby, okno bezszelestnie wsunęło się w ścianę.

– Paratoner to inaczej piorunochron – powiedziałem uśmiechając się zjadliwie. – Chciałem się pochwalić znajomością kilku obcych słówek...

Guylord przyglądał mi się kilka sekund. A potem pokręcił głową.

–Jeśli jesteś tak dobry jak złośliwy...

–To co? – wtrąciła się Tada.

Dałbym sobie uciąć palec, że bała się usłyszeć coś, co nie było przeznaczone dla jej uszu. Richmond uniósł dłoń i podziękował jej krótko trzepotem palców. Tada podeszła bliżej i usiadła w fotelu.

–Nie przeszkodziłam? – zapytała. – Wodę masz tu wspaniałą – powiedziała do brata. – Umie pan pływać? – zwróciła się do mnie.

–Jeszcze nie, ale wziąłem ze sobą dyskietkę z przyspieszonym hipnopedycznym kursem. Rano będę chciał zacząć zajęcia praktyczne.

–Zmarnuje pan noc na słuchanie kompa?

–Mam jeszcze przed sobą mnóstwo nocy – Machnąłem lekceważąco dłonią. – Jedna mniej, jedna więcej...

–Nie byłabym taka...

–No to fajnie! – wtrącił się Guylord. Pewnie wydało mu się, że rozmowa wkracza w fazę, kiedy żadna ze stron nie chce ustąpić, a kontynuacja dialogu doprowadzi do dąsów i obraz. – Obiad jemy wspólnie, czy mamy inne plany?

–Ja jem tam – Tada pokazała palcem ścianę za mną.

–Jestem umówiona w mieście.

–Ja dziękuję – wstałem z fotela. – Wezmę kanapkę i pospaceruję po wyspie. Wolę teraz niż jutro w upale. Do widzenia.

Zostawiłem ich w salonie i poszedłem szukać kuchni. Zrobiłem sobie kanapkę, a do kieszeni wpakowałem kilka cienkich plasterków befsztyka. Zaraz za pierwszą kępą septilium spotkałem Sabę i Serwo. Położyłem się obok nich w obłoku chłodnego zapachu i zaproponowałem wołowinę. Były naprawdę świetnie wytrenowane – zjadły co dałem, bo w końcu byłem swój, i nie pchały się do mojej kanapki. Zacząłem przypominać sobie, czy Pyma albo Phil mówili coś brzydkiego o bloodhoundach, ale aż do końca spaceru, który trwał prawie cztery godziny, nie rozstrzygnąłem tej kwestii. Stwierdziłem natomiast, że Saba ma ciemniejszy łeb i jasną plamkę na prawym kolanie, i że oba uwielbiają aportowanie. I – w odróżnieniu od ludzi – nie kłócą się

przy tym zupełnie.

Śniadanie wypilem u siebie w pokoju. W ciągu dwóch papierosów podsumowałem posiadane dane i zszedłem na dół. Newell pojawił się w salonie równocześnie ze mną. Wskazałem mu fotel.

–Słucham – powiedział sadowiąc się.

–Kilka informacji... – poczęstowałem go papierosem, ale odmówił gestem. – Po pierwsze, opowiedz mi, co to było z tymi zwłokami, jedenaście dni temu. Nie musisz się streszczać.

–To był poniedziałek. Tuż przed północą obudził mnie Nabuchodonozor. Chyba pierwszy raz w życiu słyszałem, jak wyje. Coś koszmarnego... Jakby syrenie okrętowej ktoś wrywał flaki...

Spodobało mi się to porównanie, pokiwałem z aprobatą głową.

–Zaraz potem dołączyły pozostałe psy. Włożyłem noktory i z bronią pobiegłem do psów. Stały przy zachodniej części ogrodzenia i wyły do nieboszczyka. Odwołałem je i kilka minut obserwowałem teren. Potem sprawdziłem faceta. Jeszcze nawet nie ostygł. Wróciłem i zdałem sprawozdanie panu Guylordowi. Powróciliśmy tam razem, już w oświetlonym terenie.

–Czy policja było wzywana? – przerwałem mu.

–Oczywiście! – Oburzył się. – Zaraz potem.

–Rozumiem, że wszystkie dane o tym pechowcu dostanę od nich?

–Oczywiście. – Czekał kilka sekund na następne pytanie, ale milczałem. – Przeszukałem go...

–Dysponujesz jakimiś danymi, których nie ma policja?

–Nie, niczego nie zabraliśmy ani nie schowaliśmy.

–Dobrze. Powiedz mi teraz taką rzecz: skąd macie płyn, po którym nas poznają psy?

Na sekundę na jego twarzy zagościł krzywy uśmieszek.

–To sprawdziliśmy sami. Dwa lata temu pan Guylord osobiście zmieszał tę kompozycję. Cały zapach jest tutaj – wskazał palcem podłogę. – ,W piwnicy. Strzeżony lepiej niż zapas złota w Banku Centralnym.

–A pionier?

Otworzył usta i trzymał je chwilę otwarte. Potem zmrużył oczy i wolno oblizał wargi.

–Nikt z pracowników pana Guylorda nie jest zdolny do zdrady – powiedział wolno akcentując każdą sylabę.

–Ta-ta! Znam kilku nieboszczyków, co przed zgonem do znudzenia powtarzali to zdanie. Dobra, nieważne... Opowiedz mi o systemie strażniczym.

–Czterometrowa siatka, pas sześciu metrów po obu stronach obsadzony czujnikami sensorowymi. Nie sposób podejść do siatki bez uruchomienia alarmu...

–Nawet z mapką czujników?

–Z mapką – tak...

–Co jeszcze?

–Sieć penetrujących laserów uruchamianych po sforsowaniu pasma sensorów i siatki. Wszystkie trzy sieci niezależne od siebie, z systemem rewersyjnego powiadomiania o intruzie.

–Pięknie. No to powiedz mi, kto może przejść przez ten system? Czy ja mógłbym? Mając ten koralik?

–Tak – skinął potakująco głową.

–A kto jeszcze?

Westchnął i pokręcił głową:

–Zastanawiałem się nad tym kilkanaście godzin, wciąż jeszcze się zastanawiam. Specjalista sprawdził nasz system i nie znalazł w nim dziury, komp nadzorczy sprawny, bez śladów grzebania... – Wzruszył ramionami.

–Oprogramowanie? Słyszałeś o ostrygach?

–Zakodowane w programie niespodzianki. Tak? – uśmiechnął się. – Wykluczone. Naprawdę.

–Ile jest tych koralików?

–Czterdzieści. Wszystkie są tutaj, nie, pan Guylord ma swój na stałe przy sobie. Trzydzieści dziewięć.

Chwilę trwała cisza. Coś poruszyło się w barku, a gdy popatrzyłem w tamtą stronę zobaczyłem jak z szeregu wysuwa się półka z kilkoma butelkami i zjeżdża gdzieś poniżej lad, a na jej miejscu pojawia się inna, z pełnymi butelkami.

–Panie Yeates – Newell skrzyżował na i piersi ręce i odchrząknął. – Zaraz po powiadomieniu policji sprawdziłem kontroler, ten płyn. Potem sprawdziłem koraliki. Godzinę później byli u nas spece od wszystkich zabawek. Z tej strony jest mur.

Podszedłem do barku i sprawdziłem, co też podano. Potem, ponieważ byłem już na miejscu, zmieszałem sobie łagodny manhattan.

–A jedyną dziurą w tym murze jesteś ty... – powiedziałem.

Newell poderwał się i dwoma skokami dopadł mnie. Pociągnąłem drugi łyk sponad brzegu szklanki patrząc mu w oczy.

–Nawet tak nie żartuj, człapie! – syknął. Miał szaleństwo w oku, może me szaleństwo: strach: palce prostowały się i zaciskały w pięści chyba bez udziału świadomości. – Potrafię...

–Dobrze, koleś! – uśmiechnąłem się do niego odstawiając szklankę. – Ja też się boję – pokiwałem głową ze zrozumieniem. – Może nie tak jak ty, ale zawsze...

Zanim Newell zdążył zareagować, skinąłem głową i dodałem:

–Chodźmy, pokażesz mi to miejsce. Sieci są włączone?

Wahał się. Wyraźnie wolał dać mi najpierw w pysk, ja też poruszałbym się trochę, ale poczucie obowiązku i lęk przed Guylordem zwyciężyły. To drugie – na pewno.

Wyszedłem przez panokno i zerknąłem przez ramię. Newell stał jeszcze chwilę, a potem odetchnął głęboko w stylu „Weź się w garść, chłopie” i ruszył za mną. Po kilku krokach przyłączyły się do nas Saba i Serwo.

–Psy mają wszczepione koraliki? – zapytałem.

–Tak.

–Sprawdziliście czy nie zginął któryś? A może został wypożyczony?

–Sprawdziliśmy. Nie został – przeszedł na telegraficzny styl.

–Jak będę potrzebował kogoś do wysłania taniego telegramu, to cię zaangażuję, a na razie odpowiadaj szeroko!

–Przepraszam – rzucił pośpiesznie. – Trochę się zdenerwowałem pana podejrzeniami. To się nie powtórzy. A co do psów – wszystko zostało sprawdzone: czujniki są na miejscu, nikt nie wyjmował ich ani nawet nie próbował. Zresztą te psy są zabezpieczone przed wyjęciem i wykorzystaniem. Proszę mi wierzyć, system ochronny był opracowany przez najlepszych możliwych fachowców. Pan Guylord zaangażował trzy niezależne od siebie, konkurencyjne firmy, które miały wytknąć sobie wzajemne luki. Ale żadnej nie udało się zdobyć premii. To jest... – ruchem dłoni płynnym niczym błogosławieństwo wykreślił w powietrzu koło -...naprawdę szczelne.

–Wziąwszy pod uwagę, że sam Pan Bóg interweniował widząc, jak wali się wasz szczelny system, to rzeczywiście jest on nie do przebycia. Al! Właśnie: z czego został zabity ten facet?

Newell zerknął na mnie spod oka, potem opuścił wzrok i dłuższą chwilę

szliśmy w milczeniu. Najwyraźniej zwlekając z odpowiedzią, mścił się za moje wątpliwości co do jego lojalności. Nie ponaglałem go. Pochyliłem się i w marszu poklepałem po łbach Sabę idącą z prawej strony i Serwo pilnującego lewej nogi. Zupełnie niespodziewanie przyszło mi do głowy, że psy nie tyle mnie lubią, co konwojują. Chwilę rozważałem tę kwestię, potem odrzuciłem krzywdzącą psy myśl. Newell kopnął kępkę trawy.

–Z lasera – wypalił.

–Z lasera??? – Stałem w miejscu. Newell zatrzymał się i odwrócił do mnie. – Co ty, szczypa w dupę, opowiadasz? Najmniejszy laser waży kilkadziesiąt kilo i musi mieć zasilanie jak mała wieś!

–Zgadza się – uśmiechnął się wrednie. – To jest największą zagadką. Chodźmy, to już blisko. Wszystko pokażę na miejscu.

Ruszył bez mojej zgody. Popatrzyłem na psy majtające językami i patrzące na mnie w oczekiwaniu jakiegoś mądrego zdania, ale intuicja je zawiodła. Rzuciłem w powietrze kilka czy kilkanaście słów w niezbyt oryginalnej

konfiguracji za Newellem. Czekał na mnie przy kępie forsycji. Za plecami, w odległości jakichś ośmiu metrów, miał delikatny na pozór płot z gęstej siatki. Gdy podszedłem, wskazał go kciukiem.

–Tutaj przełazi przez płot. A tutaj – wskazał swoje stopy – znalazłem trupa. Strzał – dodał szybko – nastąpił od naszej strony.

–Ta-ak? – mruknąłem powątpiewająco, jednocześnie rozglądając się po najbliższym otoczeniu. – A skąd to wiadomo?

–Po pierwsze, przez siatkę nie było strzału, to by zostało odnotowane. Po drugie, na tym krzewie – wskazał najbliższy – znaleziono kilka opalonych liści. Smuga z lasera musnęła je- Hm-m... – Przespacerowałem się kilkanaście kroków w różnych kierunkach, łudząc się, że nagle błysnie w trawie szpilka z krawata czy spomiędzy źdźbeł trawy wylezie rożek wizytówki. – Czy mógłbyś przeleźć przez płot? Teraz?

–Oczywiście! Pokazać?

–Tak...

Newell odważnie podszedł do siatki i zaczął się wspinać. Gdy doszedł do połowy wysokości, zawołałem:

–Dobra, wierzę! – a gdy zeskoczył i podszedł do mnie, zapytałem: – Czyli jednak ktoś z koralikiem?

Pokręcił głową.

–Teraz, po tym incydencie, komp odnotowuje i powiadamia o fakcie forsowania płotu przez kogoś z identyfikatorem. Przedtem tego nie było. Czyli... – zawiesił głos.

–No właśnie – rzuciłem zadowolony. – Czyli... – zakończyłem twierdząco.

–Tylko, że to jest niemożliwe.

Popatrzyłem na niego z politowaniem.

–No to powtórzę jeszcze raz: albo system nieszczelny, albo ktoś ze środka! Tertium non datur.

–Słucham?

–Szukaj kija – powiedziałem do Serwo nie zwracając uwagi na Newella. Psy rzuciły się w krzaki. – Jeszcze jedno – odwróciłem się do butlera. – Do kogo mogę się zgłosić na policji?

–Detektyw Eilbacher. Udzieli wsparcia w każdej możliwej sprawie. Czy jeszcze coś?

Pokręciłem głową. Newell zawahał się, jakby chciał coś powiedzieć, ale – czułem to – w ostatniej chwili zrezygnował z przekonywania mnie, że to nikt z Veiny. Przypomniałem sobie, kim, niezależnie od swoich słów, jest Guylord i na chwilę upał jakby zelżał. Z krzaków wypadły Serwo z patykiem w zębach, za nim biegła Saba wyraźnie ucieszona, że to nie ona, musi nosić kij. Psy również nie wiedzą, co to sprawiedliwość. Odebrałem kij Serwo i – przytrzymując Sabę za obrozę – rzuciłem go najdalej jak tylko mogłem Serwo nie wierząc swojemu szczęściu rzucił się jak szalony do pościgu, a Saba spokojnie usiadła i popatrzyła na mnie z wyrzutem. Nie ma co się bawić w wyrównywanie krzywd, pomyślałem, i puściłem sukę. Pognała za swym małżonkiem. Dotarło do mnie, że przeze mnie Serwo może oberwać. Szybko zanurzyłem się w krzaki i pobiegłem w stronę domu. Psy dogoniły mnie pod samymi drzwiami. Kij niosła Saba, Serwo przystanął za nią i pomachał ogonem – „Wiesz, bracie, jak to jest...” – wyartykułował spojrzeniem. Zabrałem patyk Sabie i odrzuciłem. Zaraz potem powiedziałem „Banał” i uciekłem do swojego pokoju.

Było mi gorąco. I głupio. Obniżyłem temperaturę o cztery stopnie i zrzuciłem z siebie koszulę. Wypaliłem papierosa w nadziei na poprawę samopoczucia. Daremnie. Czyżbym wyszedł z wprawy, pomyślałem. Popatrzyłem na barek, wydało mi się, że drgnął ochoczo. Wydarłem z oparcia kanapy telefon i podyktowałem numer do domu. Przy okazji przyszła mi do głowy pewna myśl. Ucieszyłem się – dotychczas zawsze takie przebłyski przynosiły mi zyski, czyli że nie jestem jeszcze, jak to powiedział

Newell, człapem.

–Hej, to ja – powiedziałem.

–Gdzie jesteś?! – rozległ się w pokoju wrzask Phila. – Dlaczego mi nie powiedziałeś?

–Poczekaj...

–Jak taki jesteś, to sobie bądź!– krzyknął obrażony i rzucił słuchawkę. – Halo? – usłyszałem Pymę. – Jesteś tam?

–Jestem. Co się tam u was dzieje?

–Jak zwykle. Phil powiedział, że nie jesteś już jego idolem...

–Masz ci los... – jęknąłem, słysząc w głośnikach drugi oddech. – Jeśli tak sprawy stoją, to chyba podskoczę jeszcze w jedno miejsce, może...

–O nie-nie-nie! – zagłuszył mnie krzyk. – Masz zaraz wracać...

–Bo nie będę twoim idolem! Wiem! – krzyknąłem i roześmiałem się.

–Phil! Natychmiast się wyłącz! – krzyknęła z kolei Pyma.

Tylko wściekły sześciolatek może stuknięciem klawisza przekazać, jaki jest zły. Oczekałem chwilę.

–Pyma? Lubisz bloodhoundy?

–Aha! Dlaczego pytasz?

–Mam tu parę kapitalnych psów. Coś genialnego...

–Teba też mówi, że już nie jesteś jej idolem – roześmiała się.

–Nie bądźcie śmieszne. Wcale...

–Powiedz lepiej co u ciebie? – przerwała.

–No-o... Mam wakacje, pilnuje mnie największy pies świata, bar – marzenie...

–Dziewczyny?

–Coś ty! Jest jedna starsza pani...

–Moim idolem też już nie jesteś!

–To znaczy, nie taka znowu starsza. Ale...

–A poza tym?

–Poza tym? Chyba pojutrze będę w domu. W każdym razie na pewno zadzwonię. To co, pa?

–Niech ci będzie. Pa...

Odłożyłem aparat i znalazłem w szafie kąpielówki, Cztery minuty później byłem na plaży. Guylord i Tada leżeli pod olbrzymim antysolem, między nimi i mną rozłożył się Nabuchodonozor. Na złość sobie zmusiłem własne ciało do przejścia

ponad nim. Nawet tego nie zauważył. Państwo „S” wytrząsali sobie wodę z uszu w cieniu pod samojezdną łódką. Podszedłem i przywitałem się z Tada i Richmondem.

–Proszę pokazać dzienniczek – wyciągnęła rękę.

–Zapomniałem w pokoju. Ale jestem gotów zaprezentować praktycznie... – powiedziałem siadając na chłodzonym wodą szezlongu. – Rozmawiałem z Newellem – zacząłem patrzeć na Guylorda.

Właściwie ocenił moją kwestię.

–Tada jest wprowadzona w zagadnienie – poinformował mnie. – Potrzebujesz pomocy?

–Ha, ktoś jej nie potrzebuje? – zapytałem filozoficznie.

–Przede wszystkim... Skąd to przekonanie, że zabity miał cię zabić?

–Newell nie powiedział tego? – zdziwił się.

–Był... hm, był trochę zdenerwowany moimi podejrzeniami.

–Właśnie!... – Guylord napił się z ociekającej szklanki.

–Mam stuprocentową pewność swoich ludzi. Rozumiesz mnie? – Skinąłem głową. – A zamachowiec... Cóż, miał zwykły bezgłośny karabinek z kilkoma bambetłami. Statyw, celownik z samowyszukiwaczem, co jest raczej trudne do zdobycia. A w celownik założona była moja osoba. Gdyby ktoś nie wyłączył samonaprowadzacza, to zamachowiec wykonałby nawet po śmierci swoje zlecenie, kiedy przybiegłem z Newellem do zwłok.

Zmarszczyłem brwi. Zapaliłem papierosa.

–Skąd wiesz, że to nie on wyłączył?

–Bo na całym karabinie były odciski zamachowca, – najwyraźniej dopiero po ustawieniu miał złać broń antypapilatorom. A na wyłączniku nie było. Inaczej: został dokładnie wytarty.

–Aha. Teraz już wiem wszystko. Zresztą i tak wybieram się do Eilbachera po szczegóły techniczne. Ale to później...

–Ja też się wybieram do miasta – wtrąciła Tada. – Mogę pana zabrać...

–Z przyjemnością. Zapomniałem swoich dysków z kursem na prawo jazdy.

Tada parsknęła śmiechem, Richmond prychnął i umilkł.

–Idę popływać – powiedziała.

Patrzyłem, jak przyczepia dziób deski do krótkiej liny zwisającej z małego, ale mocnego ślizgacza. Przypięła pas za sterownikiem i mały konwój ruszył w głąb morza.

Tada stała na desce pewnie, amortyzowała ataki dziobowych fal ugięciem kolan, z rzadka pomagając sobie krótkim ruchem jednej ręki. Obserwowałem, ją aż niemal przestała być widoczna.

–Jak sobie radzisz z rekinami? – zapytałem, żeby tylko przerwać wrzącą ciszę.

–Nie mają szans – rzucił lekko. – Dwie linie niezależnych akustycznych depresorów.

–A co z moją rodziną? – zapytałem tym samym obojętnym tonem. Popatrzył na mnie uważnie. – Jeśli zadrę z kimś, kto ma do ciebie pretensje, to może je rozciągnąć i na mnie. Przekonałem się niedawno, że mam czułe miejsce.

–Oboje są pod parasolem. Zaraz po naszej rozmowie zająłem się nimi.

–Nie wątpię – rzuciłem w przestrzeń. Wstałem, żeby pójść do wody. Guylord zatrzymał mnie ruchem ręki.

–Posłuchaj, nie musisz mnie kochać. Nie musisz szanować, nic nie musisz. Wolałbym, żebyś się do mnie przekonał...

–Tak, wiem. Wymuszona praca jest mało efektywna. Mówiłeś to już.

–Właśnie. Ale jeśli zabierzesz się do sprawy z sercem, to możesz liczyć tylko na to, że pogodzę się z wynikiem i nie będę miał żadnych pretensji. Ja ci ufam.

–Bo możesz sobie na to pozwolić. Ja muszę ci ufać, a to już co innego.

Wrzuciłem niedopałek do pustej szklanki po koktajlu Tady i wyszedłem na słońce. Otuliło mnie swoim gorącym oddechem, ucałowało ogniście. Zerknąłem na bloodhoundy, ale Saba merdnęła tylko przepaszająco ogonem i nie zmieniła pozycji. Serwo uniósł ciężkie powieki i zmarszczył czoło. Nie to nie! Podbiegłem krótkim moło i skoczyłem do wody. Guylord musiał zatopić w zatoce kilka niezależnych systemów chłodniczych, woda była chłodna i czysta, taka, na jaką wyglądała z okna pioniera. Zacząłem ją ubijać rękami i nogami, nurkować, kołysać się na falach... I było to tak przyjemne, że niemal polubiłem Guylorda. Zmusiłem się do wyjścia na ląd, zanim to uczucie rozrosło się we mnie. Gospodarza nie było już pod antysolem. Zalałem pół kilo lodu kroplą whisky i dwoma kroplami sodowej i spokojnie obserwowałem surfującą Taidę. I jedno i drugie było przyjemne i trwało pół godziny. Później pojechaliśmy do miasta.

–Podoba się? Hę? – zapytała kpiąco, widząc moje spojrzenie skierowane na popielatego dughiela, przy którym czekała na mnie.

Cztery podwójne cylindry, trzy przełożenia kierownicy, zmienny bieżnik opon z tratlonu, system zabezpieczenia gwarantuje bezpieczną czołówkę przy prędkości sto,

sto dwadzieścia kilometrów na godzinę. Bajka na czterech kółkach!

–Ma jedną wadę – wydusiłem z siebie zaszokowany bliskością tego cuda.

–Jaką?

–To nie jest wóz dla kobiety. Każda musi przegrać w konkurencji z nim.

Roześmiała się wesoło i, jak mi się wydało, szczerze.

–Toteż nie mam zamiaru go dziś prowadzić.

Dotknąłem drzwi. Bezszelestnie otworzyły się, usiadłem w fotelu, przyjrzałem się kierownicy i tablicy rozdzielczej. Po dziesięciu sekundach wszystko się wyjaśniło. Popatrzyłem na Tade, która zdążyła już zapiąć luźno uprząż zdolną w ułamek sekundy przygwoździć pasażera do fotela, i trąciłem zapłon. Zapaliła się jeszcze jedna kontrolka, zrozumiałem, że silnik pracuje i w nienaturalnej ciszy ruszyłem. Zapiąłem uprząż i zerknąłem w monitor wsteczny: dwa pasma wydartej murawy znały miejsce, z którego wystartowałem.

–Ricke by mnie zabił, gdybym zdarła mu tyle trawy. Ciekawa jestem, czy tobie wybaczy.

Nie odpowiedziałem. Siedziałem spięty jak podczas lotu, który miał się skończyć pierwszym w życiu skokiem ze ślizgiem. Miałem wrażenie, że dughiel reaguje na moje myśli. Tuż przed bramą przypomniałem sobie przełożenie i przytępiłem kierownicę. Pierwszy sukces. Drugi – udało mi się wyhamować łagodnie i równie łagodnie ruszyć, gdy tylko brama rzuciła się do otwierania swoich podwoi. Na szosie komp mrugnął kilka razy zestawem cyfr i wyświetlił informację o zmianie bieżników na odpowiednie do tego rodzaju pokrycia i warunków atmosferycznych. Nie wytrzymałem – wyciągnąłem na ekranie schemat szosy, a potem ozdobiłem go szeregiem cyfr wyrażających graniczne prędkości na poszczególnych odcinkach i zakrętach. Nabrałem powietrza do płuc, przełączyłem skrzynię biegów na sensory kierownicy i wzmogłem nacisk stopy na płytę akceleratora.

–No, myślałem, że się już nie zdecydujesz... – powiedziała Tada.

Boże, ależ poszliśmy! Dughiel jakby przysiadł, zwał się w sobie, miałem wrażenie, że zmrużył oczy-reflektory zacisnął zęby. Przy stu siedemdziesięciu włączył się system spoilerów i balastów, wóz nawet bez aluzji do zerwania przyczepności brał zakręty, balansował na ruchomym zawieszaniu dostosowującym się do biegu szosy. Orgazm z dwoma mikse Yami paliwa!

Komp wyrzucił na ekran ostrzeżenie, zwolniłem akcelerator z ogromnym żalem, ale w tej miejscinie nawet dughiel musiał zwolnić. Plamy asfaltu różnego

autoramentu, senni kierowcy w kabrioletach, prawie wszyscy uskakiwali nam z drogi, gdy tylko obraz z siatkówki docierał im do mózgu. Zerknąłem na Tade.

–Policję znajdziesz na drugiej ulicy w prawo. Mnie wysadz tutaj. Będę w „Koralowej Grocie”, o tam! – wskazała palcem.

Zatrzymałem wóz i poczekałem aż wyszła. Zgodnie z instrukcją skręciłem w drugą ulicę i zaraz za rogiem zatrzymałem się. Na schodach wykwił wzorowy mundur. Zapaliłem papierosa i podszedłem do niego.

–Czy zastałem detektywa Eilbachera?

Wykonał sprężysty zwrot i wskazał mi ręką kierunek. – Pokój numer dwadzieścia, sir – wyrecytował jędrnie.

–Nie jestem z wizytacją, kolego – powiedziałem z wyrzutem. – Przez ciebie będą się ze mnie śmiali koledzy.

Zostawiłem go niewzruszonego z miną „Pan raczy sobie żartować, sir. Panu wolno, sir”. W korytarzu skręciłem w lewo, gdzie po kilku krokach znalazłem pokój z dwunastką na drzwiach i z wizytówką „Yod Eilbacher”. Zastukałem i wszedłem. Yod Eilbacher był rumianym, krzepkim czterdziestolatkiem, zawodowym optymistą, do którego zaufanie czują nawet zatwardziali przestępcy. Ucieszyłem się. Znałem takich policjantów i nigdy się na nich nie zawiodłem.

–Dzień dobry. Nazywam się Owen Yeates... – wyciągnąłem dłoń i zdziwiłem się stwierdzając, że już od pewnej chwili spoczywa w jego dłoni.

–Po co tyle słów? – powiedział z wyrzutem, ale uśmiechnął się oczami. – Żebym ja... – kciukiem drugiej dłoni stuknął się w pierś -... ja, Yod Eilbacher, stary człap, który na starość znalazł sobie synekurę na tej wyspie, gdzie każdy z mieszkańców ochoczo odetnie dłoń złodziejowi, ja, który od pół wieku żyję tylko wtedy, kiedy czytam sensowną powieść sensacyjną, ja, który zakosztowałem gorzkości współpracy z oficjalnymi organami ścigania i zapobiegania, żebym ja nie wiedział, kto to jest Owen Yeates?! Musiałbym zaszpachlować sobie wszystkie fałdy mózgu! Poza tym działa telefon, rano uprzedzono mnie o twojej wizycie. Chłopie, udało nam się nawet aresztować jednego wypitego kierowcę – wysprzątał nam kibel. To święto...

–Po co tyle słów? – uśmiechnąłem się. – Oszczędzaj ślinę, mam kilka pytań.

–A ochotę na jednego maluskiego? Masz?

–Chyba, że jednego...

–Siadaj... – wskazał fotel, najwyraźniej swój własny, bo przy fotelu stało zwykle plastikowe krzesło. Usiadłem, wzruszony troską Eilbachera. Jeszcze bardziej

mnie wzruszył, gdy zobaczyłem, że otwiera nowiutką butelkę Goldsteina. Postarałem się, żeby wyraz mojej twarzy wynagrodził mu wysiłek i wydatek. Chyba mi się udało.

–Skoro miałeś telefon, to pewnie wiesz, o co mi chodzi? – powiedziałem po drugim łyku.

–Włamanie do posiadłości pana Guylorda... – pokiwał głową. – Tak, wiem. Już mówię – łyknął szybko. – Powiem krótko: nie wyjaśniliśmy, jak zabity przedarł się przez system ochronny. Zero danych. Nieco więcej informacji mam o zabitym. Opowiadać, czy sam poczytasz z dysku?

Zastanowiłem się wypełniając tę chwilę smakowaniem żyta.

–A ty jak sądzisz? – zapytałem.

–Szkoda czasu na moje gadanie – skrzywił się. – Jest tam... – wskazał palcem kopertę z dyskiem -... wszystko.

Mnie osobiście zainteresowało co innego: nikt na naszej wyspie go nie widział. Dla mnie znaczy to, że nie było go tutaj, musiał wylądować w nocy. Niby daje to nam jakiś ślad, ale tylko pozornie. Po prostu nie dało się znaleźć łodzi czy flyera, który przerzuciłby go do nas. Pewnie prywatna jednostka z pokręconym kompem, czyli nie do znalezienia... – machnął dłonią i wlał w gardło chłodny płynny ogień.

–A broń z samonaprowadzaczem? Przecież to ślad wyraźny jak... – rozłożyłem ręce szukając odpowiedniego porównania.

–Guzik tam! Ślad wyraźny jak, za przeproszeniem, pierdnięcie w środku tornada. Jeśli coś ginie z magazynów wojskowych, to im bardziej jest to tajne, tym trudniej znaleźć dziurę. W tym przypadku dziury po prostu nie ma. Rozumiesz?

–Taaa... – wyjąłem swoje papierosy i poczęstowałem go. Zapaliliśmy i niemal jednocześnie wypuściliśmy smugi dymu. – Czy ten zabity... Jak on się nazywa?

–Culp Manktelow, pseudo Beczka Śmiechu – zawiesił głos, najwyraźniej czekając na moje pytanie. Zasłużył na nie chociażby tą żytniówką.

–Dlaczego Beczka Śmiechu?

–Był pilotem, dość długo, aż kiedyś zapomniał zapiąć pasy. Głupi przypadek... Wykręcił beczkę i wypadł z fotela. Dobrze, nie? Miotał się w kabinie miotającego się samolociku i dosłownie centymetry nad ziemią udało mu się opanować maszynę. I wylądował, ale miał czuba przez pół roku. Od tej pory nie mógł się kręcić nawet w fotelu. Żerował w branży drobnych oszustów, szantażyków, mała ryjówka przy pomocy kostnicy...

–Czekaj – czekaj! Trochę wypadłem z branży...

–Ryjówka to pobicie, a kostnica to kastet – wyjaśnił.

–Aha! Obrazowe. Tylko, że dziwi mnie zaangażowanie do tej roboty takiego łapserdaka...

–Typowy kandydat do betonowych skarpetek – machnął lekceważąco ręką Yod. – Dostał taki sprzęt, który sam wykonałby robotę. A jego przeznaczyli do piachu, drobnej płotki nikt nie będzie szukał. Natomiast inna rzecz jest zastanawiająca...

–Tak... Dlaczego zabito go przed wykonaniem roboty...

–Właśnie. To bez sensu.

–Chyba że zleceniodawca i egzekutor to inne parafie.

–Tylko tak. Ktoś zlecił, kto inny przeszkodził.

–Monte Christo 2061 – powiedziałem, wypiwszy ostatnią kroplę ze szklanki.

Yod wychylił się i chwycił w dłoń butelkę. Zaprotestowałem słabo, a on udał, że łamie moje skrupuły. Tym razem dodałem kostkę lodu.

–Jak rozumiem – gestem wzniosł toast – masz do wyjaśnienia dwie kwestie: kto wynajął i kto się wtrącił. Nie? Obie ważne... – rzucił w stronę sufitu. Kiwnąłem głową. – Bo ten, co uratował Guylorda, może mieć co do niego inne plany, a tego Richmond nie lubi. Dobrze mówię?

–Lepiej nie można... – zapewniłem go. Wlałem w jamę ustną całe żyto i chwilę trzymałem na języku. Po przełknięciu odetchnąłem głęboko i podniosłem się z fotela. – Jestem ci niezmiernie wdzięczny – powiedziałem wyciągając dłoń do Eilbachera. – Jakbyś coś miał...

Zrobił minę „Obrazasz mnie, brachu!”, więc tylko mocno ścisnąłem mu dłoń i wrzuciłem dysk do kieszeni. Mundurowy musiał dostać od kogoś cynk, że wychodzę, bo stał wyprężony jak w ostatnim stadium tężca. Powstrzymałem się od idiotycznych uwag, pożegnałem go uprzejmie i ruszyłem na piechotę do „Koralowej Groty”. Trochę byłem zamyślony i dlatego dopiero po wejściu do lokalu zorientowałem się, że wystrój całkiem odbiegał od tego, co spodziewałem się tam zastać. Ściany udostępniono do pomalowania grupce rozbrykanych dzieciaków, po suficie deptała ubłoconymi buciorami pijany olbrzym, przy czym obcasy wbijał głęboko w pokrycie powierzchni, część stolików tonęła w mroku, podczas gdy inne zalane były jaskrawym światłem niczym stoły operacyjne. Jednym słowem – designer postarał się doprowadzić przepustowość lokalu do maksimum. W każdym razie na pewno nie można było nawet marzyć o intymnej randce czy poważnej rozmowie w „Koralowej Grocie”. Ciężko się

napracowałem szukając Tady, dopiero jeden z kelnerów przechodząc obok mnie obcesowo wskazał kciukiem za swoje plecy. Dotarłem do niej zastanawiając się, czy jestem rozbawiony, czy wściekły. Ona na pewno była rozbawiona.

–Zaskoczony? – zapytała.

–Czy ja wiem?... Chyba tak. Nie bardzo rozumiem konwencję tego miejsca...

–Szok – wzruszyła ramionami. – Tylko tyle. Począwszy od progu ma gościa ścigać absurd, niespodzianka... „Koralowa Grota” nie ma stałych bywalców, tu się przychodzi raz, potem drugi raz przyprowadza się kogoś i koniec.

–A czymże tak zaskakują gości?

–Czym się da. Znakomite trunki i podłe jedzenie.

Podrzędnej jakości striptiz i kasowi playboye najwyższej jakości, wystawy...

–Jeśli powiedziałaś „znakomite trunki”, to na razie mi to wystarczy – przerwałem. Rozejrzałem się. – Czy obsługa zaskakuje tu gości swą szybkością, czy trzeba podziurawić sufit, żeby...

–Słucham pana? – odezwał się ktoś z mojej lewej strony.

Odwrociłem się do kelnera. Ten sam, który kciukiem wskazał jedną z gwiazd światowego baletu jednemu z lepszych detektywów wszechświata.

–Co pijesz prywatnie? – zapytałem go.

–Klelovaca... – powiedział i zawiesił głos.

–Jeszcze się to robi? – zapytałem. – Myślałem, że w Jugosławii skończyły się jałowce. Hm... A co jeszcze?

–Lubię też sidecar, ale z aurum zamiast cointreau – odezwał się patrząc na mnie uważnie.

Pokiwałem głową.

–Mogę to sobie wyobrazić. I nie razi to mojego podniebienia.

–Do deseru lubię lipski balsam – powiedział wyzywająco.

–Ale przepijany mocną słodką kawą – dodałem szybko.

Nabrał powietrza w płuca.

–Czy mówi panu coś nazwa Klosterneuburg? – zapytał.

–No pewnie – ucieszyłem się. – Czy nadal rezyduje tam Huggi Klaff? I ciągle jeszcze nie może wybaczyć tym, którzy za lepszy gatunek drewna limuzynowego uważają dębinę z Troncais?

–Wszystko się zgadza, proszę pana. Pozwoli pan, że podejmę się przyrządzenia czegoś specjalnego dla pana?

–O tym właśnie marzę. I także coś dla pani...

–Wybacz pan, ale to mój koktajl, z moich trunków i robię go tylko dla swoich gości. Z całym szacunkiem, madame... – skłonił się w stronę Tady i oddalił.

Zachichotała radośnie. Dotknęła mojej dłoni czubkami dwóch palców.

–No i tak tu właśnie jest, nie przejmuj się. Zaskoczenie, oszołomienie, podniecenie, ośmieszenie... To naczelne hasła lokalu. Zobacz ten „Absurdetyń” – Podsunęła mi zadrukowaną ozdobną czcionką kartkę, rzuciłem na tekst okiem:

„Jeszcze dwadzieścia lat temu w wagonach kolejowych Polski (Europa Centralna) wisiały obowiązujące pasażerów regulaminy, w których można było przeczytać między innymi:

Zabrania się bez zgody konduktora przesuwac oparcia. Zabrania się jazdy na dachach, łączach wagonów itp. Po

dotarciu do stacji końcowej pasażerowie są zobowiązani (sic!) do opuszczenia wagonów.

Popatrzyłem na Tadę.

— To są szczyty absurdów, jeszcze jedno dziwactwo „Groty”. Ale powiedz mi, o co chodzi z tym drewnem limuzynowym?

—Ha! To najlepszy surowiec do wytwarzania beczek i kuf przeznaczonych do leżakowania szlachetnych win i koniaków. Jedni wolą dęby z dawnej prowincji Limousin, inni z lasu Troncais. To wszystko.

Patrzyła na mnie uważnie. I poważnie. Popatrzyłem i ja na nią. Mały, puszysty, lekki jak z nasion dmuchawca berecik-czapeczka, odrobinę przekrzywiony, nadawał twarzy zadziorny czy też może zawadiacki wygląd. Szarzielone, z przewagą szarości oczy były stworzone do śmiechu, kobiety z takimi oczami idą przez życie radośnie, raźnie, i najczęściej przed czterdziestką załamują się całkowicie i kończą skokiem w przepaść. Czasem, ale to rzadko, dożywają sędziwego wieku i stają się cudownymi pogodnymi staruszkami, w ich oczach zakochują się młodzi niewinni młodzieńcy.

—Możesz wymienić jakiś trunek na literę „s”? – zapytała.

—Sake, samshu, steihager, strega, starka...

—A na „c”?

—Cydr, curacao, chianti, claret, cobler...

—A na „g”?

—Goldwasser, grappa, griotte... Co to?. Chcesz mnie wynająć na przyjęcie?

—Nie... – upiła trochę ze swojego kieliszka. – Zastanawiałam się dlaczego Ricke wynajął akurat ciebie do tej sprawy...

—No, to teraz już wiesz – kto się zna na trunkach, zna się na wszystkim.

—Czyżbyś się czuł onieśmielony? – zapytała. – Zmieszany? Przestań... – znowu dotknęła mojej dłoni swoim palcem. Działo to jak łyczek AYO. – Rozumiem teraz, dlaczego uparł się akurat na ciebie.

Zobaczyłem, że do naszego stolika zbliża się mój kelner, niosąc na małej tacy wysoki kieliszek z czymś niemal przeźroczystym z lekkim różowym nalotem.

—Bardzo się cieszę – powiedziałem do Tady. – Wyjaśnisz mi to kiedyś, bo ja nadal nie rozumiem.

Kelner postawił przede mną kieliszek i natychmiast oddalił się. Przypomniałem sobie, że naczelną dewizą knajpy jest zaskoczenie. Powąchałem napój, jakieś mgliste skojarzenie rozbłysło mi w głowie, ale nie skonkretyzowało się. Popatrzyłem na Tadę i łyknąłem. W pierwszej chwili poczułem tylko piekące zimno w język, a potem kubeczki smakowe oszalały. Przymknąłem powieki i oddałem się wzruszeniom. Wszystko było w tym kieliszku, ramiona pięknych kobiet” poezja Clefta, pęd powietrza na górskiej autostradzie, aromat orchidei... Całe życie. Chyba zasnąłem na kilka minut. Ale kiedy obudziłem się, mój kieliszek był pusty, a Tada wpatrywała się we mnie roziskrzonymi oczami. Odetchnąłem głęboko, a ona trąciła paznokciem brzeg swojego kieliszka.

—Uważam, że seks ma sens tylko wtedy, jeśli czuję do partnera coś. Cokolwiek – szacunek, podziw... Naprawdę cokolwiek, ale tylko wtedy nie jest to mechaniczna masturbacja, którą łatwo można zastąpić chociażby rewelacyjnym kremem „ONA-n-I-ON”

—Jest coś takiego? – zdziwiłem się przesadnie sztucznie, chociaż naprawdę nie wiedziałem nic o takim kremie.

—Tak, już jest, ale...

Przerwałem jej, unosząc wskazujący palec do góry.

—Dostroiłś się do reguł lokalu – uśmiechnąłem się. – Ale ja już jestem uodporniony. Chcę trochę pozastanawiać

się w domu. Wracasz ze mną czy...

–Czy... – uśmiechnęła się. – Spróbuję naciągnąć kelnera na ten koktajl. Podszkoliłam się trochę. Do zobaczenia.

Odnalazłem spojrzeniem „swojego” kelnera i podszedłem do niego. Popatrzył na mnie pytająco.

–Jeśli będę znowu w Wiedniu, powiem Klaffowi, jak się wygłupił, nie proponując panu katedry w swojej szkole.

–Proponował – powiedział z udawanym oburzeniem.

–No to go skopię za brak konsekwencji – wyciągnąłem dłoń i mocno uściśnąłem jego prawicę. – Pod żadnym pozorem, gdybym się nawet czołgał u pańskich stóp, proszę mi nie podawać tego nigdy więcej. Człowiek musi – o czym marzyć...

Skinął głową. Poszedłem do wyjścia, zanurzając się na przemian w plamach mroku i obłokach iluminacji. Na ub., oblizalem wargi i – nie czując już na nich smaku nektaru – zapaliłem papierosa. Dokończyłem go w dughielu i dopiero potem ruszyłem w drogę powrotną. Nagłe ze zdziwieniem zauważyłem, że wóz już mnie tak nie podnieca. Włączyłem rewers w autopilocie, zwolniłem do stu i półżąc w fotelu, ignorując widoczki za oknem, wróciłem do raję.

Pobawiłem się pół godziny z parą przyjaciół czekając i natchnienie, ale musiałem za szybko wracać – nie dogoniło mnie jeszcze. Poszedłem na plażę i wykąpaliliśmy się we trójkę. Wypaliłem dwa papierosy, patrząc na Sabę i Serwo wytrzępujących ze śmiesznym klapiącym dźwiękiem wodę z uszu, i dopiero wtedy dopadła mnie ochota na znajomość z Culpem Manktelowem. Wróciłem do pokoju via kuchnia, wysunąłem z barku segment chłodziarki i wpakowałem doń przyniesione piwo, wciskając jednocześnie dyskietkę do czytnika, zacząłem odtwarzać życiorys pechowego pilota i nieporównanie bardziej pechowego zamachowca. Dwadzieścia minut trwało zapoznanie się z cudzym niedokończonym życiem, co jakiś czas dźgałem palcem ekran, wynotowując w ten sposób ciekawsze fakty, nazwy, nazwiska.

Szkoła w Fillimore.

Kurs pilotów amatorów – instruktor Bob Viels.

Dwuetapowe szkolenie zawodowe.– dwaj instruktorzy, trzej nieco bliżsi koledzy, chyba bez znaczenia.

Cztery próby pracy w zawodzie pilota – małe szansę na punkt zaczepienia.

Wypadek.

Leczenie.

Etap staczania po równi przestępczej – siedem nazwisk...

Patrząc w ostatnią kropkę dokończyłem drugą puszkę piwa. Przy pierwszej literze drugiego odczytu otworzyłem trzecią. Czwarta minęła mi na zastanawianiu się. Potem zażądałem statystycznie najlepszych znajomych Manktelowa. Z czterema widywał się dość często w ciągu ostatnich dwu lat. Skreśliłem ich na razie z listy podejrzanych – z całą pewnością policja rzuciła się na nich jak pchły na wykąpanego

mopsa. Po tych wizytach albo schowali się do własnych szaf, albo zostali schowani pod warstwą podłóża. Po odrzuceniu drobnych szumowin zostały trzy osoby, z jedną widział się tylko dwukrotnie, i to dość dawno temu. Ivor. Pouncy, małe prywatne lotnisko z kilkumiejscowym hangarem i warsztatem, do którego nie zmieściłby się nawet dziecinny latawiec. Przed startem czy lądowaniem musiał ktoś przejść się po trawie i nogami rozrzucić krecie kopczyki. Tak mi to wyglądało. Osoba bez perspektyw dla mnie. Dwaj pozostali – Fintan Warmby i Stephen McFarden to kolesie od małych szwindelków. Pierwszy odsiedział już połowę wyroku, drugi stoczył się do handlu narkotykami w szalecie na lotnisku.

Nic. Zero.

Przekręciłem się na kanapie i wygodnie ułożyłem, strącając puste puszki na dywan. Najprościej byłoby znaleźć tego, kto zabił Manktelowa. Albo tego, co przywiózł go na Wyspę Gołębią. Albo tego, kto go wynajął. Może to jedna osoba, może dwie, może trzy. Ale skoro policja, operująca dowolną ilością ludzi i wtyczek, nie znalazła tych

wyraźnych śladów, to ja miałem na to tyle szans co wieloryb na kiść bananów. Musiałem znaleźć coś innego, coś, co dla mnie odłożył los, wtedy ruszę z miejsca. Leżąc szukałem tego czegoś ponad godzinę, później wyszedłem z domu i poszedłem na spacer w stronę półwyspu. Ułożyłem się na miękkiej trawie, tuż nad dwumetrowym spadkiem do wody i leniwie liczyłem fale. Kilkanaście minut później zjawiała się na plaży Tada. Zrzuciła z siebie ubranie i weszła do wody. Zanim fale sięgnęły jej kolan, podszedł do niej Nabuchodonozor i dostojnie zanurzył swoje cielsko. Tada rzuciła się zaraz za nim. Położyła mu ręce na karku, a wtedy gigant odwrócił łeb i popatrzył na nią. Szybko zdjęła dłonie z jego szyi. Doskonale ją rozumiałem. Można tańczyć na jednej nodze, ale bez jednej ręki? Pomyślałem, że jutro odleczę na kontynent. Potem – że Tadę nagą widzę po raz drugi i pewnie ostatni. Zaraz potem mózg czknął i wyprowadził wynik. Nie jestem naiwny i nie uwierzyłem mu bez zastrzeżeń, ale uparcie nie chciałem zmienić decyzji. Odpowiedział, że dwa to moja szczęśliwa liczba. Podziękowałem mu więc i chyłkiem przemknąłem do domu. W pokoju porozmawiałem przez telefon z Guylordem i zamówiłem pioniera na dziesiątą rano. Zasnąłem w radosnym nastroju, podniecony zbliżającym się następnym dniem. Szczerze mówiąc, usiłowałem przekonać samego siebie, że mam tyle prawa do radosnego wyczekiwania świtu co skazaniec w celi śmierci, ale zdrowy rozsądek zajmuje w moim umyśle jedno z mniejszych mieszkań. Zresztą nie ma tu dużych pomieszczeń.

Pyma miała rację – bastaad czekał na mnie. Oplatany kilkunastoma kablami, które łączyły komp z najważniejszymi węzłami wozu. Co trzy dni komp uruchamiał na kilka minut silnik, sprawdzał ciśnienie w oponach, zbieżność kół, układ hamulcowy, testował końcówki w wozie, uaktualniał dane w pamięci i tak dalej. Mogłem wystartować po dwóch sekundach, ale nie śpieszyłem się. Wsiadłem do wozu, włączyłem radio i wygodnie rozparłem się w fotelu. Usłyszałem cichutkie tchnienie silnika wypychającego z panelu popielniczkę. Z głośnika dobiegły mnie oklaski i śmiech.

–Panie doktorze! – usłyszałem wysoki, skrzeczący głos.

–Słucham? – uprzejmie odpowiedział drugi, z pretensjami do barytonu.

–Proszę o tabletkę przeciw chciwości. Ale dużo. Dużo! DUŻO!!!

Ryknęła publiczność. Fala oklasków dopadła mikrofonów, zalała je i chlusnęła strumieniem do mojego bastaada. Poprawiłem nieco ustawienie fotela, choć od razu pomyślałem, że za kilkanaście najwyżej minut zmienię je jeszcze raz, na poprzednie. Sprawdziłem specjalne olstra pod fotelem i skrytkę. Oklaski w głośniku osłabły.

–Wiesz, pracuję nad eliksirem młodości... – oświadczył prawie baryton.

–A dasz mi trochę?

–Hmm, dobrze. Masz jakąś butelkę?

–Mam, weź. Ale jak ci się nie uda?

–Uda się, uda...

–A jak nie?

–Na pewno się uda!

–Ale co będzie, jak nie?

–No to ci oddam butelkę!...

Pomocnik reżysera włączył tablicę świetlną z napisem „Burzliwe oklaski i śmiech”, tłum zareagował właściwie. Ja też. Wyłączyłem radio i w ciszy trąciłem dekonsor zapłonu. Odczekałem kilka sekund, póki nie pisnął cichutko sygnał gotowości mieszanki. Omal się nie rozplakałem pod wpływem tych kilku czynności, tego niemal duchowego kontaktu z własnym samochodem. Jakbym witał się ze swoim ukochanym koniem, jakbym żegnał swój spalony przez faszystów czołg, jakbym... Tfu! Podjechałem do najbliższego baru dla zmoto i zapełniłem lodówkę piwem, kanapkami, a oba termosy napełniłem kawą, sprawdzivszy uprzednio, jak smakuje. Pызata kelnerczka z zadartym noskiem i niewielką domieszką czarnej krwi popatrzyła na mnie żałośnie, jakby zazdrościła mi wyprawy; niemal czekałem na słowa: „Błagam,

niech mnie pan stąd zabierze. Duszę się!”. Nie było z nią jednak aż tak źle.

Zapłaciłem i włączyłem się w niemrawy, rzadki o tej porze korowód samochodów. Zbliżając się do rogatek miasta sprawdziłem trasę na ekranie i – nieco stremowany – wcisnąłem do szczeliny kompa wytrych. Tym razem zdobyłem wytrych, z innego źródła i nie byłem pewien, czy jest równie dobry jak te, którymi posługiwałem się przed dwoma laty. Na szczęście był – dostałem pozwolenie na włączenie się do najszybszego pasma i priorytet na nim. Dwie godziny wyciskałem z wozu wszystko, co mogłem wycisnąć, nie był to dughiel, ale właśnie to mi się w nim, podobało. W tamtym demonie zupełnie nie czuło się szybkości, po prostu otoczenie szybko – przesuwało się za oknami samochodu. Bastaad wibrował i drżał, panel informował mnie o walce kompa z pompami paliwa i mieszaczkami. Wóz łasił się – patrz jak się staram! I doceniałem to! W trzeciej godzinie włączyłem autopilota i zjadłem śniadanie. Byłem podniecony, jakbym jechał na pierwszą w życiu orgietkę czy narkoparty. Po godzinie, kiedy zjechałem z głównej drogi, zobaczyłem; że horyzont jednym niezauważalnym skokiem podniósł się wyraźnie ponad poprzedni poziom, sprawdziłem to zjawisko w kompie. Pola solarów! Kilka minut później droga i ja wbiliśmy się w gęsty las wysokich słupów, na szczyty których nabito owalne płyty baterii słonecznych. Pod słupami, jak okiem sięgnąć, sterczały uliścione słupki ananasów czy innej kapusty. Olbrzymia tablica z dumą informowała o tym, że jadę przez największe w kraju pola solarów, jedno z niewielu, które nie marnuje uprawnej ziemi. Dwadzieścia minut później zwolniłem i skręciłem w boczną wąską drogę. Słupy zbliżyły się do mnie, niemal jak w „Koralowej Grocie” przecinałem pasma słonecznego blasku i cienia. Potem elektrownia skończyła się i minąłem wiotką podrdzewiałą bramę. „Ivor Pouncy. Awionetki, Flyery, Warsztat” przeczytałem napis i zatrzymałem się zaraz za bramą. Posiedziałem kilka minut kończąc papierosa i zastanawiając się nad taktyką rozmowy. Nie zauważyłem żadnego ruchu na lotnisku, nikt nie wychodził z żadnego z trzech budynków. Jedynym ruchomym elementem był wąty rękaw, smętnie powiewający niczym marna reklama środków antykoncepcyjnych. Wrzuciłem bieg i starając się nie hałasować podjechałem pod najbliższy budynek. „Biura”. Rozśmieszyła mnie ta liczba mnoga. Wciągnąłem nosem powietrze i nie czując zapachu” paliwa, zapaliłem papierosa. Wszedłem do budynku. Biuro wyglądało tak jak można się było spodziewać: tegoroczny kalendarz, najnowsza rzecz w całym pomieszczeniu, biurko z plastyku, który dawno już zaniechał udawania drewna, kilka kartek przyciśniętych kawałkiem mosiężnej rurki. Trzy krzesła pod ścianą. Telefon z rozbitą obudową. Na

biurku kubek z wystygłą herbatą, a na parapecie młodzieżowy teleskop. Wolno podszedłem do drzwi obok półki z telefonem i otworzyłem je. W zaciemnionym pokoju sapał na łóżku jakiś mężczyzna. Wróciłem na palcach i szybko przejrzałem biurko. W najwyższej szufladzie znalazłem starutki pistolet typu tom. Najzawodniejsza broń świata. Miał się o tym za chwilę przekonać Ivor Pouncy.

Wróciłem do drzwi i mocno je szarpnąłem i równie energicznie zatrzęsnałem.

–Hej! Jest tu kto? Szefie! – ryknąłem.

Szczęknęła klamka i do biura wbiegł mężczyzna.

–Ivor Pouncy? – zapytałem.

–Tak... – był najwyraźniej zdziwiony widokiem potencjalnego klienta. – Słucham?

–Flyer na siedem dni?

Chwycił się za włosy na tyle głowy i szarpnął mocno. Wargi wyciągnął w ryjek i chwilę myślał.

–Niestety... – wydusił w końcu z siebie. – Aktualnie nie da rady... – powiedział z wyraźnym żalem w głosie.

Jego wahanie zinterpretowałem w wygodny dla siebie sposób.

–Bo jakby nie ten lewy towar, to byś sobie dorobił. W uczciwy – od niepamiętnych czasów – sposób. Nie? – rzuciłem mrugając teatralnie okiem.

Zachował się również teatralnie: najpierw zmrużył oczy, potem obrzucił mnie ciężkim – w jego mniemaniu – spojrzeniem, wydał pogardliwie wargi.

–Proszę stąd wyjść! – warknął.

Serce zabiło mi radośnie. Jego prawa dłoń przesunęła się nieco. Moja powędrowała do nosa, gdzie wskazującym palcem zająłem się drapaniem. Patrzyliśmy na siebie chwilę, potem Pouncy nie wytrzymał:

–Wynocha! I to biegiem! – wrzasnął.

Parsknąłem śmiechem, na ile się dało, pogardliwym.

Wtedy szarpnął szufladę i niezgrabnie wyciągnął z niej toma.

–Fachowcy... Co ja mówię – fachowcy! Ktokolwiek ma jakiegokolwiek pojęcie o broni, nazywa ten przyrząd „tom-złom”. Jego awaryjność przekracza sto procent...

Nie uwierzył mi. Dość szybko trzasnął bezpiecznikiem i strzelił mi w brzuch. Skręciło mnie ze śmiechu.

–Ale na wszelki wypadek... – wykrztusiłem – Wyjąłem naboje.

Zamachnął się i rzucił we mnie tym żelastwem. Nie zdążyłem się uchylić,

zabolał mnie uderzony bok i radośnie zatłukło się serce. Ivor Pouncy skoczył do mnie wyprowadzając z rozbiegu coś, co miało być prawym prostym. Bez wysiłku odchyliłem pięść od swojej twarzy i soczyście grzmotnąłem go w serce. Jęknął i odpadł ode mnie, ale nie zrezygnował. Ustawił się i zerknął na mój brzuch. Poczekalem aż wyprowadzi kopa, okręciłem się na pięcie niczym torero i niezbyt mocno pacnąłem go w nos. Zablokowałem lewy sierpowy (o ile to był lewy sierpowy) i dźgnąłem go w żołądek. Zdążyłem nawet jeszcze dołożyć kolanem co nieco w pachwinę. Odsunąłem się, żeby nie poszarpał mi ubrania osuwając na podłogę, i zapaliłem papierosa. Obejrzałem dość dokładnie kalendarz, zanim – postępując podniósł się z podłogi.

–O co chodzi? – stęknął. – Czego chcesz?

–Jesteśmy na ty? – zdziwiłem się.

Przesunął się do biurka i z niekłamaną ulgą na twarzy oparł o nie tyłek. Pociągnąłem nosem.

–No to czego pan chce?

–Culp Manktejow... – powiedziałem, uważnie wpatrując się w jego oczy. – To twój kolega, prawda? Szczerze się zdziwił. I wystraszył.

–Chłopie! Nie widziałem go od kilku lat!... – powiedział z oburzeniem. – A i tak tylko raz napiłem się z nim wódki, a drugi raz to pogadaliśmy chwilę. Nie miałem dla niego pracy. I to tyle...

Pokiwałem głową z politowaniem, pokręciłem nią z żalem. Rzuciwszy na wpół wypalonego papierosa, zdeptałem go czubkiem buta. Pouncy wyprostował się nieco i nagle rzucił we mnie kubkiem z resztą zimnej herbaty. Tym razem trafił mnie w łokieć i nie było to przyjemne. Zaraz po rzuceniu jeszcze raz ruszył do przodu, postępując nieco rozsądniej. Jakiś nieprzekonywający cios trafił mnie w żołądek, udało mi się dwa razy zaliczyć jego twarz, raz gdzieś koło oka, drugi raz w wargi. Nieco mocniej niż poprzednio trafiłem w dołek i – żeby nie skatować go bez potrzeby – zakończyłem sesję ostrym podbródkowym. Rozrzucił beładnie ramiona i okręcając się na uginających nogach, runął na podłogę.

Przejrzałem metodycznie biurko, a potem przeszedłem do sypialni. Tam również nie było nic ciekawego. Z bagażnika bastaada wyjąłem zwój linki – Pyma miała rację – i przywiązałem Pouncy'ego do krzesła, przeciągając ręce przez blat biurka. Potem przerobiłem nieco teleskop i zamocowałem na statywie. Zapaliłem papierosa, przyniosłem z łazienki kubek zimnej wody: Pouncy zareagował

prawidłowo. Poczekalem – aż dojdzie do siebie całkowicie, przestawiłem przyniesione z sypialni krzesło, tak żeby mnie widział, i powiedziałem:

–Posłuchaj mnie, najlepiej uważnie. Chcę wiedzieć, kto i do czego wynajął przy twojej pomocy Manktelowa. Raz! – pokazałem mu wskazującym palcem. – Dwa – kiedy to było. Trzy szczegóły. I to jak najwięcej. Koniec. Popatrz na lewo... – a kiedy zerknął i zobaczył dużą soczewkę umocowaną w statywie i dymek unoszący się z przypalanego blatu, dokończyłem: – Ten biały punkcik za minutę dojdzie do twojej dłoni; zacznie wędrować po niej, zostawiając nadzwyczaj trwały ślad. I to tylko początek. W skrócie rzecz ujmując: nie zostanie tu kamień na kamieniu, już wiem, gdzie masz zbiorniki z paliwem, zrównam z ziemią ten nędzny przybytek. Z ciebie też wiele zostanie. Daję słowo! Muszę stąd wyjść z informacjami, i wyjdę. A ty nie musisz wychodzić. Wszystko jasne?

Pouncy szarpnął się, ale ułożony był w wyjątkowo niesprzyjającej dla siebie pozycji. Przekręcił głowę i zerknął na soczewkę. Krótka ścieżka czarnego zwęglonego plastiku dotykała już niemal brzegu jego dłoni.

Ziewnąłem nieelegancko i potarłem czoło. Czując na sobie przerażone spojrzenie więźnia, przymierzyłem się do telefonu. Miał wystarczająco długi przewód, wobec czego nie urywałem go, tylko rzuciłem nim w szybę. Kiedy rozsypała się i zapadła cisza, wyjaśniłem:

–Będzie ohydnie śmierdziało. Trochę świeżego powietrza nam się przyda. Masz jakiś alkohol?

Zostawiłem go sam na sam z wiązką inwektyw, którą starał się ułożyć jak najprzemysłniej. Wyjąłem z lodówki wozu dwie puszkę piwa; jedną wypilem od razu, a z drugą w dłoni wróciłem do biura Pouncy’ego. Szarpnął się odsuwając dłoń spod plamki skumulowanego słońca. Na razie udało mu się zrobić to kosztem wrzynających się w przeguby więzów. Pstryknąłem w dno puszkę spieniaczem.

–Powiedziałem już – jęknął. – Nie widziałem faceta od kilku lat. To prawda. Pytała mnie o niego policja, chyba pięć dni temu. Wszystko im powiedziałem. Wszystko... Jezu-z-zuu!...

Żar musnął jego dłoni łyknąłem z puszkę i jeszcze raz ziewnąłem.

–Puść mnie! – wrzasnął. – Ty sadysto!

–No?! – ryknąłem podrywając się z krzesła. – Jeszcze raz mi to powiedz! – zagroziłem.

Zamilkł, to znaczy zaczął jęczeć. Widziałem, że ustawiona na blat plamka żaru

na jego dłoni rozproszyła się i właściwie nie sprawiała mu bólu. Skowyczał mimo to szczerze. Napilem się piwa.

–Nie wiem – wydusił przez zaciśnięte zęby. – Nic nie wiem. Nie widziałem tego gnojka... Nawet policja mi uwierzyła.

–Policja to policja – rzuciłem filozoficznie. – A ja to ja... Coś mi się wydaje, że niezbyt precyzyjnie ustawiłem soczewkę...

Sięgnąłem do statywu i zacząłem manipulować pokrętłami.

–Zaraz to ustawię... – stęknąłem, okręcając śrubę – i zajmę się... zbiornikami. No, puściła, franca – poinformowałem Pouncy’ego. – Teraz będzie lepiej.

–A-a-a! – rozdarł się gdy tylko plama ułożyła się na wierzchu dłoni. – Dość!!! Powiem!

–E tam! – machnąłem dłonią. – Jak nic nie wiesz, to co mi możesz powiedzieć? Przejdę się do...

–Nie-e! Powiem! Powiem... Wynająłem Culpa! Szybko! Zabierz pan to świństwo.

Strąciłem statyw ze stołu i przysunąłem się tak żeby Pouncy mógł patrzeć na mnie.

–No, to biegiem. Szanuj mój czas i nerwy. Hę?

–Powiem... O Jezu... Dwa tygodnie temu... Może szesnaście dni... Zadzwonił do mnie ktoś... Nie wiem, kto... Naprawdę! – Unosił jak tylko się dało spoconą twarz. – Nie kłamie! – krzyknął widząc, że wstaje.

Odwiązałem długie kawałki sznura. Mógł teraz siedzieć, mógł poruszać rękoma. Wyjąłem z wewnętrznej kieszeni bluzy biffaxa i ułożyłem na swoim udzie. łyknąłem piwo.

–Pokaż rączkami, gdzie mieszka bozia. I gadaj! – Uniósł posłusznie ręce.

–Głos w słuchawce najpierw powiedział mi, że wie, czym się zajmuję...

–A propos, czym? – zainteresowałem się.

–No przecież szmugiel – zdziwił się. – Co się da, ludzie, egzotyczne zwierzęta, czasem trochę konopianki...

–Dobra, i co dalej?

–No więc ten facet powiedział, że potrzebuje kogoś do szybkiej jednorazowej roboty. Zapłaci dobrze i mnie też coś spłynie. Zapytałem, co to za robota, ale on się roześmiał i powiedział, że szczegóły omówi z wykonawcą, no to przestałem się dopytywać. Wtedy on powiedział, czego szuka. Miał to być ktoś w potrzebie, dość

zręczny i najlepiej żaden mój znajomy. Musiałem się chwilę zastanowić, ale akurat podchodził do lądowania flyer i przypomniałem sobie Culpa Manktelowa. Powiedziałem rozmówcy to nazwisko i ostatni adres. I to tyle. Następnego dnia dostałem dwie setki. Wszystko...

–Kilka dni temu mogłeś je jeszcze wydać na kwiaty dla Culpa. Teraz to już nawet na to za późno... – powiedziałem.

–Cu... Culp?... – zająknął się.

–Culp! Culpi... – przedrzeźniałem go. – Wystawiłeś swojego kolesia. Kręci teraz beczki dla świętego Piotra...

–A ja?., – jęknął.

Popatrzyłem na niego zdziwiony. Miał rację.

–No... Skoro żyjesz...

–Nie było mnie tu przez ostatni tydzień – wyjaśnił szybko.

–No, to uważaj, żeby słowo „ostatni” nie nabrało nieprzyjemnego dla ciebie znaczenia – poradziłem. – Przypomnij sobie dobrze, czy to wszystko co wiesz? Bo sądzę, że jeszcze...

–Nie! Przysięgam! Nic więcej. Ja... Ja byłem pewien, że ten ktoś potrzebuje pilota. Nawet bąknąłem coś, że ja też mógłbym polecieć, ale tylko się roześmiał...

–A forsa? Jak przyszła?

Potrząsnął głową, rozchlapując dookoła krople potu i wody.

–Znalazłem na biurku. Byłem w mieście i znalazłem, jak wróciłem.

Wstałem i przeciągnąłem się. Pouncy wytrzeszczył oczy i otworzył usta.

–Bardzo to jest niespójne – rzuciłem w stronę rozbitego okna – Zostawię cię przywiązane i skoczę w jedno miejsce, a ty się przez ten czas zastanów. Jak wrócę, jeszcze pogadamy...

–Przysięgam...

–Dla kogo pracujesz?

Pokręcił przecząco głową.

–A tam! – machnąłem ręką. – No, to poczekaj, aż przyjdzie tutaj facet nie tak jak ja, po informację, tylko żeby pozamiatać...

–Nie!... Powiem,” kurwa, wszystko powiem! Zabiją mnie...

Wymienił dwa nic mi nie mówiące nazwiska. Zastanowiłem się chwilę i rozwiązałem go. Chlipał i rozcierał nadgarstki i w końcu ambitnie rzucił się do mnie z pięściami Uszanowałem jego wysiłek i od razu wlepiłem średniej mocy prosty

w szczękę. Sprawdziłem pobieżnie warsztat i dwa pozostałe budynki, ale robiłem to bez przekonania, a wyniki były adekwatne do włożonego wysiłku. Na wszelki wypadek, wróciłem do biura i wytarłem swoje odciski palców z biurka, telefonu oraz teleskopu, zabrałem puste puszki po piwie i odjechałem. Nikogo nie spotkałem w alei Światło-Cień, w ogóle minął kwadrans w samotności, zanim wyprzedziła mnie jakaś lancia. Na autostradzie

włączyłem się do sieci sterującej i pognałem na południe. Droga była prosta i całkiem przyjemna.

Plan, który powoli krystalizował się w moim umyśle, również nie był skomplikowany i – w tej przynajmniej chwili – całkiem sympatyczny. Potrzebowałem do jego realizacji pomocy, i po nią właśnie jechałem.

Drzwi były zamknięte i waliła przez nie z mieszkania głucha, nieprzyjemna cisza. Dałem o sobie znać na kilka sposobów – sygnałem, tekstem do komunika, kilkoma kopniakami w drzwi i dwoma słowami skierowanymi w sufit. Musiałem zejść do bastaada i dłuższą chwilę grzebać w zapchanej różnymi rupieciami skrzynce, zanim znalazłem szyfrych. Kryjąc jego tabliczkę wróciłem do drzwi i przyłożywszy do zamka, uruchomiłem program wyszukiwani; kodu. Trwało to nadzwyczaj krótko – szyfr był dziecinnie prosty, wręcz niechlujny i prowokujący. Wymacałem w kieszeni biffax i wsunąłem się do mieszkania. Dziwny pięciokątny korytarzyk rozwarł na mnie otwory wszystkich drzwi, po kolei zlustrowałem łazienkę, sypialnię, kuchnię. Czwarte z kolei prowadziły do livingu, Nick siedział w fotel z olbrzymią szklanką w dłoni, wpatrywał się w otwór drzwiowy zmrużonymi oczami, z pogardliwym wyrazem twarzy. W popielniczce przed nim dokonały żywota chyba z trzy paczki w postaci petów. Kilka z nich zgasło na blacie stołu, a – sądząc po zapachu – jeszcze inne zgasły w otmętach puchatego dywanu. Bardzo przygnębiający widok. Westchnąłem i wycofałem się do kuchni. W lodówce znalazłem przygotowany do zapakowania w termos lód. Bez pośpiechu, przestrzegając instrukcji, załadowałem termos siedemdziesięcioma dwoma kostkami, odstrzeliłem dwie próbne do zlewu, z trudnością znajdując na nie miejsce w Czomolungmie brudów. Na samym szczycie znalazłem jedną szklankę i – o dziwo – gdy ją wziąłem, reszta góry nie runęła. Starannie wymyłem ją i wysuszyłem pod gorącym, a potem zimnym strumieniem powietrza. Więcej nie miałem tu nic do roboty, zabrałem termos i szklankę i wróciłem do Nicka. Zmienił się o tyle, że sporo ubyło z jego szklanki, a w palcach trzymał zupełnie nowego papierosa. Skorzystałem z okazji i poszedłem do kuchni wyczyścić

popielniczkę, ale gdy wróciłem, nie miałem wyboru – musiałem zacząć mówić. Najpierw nalałem sobie kroplę shenley'ą, Nick spokojnie obserwował moją krzątanie, poruszył się dopiero, gdy odstrzeliłem do szklanki dwie kostki lodu.

–Niezły pomysł – powiedział wolno i bardzo wyraźnie.

–Jasne. Każde vademecum konsumenta zawiera hasło „Kultura picia”. Niestety większość czytelników omija je albo dochodzi tylko do „Koktajle”...

–Odpieprz się, Owen... – wyemitował starannie.

–Dobrze, wyrzucić z siebie wszystko od razu, bo chyba nie masz złudzeń. Ryzykowałem kilka miesięcy aresztu, żeby się tu włamać i mam od progu obrazić się i wyjść?! Daruj...

–No to... – Nabrał powietrza do płuc i wychylił zawartość swojej szklanki do końca.

Kilka sekund zmagał się z przełykiem, ale pokonał go. Wylał lzy wierzchem dłoni i komicznie poważny sięgnął po papierosa, poprzedni spadł mu w dywan. Przydepnąłem go. Czułem, że nie chce mojej pomocy, odczekałem więc aż trafił płomykiem w czubek swojego golden gate'a i dopiero potem zapaliłem sam.

–Czasem... – powiedziałem z namysłem -... poważne problemy można rozwiązać w łatwy sposób.

–Ta-a?... – zainteresował się Nick.

–Mój ukochany sierżant Kaszel zrobił nam kiedyś szkolenie z nocnej orientacji w terenie. Zaprowadził nas na leśną polanę i powiedział: – A teraz wszyscy popatrzcie do góry. Znajdziecie na nieboskłonie Gwiazdę Północną...

–Sierżancie!... – zawołał jeden z nas. – Spadają nam hełmy!

–Aha! – na to sierżant. – No to... Całość! Dwa kroki do tyłu – marsz!

Nick chwilę obserwował sufit, a potem niemal trzeźwo popatrzył na mnie. Uśmiechnął się. Parsknął przez nos.

–Poczekaj...

Wybił się z fotela i ogromnie skupiony wymaszerował z pokoju. Usłyszałem brzęk jakichś przedmiotów w łazience, zawzięcie wyrzucane z ust przekleństwa, a potem w dno głębokiej kwadratowej wanny uderzyły strugi

wody. Sądząc z jęku i soczystych przekleństw, musiała to być zimna, lodowata wręcz woda. Odetchnąłem. Wlałem do szklanki resztę whisky, utopiłem w niej kostkę lodu i z przyjemnością i ulgą wypilem alkohol, górną wargą ratując lód przed jamą ustną. Nick ryczał coraz rozpaczliwiej, poprawiał mi się humor. Wstałem i przeszedłem się po pokoju. Sądząc

po braku kurzu na meblach i porządku, z którego wychylał się tylko stół i dywan wokół fotela Nicka, musiał tankowanie zacząć najwyżej wczoraj. Zajrzałem do barku. Cztery gniazda były świeżo rozmrożone, zaimponowała mi ta ilość. Posłuchałem przez chwilę stękania Nicka, przeniosłem się do kuchni. Gdy wrócił do livingu w szlafroku, rozczochrany, z ręcznikiem, którym zawzięcie szarpał włosy, czekałem na niego ze szklanką mętnej cieczy w dłoni. Pokręcił przecząco głową.

–Nie będę haftował – powiedział.

–To nie to. Weź, odżyjesz, za kwadrans będziemy mogli nawet spokojnie napić się po niewielkim.

Najpierw obwąchał zawartość, a potem, utrzymując zwątpienie na twarzy, wpatrując się uważnie w moje oczy, wypił.

–Brr! – otrząsnął się. – Gdybym ci nie ufał, to bym cię uderzył. – Spojrzał na mnie. – Zdejmij już to zdziwienie z gęby. Przypominasz mi jednego faceta... – Zamilkł, jakby uświadomił sobie, że powiedział coś niewłaściwego, ale podniósł wzrok i dokończył: – Kiedy byłem w drużynie Woodeya... Poszliśmy wtedy do jednego faceta, miał popełnić samobójstwo, ale nie zastaliśmy go w domu. Wtedy właśnie nasz chief był tak zdziwiony jak ty teraz. – Westchnął. – Stare dzieje...

Usiadł i sięgnął po papierosy, ale postukał tylko palcem w paczkę.” Rozsiadł się wygodnie.

–Czy to ma związek z czymkolwiek? – zapytałem.

–Che... – prychnął. – Nikły. – Popatrzył na mnie.

–Chcesz posłuchać?

–Po co pytasz? Wiesz, że jestem ciekawski jak nikt...

–Związek ma o tyle, że... – popatrzył chwilę w blat stołu.

–Wczoraj dowiedziałem się z gazety, że pewien facet – zastrzelił swoją żonę. Przez nich znalazłem się w kompanii zmontowanej przez twojego „przyjaciela” Woodeya.

–Milczał kilka sekund. – Nigdy mnie nie pytałeś, jak tam się znalazłem.

–Miałem inne, ciekawsze pytania...

–No więc... Dwa lata przed zwerbowaniem mnie do tej spółki z „tamtej strony świata” pracowałem jako ogier. Byłem w jednej z lepszych stajni, męskim burdelu Crutchleysena. Pewnego dnia zostałem wysłany do kobiety o nazwisku Lathrop. Mallory Lathrop. Odbiliśmy sesję, było niezłe. Szef wypłacił mi prowizję. Wróciłem do domu i nagle poczułem, że nie mogę zasnąć. Umysł zastopował się na tej Mallory,

nagle poczułem wokół siebie zapach jej perfum i jej własny. Przypomniałem sobie jej oczy i uświadomiłem, że jedno ma szarozielone, a drugie zielonoszare, zobaczyłem wyraźnie bliznę na udzie, której istnienia nie uświadamiałem sobie, choć niemal godzinę miałem ją centymetry od oka, usłyszałem jej głos, westchnienia, spazmatyczny oddech tak wyraźnie, że przez kilka sekund rozglądałem się w poszukiwaniu źródła dźwięku. Po raz pierwszy w życiu słyszałem łomot w uszach – serce tłukło się, jakby brało udział w zawodach na szybkość bicia. Doszło do tego, że głośno pośmiałem się sam z siebie, ale natychmiast zrozumiałem, że dopiero to brzmi fałszywie. Miotłem się po domu, aż w końcu zadzwoniłem do znajomej dziewczyny, która od dawna miała na mnie ochotę. Rzecz jasna, mnie to nie bawiło. W stajni śmialiśmy się nawet z takich, że biorą robotę do domu. Teraz kazałem jej przyjść jak najszybciej, wyprułem się doszczętnie, niemal zabiłem tę biedną dziewczuchę. Wyglądała rano jak wysuszona rozdeptana cytryna, patrzyła na mnie wiernymi oczami i żebrała o kawałeczek serca, a ja wiedziałem, że następnym razem po prostu ją zamorduję”, bo nie jest Mallory. Zresztą ja też – czułem się, jakbym spadł z drapacza chmur na worek szyszek. Bolało mnie wszystko co mogło, łącznie z włosami. Nie mogłem włożyć

spodni... Przeleżałem pół dnia w wannie z roztworem mieszanek kojących, od środka łagodziłem ból nieskończoną ilością wody. Po południu zadzwonił szef i zlecił obsługę pani Lathrop. Cudem dojechałem cało do jej mieszkania. Od razu za progiem powiedziałem, że ją kocham. Zresztą niepotrzebnie, bo ona wyglądała jak ta moja nieszczęsna dziewczyna. Pierwsza wykrzychała mi w twarz, że nie może beze mnie żyć. I wiesz, co robiliśmy całą noc? Zastanawiałem się chwilę.

–Trzymaliście się za ręce i szeptem wyznawaliśmy sobie miłość... – powiedziałem.

Kilka długich sekund patrzył na mnie przygryzając wargi.

–Gdyby przeszło mi przez myśl, że kpisz teraz...

–Wcale nie kpię... Tak widzę siebie w tej sytuacji.

–Tak właśnie było. Dostałem spazmów patrząc na nią, mówiąc do niej, słuchając jej, myśląc o niej. Najprawdziwsze opętanie, obopólne. – Sięgnął ponownie do paczki i tym razem bez wahania zapalił. – Nawet nie rozmawialiśmy za bardzo ze sobą, to znaczy mówiliśmy do siebie, ale ważny był sam dźwięk, wyraz twarzy, samo poruszanie warg. Spotykaliśmy się codziennie. Dwa czy trzy razy wyszliśmy z mieszkania, ale przeszkadzali nam inni ludzie, przez samo swoje istnienie. – Nick zaciągnął się mocno, na jego papierosie nie zdążył nawet utworzyć się popiół. –

Trwało to nieco ponad dwa miesiące. Wiesz jaki był finał? Zupełnie idiotyczny – wrócił z Europy jej mąż. – Popatrzył na mnie.

–To chyba nie wszystko? – zapytałem po chwili.

–Nie. Jej mężem był mój stary przyjaciel z młodości. Straciłem z nim kontakt, gdy jechał do Europy, niemal zapomniałem o jego istnieniu. Nie wiedziałem, że się ożenił, nie skojarzyłem więc nazwiska. Dopiero gdy wrócił...

–No to... – zacząłem.

–Nie, poczekaj. Wcale nie chciałem powiedzieć, że postąpiłem szlachetnie, wcale nie. Po prostu wpadłem w jakąś tępą idiotyczną rozpacz, zrobiło mi się samego siebie tak straszliwie żal... Wciąż kręciła mi się po głowie jedna myśl: jak tak można? Kto jest winien, że kobieta mojego życia jest żoną przyjaciela? Dlaczego? Zamiast pomyśleć racjonalnie, jak wybrnąć z tej sytuacji, roztkliwiałem się nad sobą, rozumiesz? Nad sobą!... W końcu tak się zaplątałem... Nawet Mallory nie była w stanie wyciągnąć mnie z tego oceanu rozczulenia nad samym sobą. Nie wiem, jak można to wytłumaczyć, pewnie jakiś umysłowy feler. Pewnej nocy zerwałem się z łóżka, spakowałem w dziesięć minut i wyjechałem na zachód. Oczywiście piłem i płakałem, i odwrotnie. Starczyło mi forsy na pół roku, potem trochę oprzytomniałem. Zadzwoniłem do nich... Wyjechali do Europy. Nie kiwnąłem palcem, żeby zdobyć adres, trochę jeszcze piłem, ale skończyły się pieniądze. Wtedy spotkałem jednego z bandy Woodeya. Zgodziłem się na pracę u niego i pracowałem prawie rok. A potem my się spotkaliśmy...

Zgasił papierosa i rozejrzał się za kieliszkiem. Pokręciłem głową, a Nick machnął dłonią i opadł na fotel.

–Wczoraj... Don ją zastrzelił... W przystępie ataku zazdrości, tak napisała prasa...

Długie dwie, trzy minuty przesiedzieliśmy w milczeniu. Nie sądziłem, żeby Nickowi potrzebna była jakaś moja rada, nie miałem zresztą żadnej. Odchrząknąłem i zapaliłem papierosa.

–Potrzebuję pomocy... – powiedziałem obserwując rozpływający się w powietrzu nad naszymi głowami kłąb dymu.

–Terapia poprzez pracę?

–Nie, przecież przyjechałem do ciebie nie wiedząc, że usiłujesz utopić skrupuły. Podjąłem się pewnej roboty...

–Ty? Przecież rzuciłeś to wszystko. Kiedy ostatnio się widzieliśmy...

–Tak? ale mam dziecko.

–Myślałem, że zarabiasz wystarczająco... – Przyjrzał mi się uważnie i zmarszczył brwi. – Nie chcesz chyba powiedzieć...

–Właśnie chcę. Mały szantaż, ale jeśli mam być szczerzy, w duchu, nie przyznając się do tego, modliłem się o jakąś tego typu robotę. Zaczynałem się czuć jak stary wyleniały wyżeł, spędzający resztę swoich dni w plamie słońca obok garażu.

Spojrzałem i trafiłem na wzrok Nicka. Zobaczyłem, jak rodzi się w nim iskierka uśmiechu. Trwało to chwilę zanim drgnęły wargi.

–Dwa biedactwa subtelne, delikatne, rozdarte przez własne niuanse dusz... – powiedział.

–Daj spokój.

–No to powiedz, co mam robić.

Rozsiadłem się wygodnie i szczegółowo wprowadziłem go w sprawę. Kiedy skończyłem, Nick Douglas wstał i przeszedł się po pokoju. Zatrzymał się na sekundę przy barku, ale zaraz ruszył dalej.

–Są dwa tropy, dobrze mówię? – zapytał, przystając przede mną.

Skinąłem głową.

–Jeden to transport, którym dostał się na wyspę ten Manktelow i jego zabójca. Drugi – ten, kto wynajął Manktelowa... Widzisz jeszcze coś? – zapytał.

Drobiazgi. Na przykład Guylord kiedyś pomścił śmierć swojego brata. Tego, którego zabiła ta wspianiała trójka... Może teraz ktoś się na nim za to mści?

–Wiem, czytałem „Ludzi z tamtej strony czasu”.

–Nie ironizuj, pamiętam, że brałeś w tym udział. Po prostu myślę na głos. Co jeszcze... A! Można zająć się tymi ludźmi, dla których pracuje Pouncy. To chyba za ich pośrednictwem niejaki X wyszedł na Pouncy’ego.

–A dla mnie co?

–Chyba właśnie to... Chciałbym, żebyś właśnie tym się zajął, tylko bez ruszania Pouncy’ego, do niego wrócę sam. Wydaje mi się, że coś przegapiłem.

–A co z transportem?

Westchnąłem głęboko. Poczęstowałem Nicka i zapaliłem sam.

–To jest robota w sam raz dla kogoś, kto został niedawno szefem wydziału CBI.

–Tak myślałem. Tylko jak?

–Wiesz... Od dawna miałem ochotę sprawdzić, czy plotka mówiąca, że

w każdym kompie zaszyte są „ostrygi”, zamaskowane programy inwigilujące, zeznające na odpowiedni sygnał programowy, jest prawdą.

–Egh! Nie wierzę. Już dawno ktoś by to wygrzebał. Przecież to sprawa, na której wyłoży się każdy rząd.

–Na pewno. Totalna kontrola, łamanie świętych praw demokracji itepe. Ale ja znam trochę tę instytucję i wcale bym się nie zdziwił, gdyby poszła na to ryzyko i przynajmniej częściowo, wybiórczo, podłożyła te gnidy. To jest możliwe. Problem tylko w tym, właściwie dwa problemy: czy to prawda i czy Dough zechce uruchomić „ostrygi”. Reszta to betka.

–Jeśli to prawda, to biedny Sarkissian nie ma szans... – prychnął Nick. – Nie wiem jak, ale udaje ci się zawsze pozyskać do współpracy każdego, na kogo padnie twój wzrok. Przy okazji, jak ty to robisz?

–Urok osobisty, tak sądzę.

–Akurat ci wierzę. Dobrze, powtórz mi nazwiska tych dwu... – sięgnął po podręczny mnemorex i zanim zdążyłem

zaprotestować, rzucił go z powrotem na półkę. – Zapamiętam...

–Jeden to Tim Caswell, drugi Martin Symington. Rezydują w Corn Lake dwadzieścia kilka kilometrów od lotniska Pouncy’ego. Zrób ten wywiad w rękawiczkach z pajęczyny, to na pewno nie ci dwaj wynajęli Manktelowa. Jestem pewien, że to raczej ktoś z ich otoczenia sypanął się jeszcze przed kimś innym, tak więc bezpośrednia rozmowa nic nie da. Nawet gdyby chcieli współpracować. Musisz się jakoś wsunąć w ich zespół. Gdybyś potrzebował referencji, to Guylord załatwi je w ciągu kilku minut. Uprzedzę go, żeby na hasło „Mówi przyjaciel Teby” dał ci odpowiednie. Co jeszcze? – zastanawiałem się chwilę. – Chyba nic... Dzwon na samochód, albo nie... Skorzystamy z telerestant – trzy dziewiątki, trzy zera. Może być?

–Dobrze.

–W razie sytuacji alarmowej dzwoni na zestaw dom-samochód i zostaw wiadomość na telerestant.

–Wiadomo. A teraz podziel się swoimi domysłami.

–Właściwie nie mam żad...

–Tylko nie tak! – przerwał mi. – Zawsze masz coś dla siebie, Gadaj...

–Przecież mówię, że właściwie nic nie mam. Tylko taka smużka... Hm... Mam wątpliwości w jednym punkcie... Rozumiem, że ktoś chce zabić Guylorda – zemsta,

zalażł za skórę, przeszkadza i tak dalej. Musi chodzić konkretnie o niego, bo nikt nawet nie próbował naciskać przy pomocy siostry, chociaż wiadomo, że uderzyłoby go to boleśnie Ale nie – chodzi o niego. I to rozumiem.

–Ale męczy cię, że ktoś go jednocześnie chroni. Tak?

–Yhy. I nie ujawnia się. Tu jest pies pogrzebany...

–Dowcipne... – Zerwał się, podszedł do barku, szybko otworzył go i wyjął butelkę bourbona. Nie odwracając się powiedział: – Tylko nic mi nie mów. Muszę się napić przed pogrzebem. Resztę możesz wylać do zlewu...

–Zawsze mógłbyś odkręcić kolanko... – Wstałem i skierowałem się do drzwi. – Jak zabroniłem kiedyś Philowi bawić się zapalnikami, to prawie podpalił szkołę zapalniczką. A, właśnie... – wróciłem do stołu i zgarnąłem swoje papierosy i zapalniczkę. – Pamiętaj: trzy dziewiątki i trzy zera. Baw się, jak możesz.

Wyszedłem, żeby nie pomyślał, że chcę sprawdzić, ile wypije. W windzie opadły mnie wątpliwości i wyrzuty sumienia, ale zaraz potem zrozumiałem, że i tak trzeba było wyciągnąć jakoś Nicka z rozpaczliwego pijaństwa czy też pijanej rozpacz. Dopiero gdy ruszyłem i zobaczyłem na kierownicy wilgotne ślady, dotarło do mnie, że wcale nie” byłem tak spokojny, jak przez cały czas mi się wydawało. Wytrzymałem całe dziesięć minut, aż do czasu gdy wjechałem na autostradę i uczciwie, bez żadnych elektrocudów, włączyłem się do ruchu. Wyszarpnąłem z lodówki płaski niezbędnik i solidnie z niego pociągnąłem. Potem zafundowałem sobie prawie czterogodzinną drzemkę.

–Doug! Cholera, nic się nie zmieniasz! – powiedziałem na powitanie. Był to zupełnie szczery okrzyk, ale Sarkissian tego nie docenił.

Uścisnął mi dłoń mocno i od razu zmarszczył czoło.

–Im bardziej jesteś serdeczny, tym bardziej kołacze mi serce. Pewnie zażadasz ustąpienia obecnego szefa naszej firmy? – rzucił lekko i natychmiast spoważniał. – Owen... – powiedział z niepokojem. – Oszczędź mnie, proszę cię... Wylecę na bruk... Ja nie potrafię jak ty pisać tych...

–Zastanów się, zanim mnie obrazisz – przerwałem mu siadając na fotelu.

Sarkissian przyglądał mi się chwilę, widziałem kątem oka, jak zerknął na biurko w kształcie litery L. Pokręciłem głową.

–Żadnych trunków. Chociaż ty możesz się napić.

–Nie przeszłoby mi przez gardło. Po takim wstępie... Co u Pymy?

–Dziękuję, wspaniale. Phil też cię pozdrawia. Oboje uwielbiają cię i cieszą się, że mamy takiego przyjaciela...

–Przestań mnie obrabiać. Gadaj, ty ponury suczysynu Usiadł w fotelu naprzeciw mnie. Obrzuciłem spojrzeniem ściany i sufit pokoju i, dopiero gdy Doug włączył zakłócenie pochyliłem się w jego kierunku i powiedziałem cicho:

–Musisz uruchomić „ostrygi” w kompach. Tylko w jednym okręgu – dodałem szybko. – Chodzi mi o to, kto piątego i przerzucił dwóch facetów na Gołębią Wyspę, albo dwóch facetów niezależnie od siebie, ale w tym samym terminie. Łodzie... Chyba łodzie. W każdym razie od tego bym zaczął. Potem flyery, i Sarkissian roześmiał się serdecznie. Popatrzył na mnie i parsknął głośnym śmiechem. Osłupiałem. Ryknął jeszcze głośniejszym. Po każdym spojrzeniu na mnie wybuchał salwą homerycznego śmiechu. Zwinął się w fotelu i jedną ręką trzymając się za brzuch, drugą wyszarpnął z kieszeni na piersi chusteczkę i zaczął wycierać nią załzawione oczy. Uspokajał się całe trzy czy cztery minuty. Czekałem cierpliwie, nie to co regiment zmarzniętych stonóg maszerujących po moich plecach. Starłem się patrzeć na niego spokojnie i nie zaciskać szczęk, a przynajmniej żeby tego nie zauważył. Chyba nie mógł – wciąż wybuchał krótkimi salwami śmiechu, jęcząc w przerwach i ugniatając przeponę.

–Euch-ch... Owen... – prychnął jeszcze raz i spróbował zrobić poważną minę. Wyłączył antypodszuch, co spowodowało, że zabrakło mi tchu. – Owen... Ty naprawdę wierzysz, że Central Bureau of Investigation ma wtyczki w każdym kompach w naszym kraju? Owen?... – Wychylił się z fotela i uderzył pięścią w moje kolano. – Jak ty to sobie wyobrażasz?

–Nie wiem – nonszalancko wzruszyłem ramionami, czując się jednocześnie, jakbym zamiast koniaku łykał elektrolit. – Co mnie to obchodzi? Może wszywacie do pamięci... jakie tam są? Operacyjnej czy jakichś najpopularniejszych programów. Nie obchodzi mnie to...

–Dur-r-rniu!... – rozzłościł się. – Ile znasz tajemnic, które utrzymały się dłużej niż kilka miesięcy?

–Bez przesady, Krater Zgubionego Czasu pracował kilka lat. To pierwszy z brzegu przykład. Sam możesz sobie dopowiedzieć kilkadziesiąt innych.

–Ale to co innego! To dotyczyło tylko kilkuset osób, a zaledwie kilka wiedziało, w co się bawi. Poza tym sterczało na widoku jak Statua Wolności. I to oślepiało wszystkich...

–W tym przypadku jest jeszcze lepiej. Kto będzie przypuszczał, że jego własny

komp może zameldować szczegóły z życia, które nie powinny wyjść poza...

–Powtarzam ci, bzdura! Nie ma takiej możliwości. Technicznie jest to wykluczone i nikt nie zaryzykowałby takiej wpadki. Miliony amatorów grzebie codziennie w swoich kompach, prędzej czy później ktoś musiałby wpaść na to.

–No to właśnie wpadł – wrzuciłem niedopałek do popielniczki i natychmiast zapaliłem następnego papierosa.

–Nic z tego – wyciągnął dłoń i pokręcił mi palcem przed nosem. – Owen, mylisz się. Uwierz mi...

–Tylko nie powołuj się na przyjaźń i takie tam...

–A pewnie! – wrzasnął wściekły. – Co to dla ciebie? Zawsze możesz sobie znaleźć innego przyjaciela, nie? Będziesz go miał do tego momentu, kiedy zażadasz, żeby wstrzymał obrót ziemi, a jak się nie zgodzi, opuścisz go kiwając głową nad gorzką ludzką niewdzięcznością.

Wstałem i pokiwałem głową. Całkowicie uwierzyłem Dougowi, lecz sobie nie mogłem wybaczyć tak naiwnej wiary w plotkę. Czułem, że powinienem przeprosić Sarkissiana, ale rozwścieczony na samego siebie, na przekór wszelkiej logice, uparłem się nie wyciągać białej flagi.

–Coś jeszcze dodam, Doug – wycedziłem. – Właśnie mam na tapecie nową powieść. I tam właśnie rozwinę ten wątek. A wy go będziecie zwijali.

–Nie strasz, nie strasz bo się... – Zaciśnął zęby i spopielał mnie błyskawicami z tych swoich błękitnych oczu. – Na takie idiotyzmy rzuci się prasa najgorszej konduity i bez trudu sobie poradzimy. A ciebie skanalizujemy. Tylko żal mi Pymy i Phila, oboje stracą idola. Ale może to i dobrze, po co mają mieć złudzenia. – Rozpalał się coraz bardziej. – Psychiatry ci trzeba! – wrzasnął. – Spieprzaj mi z oczu.

Zmarnowałem ostatnią szansę na rozejm. Skrzywiłem się i wyszedłem bez pożegnania. Na korytarzu nawinęła mi się pod nogę krucha plastikowa popielniczka-zapalniczka. Kopniak niemal rozpylił ją na atomy, nawet nie zabolęła mnie noga. Obawiając się obserwacji, spokojnie wsiadłem do bastaada i dopiero za rogiem wydarłem się na siebie. Skląłem cały parszywy świat, uderzeniem pięści prawie skrzywiłem kierownicę. Za rogiem natknąłem się na jakąś salkę sportową, pustą, mogłem bez przeszkód walić całą godzinę w worek bokserski. Pod prysznicem podziękowałem wynalazcy tego sprzętu. Bolały mnie knykcie, odezwała się skopana o popielniczkę stopa. Ruina. Podjechałem pod najbliższą aptekę, gdzie dziesięć minut leżałem na szezlongu pod dyszami sterowanymi przez komp. Śmierdząc znieczulająco-

kojącymi mieszankami wsiadłem do samochodu, żeby ruszyć w drogę powrotną do domu. Dopiero gdy zjeżdżałem z autostrady, chcąc po Siódmej Magistrali dojechać do swojej dzielnicy, przypomniałem sobie, co jeszcze chciałem zrobić. Otworzyłem okno i splunąłem z całej siły. Pęd powietrza ukarał mnie za idiotyczne zachowanie. Opanowałem się na tyle, że noc spędziłem w garażu. Skrzywdziłem już dzisiaj jedną bliską osobę, oszczędziłem dwie inne. Śnił mi się Guylord wyłuskujący z sierści Nabuchodonozora programowe ostrzygi.

Rozmawiałem z Guylordem krótko, zadałem mu pytanie o datę nieudanego zamachu.

–Piątego czerwca, jeśli psy odezwały się zaraz po incydencie.

–Tak, pamiętam. Newella obudziły o północy, tak?

–Zgadza się.

–Jeszcze jedno: czy masz jakiś flyer? Potrzebny mi jest na trzy godziny...

–Jedź na lotnisko Bullstock. Będzie czekał... – Zawiesił głos, ale wytrzymał i o nic nie zapytał.

–Dobrze. Ja mam tyle. Do zobaczenia.

Rozłączyłem się. Teba położyła głowę na moim kolanie i kilka razy, ale tylko kilka, machnęła ogonem. Drapanie za uszami czy głaskanie uważałem za poniżające dla niej. Położyłem rękę na jej głowie i powiedziałem:

–Innym razem, Teba. Dzisiaj jeszcze nie, dobrze?

Majtnęła ogonem. Uruchomiłem zamek pozwalający Tobie spokojnie opuszczać dom i wracać. Wyszedłem. Na progu rozejrzałem się po okolicy i pełną piersią zaczerpnąłem tchu, świeże radosne przedpołudnie. Zapaliłem papierosa i drugi raz wolniej przyjrzałem się otoczeniu. Najbliższy samochód stał obok krawężnika jakieś siedemdziesiąt metrów od mojego domu. W żadnym z okien najbliższych budynków nie poruszyła się firanka. Ludzie Guylorda musieli mieć niezłe kwalifikacje. Co prawda Pyma zauważyła, że najbliżsi sąsiedzi chyba wyjechali na wakacje. Może właśnie tam rozsiedli się nowi strażnicy. Sprawdziłem, czy drzwi domu są zamknięte i wolno pomaszerowałem w kierunku skrzyżowania z Aleją Trzech Dużych Ryb. Ulica przede mną i za mną była absolutnie pusta. Poczulem się, jakbym szedł przez małe zachodnie miasteczko. Brakowało mi tylko ostróg, i pasa z coltem.

Na rogu czekałem ze dwie minuty zanim pojawiła się taksówka, natomiast na lotnisku nie czekałem wcale. Gdy tylko wymieniałem swoje nazwisko pulchnej

ładniutkiej Mulatce, ta skierowała mnie natychmiast na płytę. Idąc do flyera zastanawiałem się, gdzie podziwiają się Amerykanki w średnim wieku i starsze: w każdym biurze, z każdego okienka wychyla się młoda, najczęściej ładna buzia. Gdzie są ich starsze siostry? Postanowiłem zapamiętać tę myśl i gdy skończę sprawę Guylorda, zając się problemem masowej eksterminacji kobiet po trzydziestce.

Flyera pilotował ten sam sympatyczny gość, który przerzucił mnie na Gołębią Wyspę, uścisnęliśmy sobie dłonie i wskoczyliśmy do maszyny. Pilot, zanim wywołał wieżę i zgłosił start, pokazał mi barek i porozumiewawczą miną skwitował mój przeczący gest. Zaraz po starcie uruchomił autopilota i zajął się rozwiązywaniem jakiegoś problemu, geometrycznego, w miarę upływu czasu rozpałał się coraz bardziej, pisak zaczął skrzypieć na ułożonym na kolanie ekranie. Rozłożyłem fotel i całe czterdzieści minut lotu wpatrywałem się w błękit nieba nad głową. Niebo błękitne nad głową... Niebo gwiaździste?... Czy tak właśnie powiedział któryś z filozofów? I coś moralnego we mnie? Czyżby prawo? Poczulem dłoń na swoim barku. Pilot wskazał palcem podłogę maszyny i powiedział:

–Widział pan to kiedyś z góry? Najgorszy kawałek, nad którym kiedykolwiek latałem.

Podniosłem oparcie fotela i zerknąłem przez okno w dół. Znajdowaliśmy się nad polem solarów. Jak okiem sięgnąć czarne płyty baterii wystawiały swoje płaskie twarze ku słońcu. W pewnej odległości od nas ich tarcze zlewały się w jednostajną czerń, bliżej – widoczne były przestrzenie i zielone uprawy między nimi. Na południu od nas jaskrawa plama odbitego słonecznego światła niemiłosiernie różnęła w oczy. Czerń, zieleń i przeraźliwa srebrzystość. Nie najgorszy widoczek. Odwróciłem się do pilota.

–Co tu jest paskudnego?

–A gdybym musiał lądować? – wyszczerzył zęby. – Dla samolotu to śmierć, z flyerem nieco lepiej, ale jeżeli stery pionowe wysiądą, to kaplica. Pan nie należy do strachliwych, prawda? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, kontynuował: – Bo flyery, z kolei, minimum raz do roku wysiadają, to pewne. Niezgodność teorii i technologii. Żeby latały, muszą być lekkie, a jak są lekkie to się sypią. – wykreślił palcem w powietrzu koło. – Zamknięte koło.

–Raz do roku? – zdziwiłem się uprzejmie. – A ta maszyna ile ma?

–A nie-e-e... – roześmiał się. – My latamy najwyżej po pół roku.

–No to jest nadzieja...

–Pewność! – powiedział z przekonaniem. Chciał jeszcze coś dodać, ale odezwał się piskliwy terkot autopilota.

Byliśmy na podejściu do lotniska Pouncy'ego. Pilot poprawił się w fotelu i wyłączył samoster. Nikt z dołu nie zakłócał nam lądowania. Gdy tylko dotknęliśmy kołami suchej, wypalanej na żółto trawy, otworzyłem drzwi. Do budynku biura podszedłem, nie kryjąc się. Dopiero przy drzwiach włożyłem rękę do kieszeni. Pchnąłem drzwi. Znany mi pokój został z grubsza posprzątany po mojej wizycie – telefon – stał na swoim miejscu, z blatu zniknęły statyw z soczewkami, ale nikt nie zatroszczył się o wstawienie nowej szyby. Odłamki starej wciąż leżały, na podłodze niczym piekielnie trudna układanka, której nikt nie podejmuje się ułożyć. Sprawdziłem sypialnię i łazienkę. W szafie znalazłem skąpą garderobę Pouncy'ego, przybory toaletowe i minimalny zestaw kosmetyków spokojnie leżały na półce pod lustrem. Przycupnąłem na łóżku gospodarza i rozmyślałem chwilę. Potem wróciłem do biura i sprawdziłem szufladę biurka, nie znalazłem w niej toma. Wyszedłem na zewnątrz. Pilot gryzmolił coś na ekranie, z tej odległości wyglądało to jakby wytrzepywał piasek z pachwiny albo walczył z mrówkami, które postanowiły zamieszkać we włosach łonowych. Wszedłem do budynku obok biura. Porzucona rudera, w której, sądząc po strzępach opakowań, ostatni raz przechowywano jakiś towar kilka lat temu. Zdemolowany węzeł sanitarny.

Wyszedłem na zewnątrz i skierowałem się do warsztatu-hangaru. Powietrze w nim, gorące, lepkie od upału, nasycone smrodem smarów, płynów technicznych i zbutwiałych szmat rzuciło się na mnie, gdy tylko przekroczyłem furtkę wyciętą w dużych wrotach. Wytrzymałem tam kilka sekund i wyskoczyłem na słońce. Odczekałem chwilę, odetchnąłem głęboko kilka razy i zanurkowałem w duszne, obezwładniające fizycznie wnętrze. Znalazłem sterownik, ale drzwi ani drgnęły, dopiero korba i dwie minuty wysiłku pokonały zacinające się wrota. Przez otwarte na oścież drzwi wypadłem na zewnątrz i schroniłem się w cieniu. Musiałem wytrzeć zlaną potem twarz, aby móc zapalić, nieruchome powietrze nie suszyło wilgoci na czole, co pół minuty przejeżdżałem po nim rękawem przedramienia, żeby pot nie szczypał w oczy. Usłyszałem szelest czyichś kroków na trawie. Pilot szedł w moim kierunku niosąc dwie puszki piwa. Podziękowałem mu spojrzeniem znad brzegu pierwszej puszki.

–Zbawco... – powiedziałem, charakterystycznym gestem otwierając drugą.

Uśmiechnął się szeroko i kiwnął głową w stronę mrocznego, śmierdzącego wnętrza hangaru.

–Ostatni mohikanin... – powiedział. – Flyery, jakiegokolwiek by były, wykończą chyba wszystkie prywatne lotniska.

Skinąłem głową i postawiłem puszkę obok pierwszej, przy swoich stopach. Przebiegło mi przez myśl pytanie, dlaczego nie rzuciłem ich po prostu na trawę; nie znalazłem odpowiedzi, więc westchnąłem i zanurkowałem w nieco już chłodniejsze, nieco mniej jadowite powietrze hangaru. Wolno przeszedłem wzdłuż półek z pojemnikami zawierającymi zeskorpiałe smary, stały tam nawet archaiczne szklane: butelki wypełnione tylko zapachem wyschniętej zawartości.

Strzępy szmat i papierów poprzyklejały się ze starości do swoich miejsc. Nabrałem przeświadczenia, że wszystko

co tam było, przyschło, przykleiło się, zestaliło z podłożem, tak że nawet gdyby ktoś odwrócił hangar do góry nogami, to jedyną rzeczą, która zmieniłaby miejsce, byłbym ja. Podłoże rozmiękczone latami upałów zachowało kilkaset odcisków kół samolotów, ale odciski te wypełniły jakieś smary czy oleje, które potem zastygły, i podłoga upstrzona została podłużnymi mętnymi lusterkami. Druga ściana, ta naprzeciwko wejścia, trzymała się chyba tylko na warstwie schematów różnego rodzaju latadeł. Niektóre z rysunków śmiało mogłyby znaleźć miejsce w muzeum techniki. Kąt ściany tej i trzeciej zajmował leżący na boku kadłub jakiejś awionetki. Przystanąłem cztery kroki od niej i zapaliłem papierosa.

–He-ej? – usłyszałem od drzwi, pilot pokazał palcem papierosa. – Jak to się zapali, nie zdąży pan wyskoczyć na zewnątrz.

Uspokoilem go gestem dłoni i popatrzyłem znowu na odkołowaną i odskrzydloną gondolę. Obejrzałem zwrócony do mnie spód i podłogę wokół niego. W końcu przysunąłem się bliżej. Mój ruch zaniepokoił rój much wirujących nad miejscem, gdzie musiała znajdować się kabina: machnąłem kilka razy ręką i podszedłem bliżej. Przez wszechobecny odór strupiałej techniki doleciał mnie słodkawy torsjotwórczy zapach. Obszedłem gondolę dookoła i zająłem się okadzaniem much dymem z papierosa. To była aktualnie najpilniejsza sprawa, Pouncy nie wymagał pośpiechu, siedział, to znaczy prawie siedział w fotelu pilota. Wyglądał, jakby zachciało mu się przypomnieć stare lata, więc zaczął wsuwać się w leżący na boku fotel. I gdy już niemal ułożył się na boku, z nogami na sterach, ktoś przejechał przez jego piersi, od prawego barku do lewego łokcia cienkim rozżarzonym pręcikiem, może palnikiem...

–Stop! – zakląłem przez zęby. Przykucnąłem przy Ivorze Pouncym i, nie

dotykając niczego, odpędzając tylko latające przed oczami muchy, obejrzałem dokładnie ciało. Potem obszedłem gondolę tą samą drogą co poprzednio i przez hangar powróciłem do pilota.

Stał dwa kroki przed wpuszczoną w podłogę szyną, po której poruszały się wrota. Niemal bezgłośnie pociągnął nosem i popatrzył na mnie pytająco. Znalazłem swoje puszki po piwie i do jednej wrzuciłem niedopałek. Było tak cicho, że usłyszałem syk gasnącego w odrobinie piwa żaru. Westchnąłem i spojrzałem w niebo.

–Proszę połączyć się z najbliższą komendą policji i zawiadomić ich o znalezieniu ciała w tym hangarze. Zamordowano chyba właściciela tego... – gestem wskazałem otoczenie -...chłamu. Jeśli to konieczne – dodałem – połącz się z...

–Nie trzeba – przerwał mi. – Ma pan wysoki priorytet u szefa. Już zawiadamiam.

Poszedłem do flyera tuż za nim i podczas gdy łączył się z komendą w Tondel, wypłem jeszcze puszkę piwa. Sądząc z głosu wydobywającego się z głośnika, ktoś w Tondel niesamowicie ucieszył się z morderstwa. Ostry służbowy głos polecił nie ruszać się z miejsca, niczego nie dotykać i w ogóle niczego nie robić. Pilot w połowie instrukcji wyłączył mikrofon i popatrzył na mnie pytająco.

–Prowincja. – Wzruszyłem ramionami. – Oni tu jeszcze ciągle oglądają filmy z Bogartem.

–Ma pan broń? – zapytał. – Może schować?

–Nie trzeba – wsiałem do flyera i zatrzasnąłem drzwi.

Przekręciłem na maksimum repeser zapadając w fotel. Obserwowałem niebo kilka minut zanim nie pojawiła się na nim kropka, która szybko przekształciła się w policyjny flyer.

–Mam nadzieję, że się rozpieprzą – mruknął zawzięcie pilot.

–Nie daj Boże – powiedziałem. – Wtedy oskarżą nas o utrudnianie czynności śledczych.

Obserwowaliśmy, jak flyer dość zgrabnie wylądował i wyskoczyli z niego trzej mężczyźni. Śmigła zatrzymała się niemal natychmiast, ale silnik pracował na wolnych obrotach. Trójka rozwinęła się w minityralierę. Najstarszy, demonstrując pogardę dla śmierci, podszedł wprost do drzwi pilota, pozostali zajęli punkty strategiczne – jeden stanął na wprost drzwi, drugi zatrzymał się tuż przed dziobem. Pewnie miał za zadanie własną piersią zatrzymać startujący flyer.

–Dziwne, że nie zarzucili nam lassa na śmigła – powiedziałem do pilota

i otworzyłem drzwi.

–Proszę wysiąść – zdecydowanie szczerknął dowódca drużyny.

Zatrzasnąłem mu drzwi przed nosem i otworzyłem okno.

–Łącz się z najbliższym posterunkiem i zawiadom, że napadła na nas trójka podejrzanych osobników, podających się za policjantów.

–Czekaj! – wrzasnął, zanim pilot zdążył się poruszyć. Wyszarpnął z kieszeni odznakę i gestem ponaglił pomocników. Błysnęły w słońcu jeszcze dwie blachy. Żony musiały popołudnia spędzać na polerowaniu tych atrybutów władzy. – Detektyw John Hard – warknął nestor. – To są sierżanci Finkel i Imeson.

Otworzyłem ponownie drzwi i wyskoczyłem na spłowiałą trawę. Wyjąłem licencję, podałem mu. Zanim prostokącik wykonał drogę między moją kieszenią i jego dłonią, zdążył nasunąć na gębę wyraz pogardy, który zmienił się w prawdziwą złość, gdy dojrzał „A” obok mojego nazwiska.

–Szczery pomocnik praworządności – mruknął ironicznie.

Zrozumiałem, że nie da się z nim współpracować, Odwróciłem się do flyera i zapytałem:

–Włączyłeś, jak cię prosiłem, nagrywanie rozmów?

–Oczywiście, i transmisję, proszę pana – służbiście potwierdził pilot. – Jak tylko podeszli. – Sięgnął gdzieś i wychylając się podał mi spłaszczony krążek mikrofonu. – Ma zasięg pół kilometra – poinformował mnie.

Wsunąłem krążek za bransoletkę zegarka i odwróciłem się do detektywa Harda. Wyglądał, jakby siadając wbił sobie w odbył kolec z lodu. Czekałem spokojnie.

–Co tu... – wychrypiał. Długą chwilę odchrząkiwał zaciskając mocno wargi. – Otrzymaliśmy meldunek o zabójstwie – powiedział drżącym z wściekłości głosem. Patrząc mi w oczy – wyciągnął w bok dłoń z moją licencją i przywołał nią tego od dziobu.

–Odpowiadać już teraz... – zapytałem, – patrząc na oddalającego się biegiem sierżanta z moją licencją -... czy poczekać na weryfikację?

–Teraz – pisnął.

–No więc... – zapaliłem papierosa i metodycznie chowałem paczkę i zapalniczkę, poklepałem się po i kieszeniach. – Chciałem wynająć flyer – pokazałem dłonią budynek biurowy. – Nikogo nie było w biurze, obszedłem zabudowania wywołując właściciela i trafiłem do hangaru, A tam odkryłem ciało jakiegoś mężczyzny... Tyle - zakończyłem. – Od razu panów wezwaliśmy.

–Gdzie to jest?

–A tam... – Machnięciem dłoni wskazałem hangar.

–Idziemy! – warknął. Ostentacyjnie popatrzyłem na zegarek, poruszył wargami i powiedział ciszej: – Proszę wskazać to miejsce.

Poprowadziłem go do hangaru, pokazałem od progu kadłub awionetki i zostałem na zewnątrz. Hard poszedł we wskazanym kierunku, ale w połowie drogi odwrócił się i wrzasnął na drugiego z sierżantów, który opuścił posterunek przy drzwiach pilota i grzał mi kark swoim nerwowym oddechem:

–Czego tam stoisz? Będziesz na odległość prowadził śledztwo?

–Przecież pan kazał...

–Finkel! – ryknął. – Nie rezygnuj, tylko chodź tu!

–On chciał powiedzieć: nie rezonuj... – wyjaśniłem oszołomionemu sierżantowi, gdy mnie mijał.

Obrzucił mnie zdziwionym spojrzeniem i nawet zwolnił nieco, jakby spodziewał się usłyszeć coś innego, i zaraz przyspieszył. Na pewno modlił się, zęby przełożony nie słyszał moich słów. Ja – przeciwnie. Z tyłu usłyszałem chrzęst suchej trawy pod stopami biegnącego od swojego flyera Imesona. Ciężkie powietrze wewnątrz hangaru ostudziło trochę jego zapał, w każdym razie wyhamował, dotarł do czekającego nań Harda i mruknął coś do niego. Otrzymał w podziękowaniu mętne, nalane jadem spojrzenie i brwią wskazany dalszy kierunek poruszania się. Hard zdarł sobie trochę szkliwa z zębów i drżącym głosem zapytał:

–Może pan tu podejść?

–Po cholerę? – zapytałem. – Ma pan tam trupa, co najmniej wczorajszego. Lepiej niech pan wezwie ekipę techniczną, póki nie zادةpczecie śladów, jeśli tam są.

–Nie będziesz mnie pouczał! – ryknął.

–Oczywiście, że nie – zapewniłem go szybko. – Bo i tak to nie ma sensu.

–Pogadamy sobie na naszym posterunku... – syknął.

–A na pewno nie! – rzuciłem.

Drgnęła mu dłoń. Gdyby wcześniej wyjął broń, na pewno strzeliłby mi w brzuch. Przypomniałem sobie swoje stare utarczki z glinami i w duchu zatarłem dłonie. Hard wolno oblizał wargi i nabrał powietrza do płuc, ale przeszkodził mu okrzyk od strony gondoli:

–Proszę pana! Można na sekundę?

Splunął na podłogę, nie troszcząc się o zachowanie miejsca przestępstwa w nie

naruszonym stanie. Podniosłem z ziemi patyczek i wszedłem z nim do hangaru. Starannie wykreśliłem na podłodze koło o promieniu pół metra.

–Co tam robisz? – wrzasnął Hard.

–Ekipa techniczna będzie niepotrzebnie zajmowała się tą plwociną. Albo jeszcze pana oskarżą o mord – wyjaśniłem.

Dygotał, do pasa zasłonięty gondolą samolotu. Moja dusza zaczęła kolejną zwrotkę pieśni triumfalnej. Finkel, chyba najbardziej bystry z tej trójki, przysunął się nieco, wyraźnie nie chciał pozwolić detektywowi na zastrzelenie mnie. Hard wydobył z siebie jakieś bełkotliwe dźwięki i pierwszy ruszył do wyjścia. Odczekałem chwilę i wyszedłem również. Zmierzał do swojego flyera wbijając w trawę pięty tak mocno, jakby miał pod stopami szereg zdjęć mojej bezczelnej gęby. Sierżanci wyszli i przystanęli w progu. Zerknąłem na nich. Imeson podniósł rękę z zegarkiem i pytająco spojrzał na mój. Pokręciłem głową.

–Jakby mógł pan przedłużyć tę scenę, bylibyśmy niezmiernie wdzięczni – szepnął nie poruszając ustami Finke.

–A sami to nie laska? – zapytałem patrząc na plecy Harda. – Teraz to jesteście kumple, a potem wyrastają z was tacy jak on.

Niemal jednocześnie wzruszyli ramionami. Pochyliłem się i podniosłem puszkę, żeby wrzucić do niej peta.

–To moje – pokazałem sierżantom obie puszkę. Imeson skinął głową, Finkel obrzucił mnie szybkim spojrzeniem i patrząc przed siebie, zapytał:

–Ile jest prawdy w tym wynajęciu flyera?

–Sto procent.

–Przecież ma pan flyera...

–Tylko na dzisiaj, a potrzebny mi będzie za kilka dni inny. Przelatywałem i postanowiłem przy okazji wziąć stąd.

–Przecież tu z wysokości orbity widać, że co najwyżej da się wynająć koc na podściółkę dla psa – powiedział do powietrza przed sobą – Nie jest tak źle. Ktoś tu w okolicy ma laser, czyli nie jest to takie zadupie, na jakie wygląda.

–Nie ma takich laserów – syknął.

–Pouncy ma na ten temat inne zdanie – palnąłem beztrzesko i natychmiast oblałem się potem.

–Skąd pan wie, że to Pouncy? Zna go pan? – zapytał szybko.

Miałem rację, podejrzewając go o bystrość. Westchnąłem.

–No dobra, ale tylko między nami... Rozmawiałem z nim raz. Pewnie jeden z fałszywych śladów w mojej robocie. – Wyjąłem papierosa i zapytałem: – Powiecie o tym szefowi?

–W życiu – syknął Imeson. Widzieliśmy, jak Hard wyskoczył z flyera i szedł w naszym kierunku. – Kazałby nam prowadzić śledztwo i przyczyniłby się do powstania kolejnej serii dowcipów o policjantach.

W milczeniu doczekaliśmy aż detektyw zbliży się na odległość kroku. Patrzył na mnie ponuro, ale ochłonął już trochę.

–Ekipa techniczna jest już w drodze. Chciałbym, żeby pan na nich poczekał... – Skinąłem głową. Moja potulność musiała zrobić wyrwę w jego kamiennym sercu, bo zerknął na sierżantów i powiedział konfidencjonalnym tonem: – To drugie w przeciągu dwóch tygodni zabójstwo z czegoś, co przypomina laser.

–Drugie? – zdziwiłem się.

–Drugie! – powiedział triumfująco. – To jest właśnie przewaga zorganizowanego aparatu nad indywidualnym węszeniem.

–No to szkoda, że przestępcy nie wiedzą o tym. Pewnie przestaliby łamać prawo – powiedziałem uprzejmie na użytek Imesona i Finkla, chciałem zrewanżować się im za obietnicę milczenia o mojej wpadce.

Hard dygocąc wrócił do swojego flyera, sierżanci podziękowali mi krótkimi skinieniami głowy i podążyli za nim. Ja również schowałem się przed upałem w kabinie. Kilkanaście minut później wylądowała ekipa i rzuciła się na hangar jak stado wygłodniałych maniaków seksualnych na bezbronną zakonnicę.

Nikt mnie o nic nie pytał, siedzieliśmy w milczeniu, pilot po kilkunastu minutach wrócił do swoich geometrycznych zabaw. Zrobiłem sobie koktajl i leniwie obserwowałem krzątanicę w hangarze. Gdy zaczęli się związać, a Hard zniknął kolejny raz w biurze Pouncy'ego, wyskoczyłem z flyera i podszedłem do, jak mi się wydawało, szefa ekipy. Podałem mu swoją legitymację i zapytałem:

–Laser?

–Bez wątpienia – odpowiedział ochoczo. – Ktoś kazał mu wejść do gondoli, chyba chciał go związać... Chciał, nie chcieli, bo w hangarowym kurzu są tylko odciski stóp Pouncy'ego i jeszcze jednej osoby. Chyba, że reszta czekała tu, na zewnątrz. Aha, dlaczego związać? – zapytał sam siebie – bo w kabinie gondoli znaleźliśmy kłęb sznura, który został tam przyniesiony z biura. Mikroślady i tak dalej...

–Skinąłem głową. – Poza tym smuga liznęła ten zwój. Pewnie powiedział mu,

że go tylko zwiąże, dlatego ten biedak tak potulnie wszedł do awionetki. Wywróciła się gdy został trafiony. A dlaczego potulnie? – znowu zapytał sam siebie. – No, bo brak jakichkolwiek śladów przemocy. Ma, co prawda, kilka siniaków na twarzy i otarcia na przegubach, ale stare, sprzed kilku dni. Musiał się z kimś tłuc. Może ten ktoś wrócił tu?

Nawet nie przypuszczał, jak bliski był prawdy. Pokiwałem głową z mądrą miną.

–A te ślady zabójcy?

–Mężczyzna, szczupły. Chyba niezbyt wysoki, numer obuwia sześć i pół. Nietypowe rysunki protektorów, nie mamy takiego w swojej kartotece. Może zagraniczne obuwie?

–Kobieta odpada?

.– O ile nie włożyła męskich butów i jest w stanie swobodnie udźwignąć kilkadziesiąt kilogramów.

Zrozumiałem, że w ocenie zabójcy może tkwić poważny błąd – przyjęli, że laser ważył kilkadziesiąt kilogramów, ale całkowicie zapomnieli o zasilaczu. W hangarze nie było do czego podłączyć takiego odbiornika energii, a akumulator musiałby ważyć pół tony. Z tego wynika, że laser typu, o którym mówią odpada. A jeśli był inny, to mógł być zupełnie inny niż wszystko, co o laserach wiemy. Mógł mieć wymiary puderniczki, a wtedy wszystkie obliczenia wagi zabójcy nie były warte czknięcia. Mój rozmówca wyjął z kieszeni płaskie pudełko i wyciągnął w moim kierunku.

–Przy okazji, proszę złożyć swoje odciski palców. Dotykał pan tu czegoś?

Zastanowiłem się chwilę.

–Korba i sterownik tych wrót, nic poza tym, ale wchodziłem do biura.

Otworzyłem papilator. Po kolei odcisnąłem na małym ekraniku wszystkie palce i oddałem pulsujący informacją o zapamiętaniu wzorów przyrząd rozmówcy.

–Pobrałeś? – usłyszałem z boku głos Harda.

–Oczywiście – zapewnił go specjalista. – Ja już do pana nic nie mam... – poinformował mnie.

Popatrzyłem na Harda. Miał do mnie dużo, ale nie potrafił tego ubrać w słowa. Ponuro zażądał mojego adresu, podałem mu wizytówkę i – widząc zbliżającego się Finkla – dodałem:

–Ja bym pański adres zdobył w przeciągu trzech sekund, ale nie jestem zorganizowanym aparatem. – Ukłoniłem się.

–Czy jeszcze coś?

–Gdy będziemy coś mieli, wezwiemy pana... – syknął groźnie.

–Obawiam się, że trzeba mnie będzie ekshumować; dopiero za pół wieku będziecie coś mieli – ukłoniłem się jeszcze raz i poszedłem do flyera.

Gdy zwróciłem pilotowi mikrofon” uśmiechnął się.

–Naprawdę włączyłem podsłuch. Ubawiłem się setnie. Nie złości się pan?

Machnąłem dłonią. Pod koniec tego ruchu, podczas gdy flyer wznosił się w powietrze, moja dłoń znalazła się blisko barku. Uznałem to za cenną wskazówkę losu. Dwa koktajle dalej wylądowaliśmy w Bullstock.

Obudziło mnie dotknięcie chłodnego nosa Teby. Otworzyłem oczy i natychmiast przypomniałem sobie, co trzeba było zrobić jeszcze wczoraj. Najpierw rozzłościło mnie to, potem ucieszyło – nie miałbym co robić, gdyby nie kiepska pamięć. Przewróciłem Tebę na grzbiet – i chwilę laskotałem po brzuchu. Potem pognałem do łazienki.

–Teba? – usłyszałem z dołu. – Obudziłaś go?

Podwójne szcęknięcie uspokoiło Pymę. Ogoliłem się pod prysznicem i szybko ubrałem. Zgodnie z moim przypuszczeniem, czekali na mnie ze śniadaniem, nawet Teba tylko spróbowała swojej papki i siedziała obok miski z małym kopczykiem białawej masy na czubku nosa. Uroczyście zasiadłem do stołu i szepnąłem:

–Jemy...

Phil radośnie rzucił się na swoją owsiankę, o pół sekundy wcześniej Teba wsadziła nos w miskę. Jedliśmy w milczeniu, inaczej Phil zarzuciłby nas lawiną słów. Czekał na okazję, ale gdy tylko otwierał usta, gromiliśmy go spojrzeniami. Dopiero gdy sięgnąłem po papierosy radośnie krzyknął:

–A ja wiem, dlacemu psy mają...

Nie mówi się dlaczemu, tylko dlaczego – westchnęła Pyma.

–Słucham?... – wytrąciła go z natchnienia. – A.. Dlacemu nie mówi się dlaczemu?

–O rrrany... – jęknęła – Co z tymi psami?

–Psami?... – zdziwił się.

Parsknąłem śmiechem i dymem, Phil zeskoczył ze swojego krzesła i błyskawicznie wdrapał się na moje kolana. Położyłem palec na ustach i wytrzeszczyłem oczy.

–Jeśli przez minutę będziesz cicho, to pojedziemy na dość daleką wyprawę.

Skinął głową i odetchnął głęboko. Podniosłem rękę i wpatrywałem się w tarczę zegarka.

–A minuta ta dużo? – zapytał cichutko.

Objąłem go mocno i spadliśmy razem z krzesła. Zaczął wrzeszczeć jeszcze zanim zacząłem go łaskotać. Teba pośpiesznie łyknęła ostatni kęs i skoczyła na ratunek. Mokry, oblepiony kaszą nos wsadziła pod mój łokieć i usiłowała uwolnić Phila.

–Biezzoo!. Te-he-he-ba – wrzeszczał, wijąc się w moich objęciach. – Tak nie wolno!!:

Pyma zapaliła papierosa i spokojnie zaczęła zbierać naczynia.

–Chyba się przeniosę do domu wariatów. Tam jest o wiele spokojniej... – oznajmiła, wychodząc do kuchni.

Opadliśmy na dywan dysząc ciężko, Teba oddychała szybko, czyhajac na najmniejszy ruch z mojej strony.

–A pamiętas, jak byliśmy w wesołym miasteczku dla PSÓW?

–Yhy...

–Najlepse było, jak Teba goniła tego zajaca na taśmie, nie? – Nie czekając na jakiegokolwiek potwierdzenie, kontynuował: – Ale jak się kiwała na tym ruchomym dywanie i jak się zapadała do dziur... I te ogromne piłki, prawda? Żaden pies nie mógł ich ugryźć...

–Nie żaden, tylko żaden – powiedziałem.

–Dobze... Żaden – milczał chwilę. – A gdzie pojedziemy?

–Właśnie, dokąd pojedziemy? – odezwała się Pyma z kuchni.

–Polecimy do Małpiego Raju w Bruston, może być? – Phil pokiwał mocno głową, a Pyma zdziwiła się, ale powstrzymała od komentarza. – A potem samochodem wrócimy do domu. Akurat zejdzie nam na to cały tydzień.

–I Teba z nami... – zastrzegł Phil.

–Jasne – popatrzyłem na Tebę. – Chcesz z nami?

Za karę musiałem zmyć z głowy kaszę i przebrać się w czyste ubranie. Dopiero czterdzieści minut później wsiedliśmy do małego samolotu.

Małpi Raj był mocno przereklamowany. Mnie nie podobał się zupełnie. Phil był wniebowzięty, Teba nieszczęśliwa – spędziła półtorej godziny w przechowalni” co dla

takiej damy było ciosem w najczulszy punkt godności własnej. Gdy tylko włączyliśmy się wynajętym arielem do ruchu, pozwoliłem Philowi usiąść za wyłączoną kierownicą, a sam przesiadłem do tyłu i dobre dziesięć minut przeproszałem obrażoną sukę. Potem udało mi się nałożyć Philowi słuchawki na uszy.

–No, to mów – zażądała Pyma z przedniego fotela.

–Co mam mówić?

–Skąd to święto?

–Dobrze. – Strata czasu byłoby przekomarzenie się z nią. – Za kwadrans wjedziemy w okolicę, gdzie chciałbym się trochę rozejrzeć. Postanowiłem połączyć przyjemne z pożytecznym.

–Pożyteczne to my – stwierdziła.

–Oczywiście...

–A tak w ogóle?

–W ogóle? Nieźle... Odwiedziłem Nicka i Douga. Kazali mi was uściskać. Może za jakiś czas wpadną.

–Aha... Przygryzła dolną wargę i przyglądała mi się chwilę. – To aż tak poważne?

–Nie wiem. Po prostu nie wiem. Pozornie nic ekstra, ktoś usiłował zabić mojego klienta, a ktoś -. inny w tym przeszkodził, ale nie mogę znaleźć żadnego występu, żeby się po nim wdrapać. Dlatego podłączyłem Nicka, zresztą dobrze się złożyło, akurat wpadł do egzystencjalnego dołka. A co do Douga... – Roześmiałem się i pokręciłem głową. – Chciałem wymusić, na nim pewną rzecz, ale się okazało, że trafiłem palcem we własne oko. Nieźle się ubawił moim kosztem.

Po dwóch godzinach za oknem przeleciał obok nas drogowskaz z napisem „Corn Lake”. Przesiadłem się na przedni fotel. Wjechaliśmy w las solarów i musiałem zająć się tłumaczeniem Philowi, co to jest i do czego służy. Pod koniec wykładu zakurzona tablica zapowiadała motel z restauracją.

–Zjemy obiad – zarządziłem...

Przerzuciłem Phila do tyłu i zaktywizowałem kierownicę. Przeszedłem na ręczne sterowanie, po chwili zjechaliśmy w odnogę i zatrzymaliśmy wóz na placyku przed tandetnym metalowo-plastykowo-betanitowym motelem. Na parkingu stał, prócz naszego, tylko jeden wóz. Weszliśmy do restauracji i usiedliśmy przy najbliższym stoliku. Jeszcze trzy były zajęte przez pojedyncze osoby, kelnerka podeszła niemal natychmiast. Zrozumiałem, gdzie podziewają się starsze siostry tych

ładnych dziewczyn z okienek kasowych i bankowych. Prowincja wchłania każdą ich ilość... Zamówiliśmy kotlety cielęce i lody; nie miałem złudzeń co do jakości potraw, więc udałem się do baru po odtrutki dla mnie i Pymy. Sympatyczna barmanka, pasująca wiekiem do mojej przed chwilą sformułowanej teorii, sprawnie zmieszała dwa wytrawne martini. Podałem jej banknot pięciodolarowy i podziękowałem za resztę. Biorąc piątkę popatrzyła na mnie dziwnie i parsknęła cichym śmiechem. Zatrzymałem się zdziwiony, kobieta zerknęła na mnie i zmieszała się.

–Przepraszam pana, to do moich myśli. – Zaczerwieniła się. – Wie pan, ten motel to jak zesłanie. Z nudów można zjeść własne plecy. Mam najwyżej pięciu klientów dziennie, więc może pan sobie wyobrazić moje zarobki – kiwnięciem głowy wyraziłem współczucie. – A już na pewno nie może pan sobie wyobrazić wysokości napiwków – pokręciła głową. – Zera nie da się wyobrazić, prawda? I nagle w jednym miesiącu dostaję napiwki przewyższające wszystkie inne za okres trzech, prawie czterech lat. Najpierw starszy pan i to dwukrotnie, dzisiaj znowu... Będzie mi smutno przeżyć następne trzy lata bez takich hojnych napiwków.

–Trzeba być optymistą – powiedziałem, próbując swojego martini.

–Tu się nie da – pokręciła znowu głową. – Od kiedy autostrada zanurzyła się w tym czarnym lesie, prawie nikt tędy nie jedzie. Tylko ci co się śpieszą, a oni, z kolei, nie zatrzymują się.

Wzruszyłem ramionami i skinieniem głowy pożegnałem się. Jedzenie nie było nawet złe, ale tak nastawiłem się na kiepską jakość, że nie potrafiłem zmienić zdania. Martini było niezłe, a kawa mętna jak wody Jangcy-Ciang i tak samo smakowała.

Wsiedliśmy do samochodu zalewani strumieniami wrażeń Phila, Teba pisnęła ponagląco. Wyciągnąłem palec w kierunku przycisku rozrusznika i zatrzymałem się w pół ruchu. Coś uwierało mnie, jakiś fragment dzisiejszego dnia wiercił się w mojej pamięci natrętnie zwracając na siebie uwagę, ale nie potrafiłem go uchwycić. Wysiadłem i pod pozorem spaceru z Tebą poszedłem się przejść dookoła motelu. Nerwowo wypaliłem trzy papierosy, wściekły na siebie i jednocześnie pełen nadziei. Przejrzałem cały dzień, klatka po klatce, niemal sekunda po sekundzie i dopiero przy obiedzie odetchnąłem z ulgą. Szybko wróciłem do baru.

–Jeszcze jedno martini – poprosiłem barmankę. – I gdyby pani mogła kilka słów o tym starszym panu...

–Bardzo proszę. – Zerknęła na kalendarz i chwilę obliczała coś mrużąc oczy, jej dłonie w tym czasie były zajęte nalewaniem do kieliszka ginu. – Pierwszy raz był

tutaj dwudziestego dziewiątego maja, po południu... To był poniedziałek. Mógł mieć jakieś sześćdziesiąt kilka lat, może więcej, ale wtedy musiałby być z gatunku tych dobrze trzymających się. Starannie ubrany, dobre maniery, prawie na pewno z klasy wyzyskiwaczy. Zajechał ciemnoniebieskim blueballem. Wypił dziwny manhattan z odwróconymi proporcjami whisky i cinzano, zapłacił dziesiątkę i pożegnał się. – podała mi kieliszek, zapaliłem papierosa. – A drugi raz był... – znowu zerknęła na kalendarz. – No tak! Przedwczoraj! Jasne. Wypił to samo, zapłacił tak samo i odjechał.

–Zapamiętała może pani coś jeszcze? Jakies znaki szczególne? Może akcent? Biżuteria? Może numery wozu?

Myślała chwilę i pokręciła przecząco głową. Machinalnym gestem przetarła olśniewająco białą ściereczką błyszczący kontuar.

–Nie... Za pierwszym razem zapytał o mapę okolicy, ale rzucił tylko na nią okiem i od razu oddał.

–A na co patrzył? W które miejsce? Zapamiętała pani?

Zniknęła mi z oczu za kontuarem i pojawiła się trzymając złożoną płachtę mapy. Rozłożyła ją

i przymierzyła się do niej. Zakreśliła dłonią okrąg wielkości średniego talerza.

–Chyba gdzieś tutaj. – Odwróciła mapę i jeszcze raz pokazała mi to miejsce. – Akurat tu się znajdujemy. Może szukał czegoś w okolicy? Tylko, że tu nic nie ma.

–Czy mógł tu być przedtem albo potem? Tak żeby pani go nie widziała?

–Nie – zaprzeczyła zdecydowanie. – Od razu po pierwszym pobycie opowiedziałam o nim mojej zmiennicze, a ona mi na to, że mam szczęście, bo jej nikt taki się nie trafił.

–Rozumiem. A jeszcze coś o tym gościu... Kolor włosów, oczy... Zauważyła pani?

–Włosy dość gęste, szpakowate. Starannie przystrzyżone u dobrego fryzjera... Oczy? Chyba szare. W każdym razie powiedziałabym o nim, że typ władczy i inteligentny – wzruszyła ramionami. – To chyba wszystko.

Dopiłem koktajl i podałem jej dziesiątkę i wizytówkę.

–Gdyby pani coś sobie przypomniała albo gdyby ten pan pojawił się tu jeszcze raz... Mogę liczyć na telefon? I dyskrecję?

–Jedno i drugie zapewnione.

Sięgnęła do kasy po resztę, powstrzymałem ją ruchem ręki.

–Mówiła pani coś o trzech latach, będzie mi miło zakłócić te niemiłe rokowania.

–No to już chyba wyczerpałam swój limit aż do emerytury. – Schowała wizytówkę do kieszonki spódnicy.

–Na pewno dam panu znać, gdyby tu się pojawił.

Pożegnałem się i w radosnym nastroju wyszedłem na parking. Nie potrafiłem zdefiniować przyczyn radości, ale tym się nie przejmowałem. Doświadczenie nauczyło mnie, że mój mózg pracuje jawnie tylko w jakiejś nieznannej mi części. Podstawowa robota odbywa się poza świadomością, bez wtajemniczania mnie w procedurę, i dopiero wyniki – o ile są – wprowadza się do tej części, nad którą chyba panują. A poza tym, o czym zapomniał Guylord wymieniając moje cechy detektywa, wierzyłem w swój fart, z całą pewnością był on moim najważniejszym argumentem. Nie miałem tylko pewności, ile go było, na ile wystarczy i czy akurat mój przydział się nie wyczerpał...

Następnego dnia rano wymusiłem na Pymie tygodniowy urlop. Umiarkowanie chętnie spakowali się z Philem i wyjechali do jej matki. Zadzwoiłem do Guylorda i poprosiłem o troskliwą opiekę w podróży i podczas pobytu u starszej pani Putnum. Do trzeciej po

południu szkicowałem plan nowej powieści. Sam byłem zdziwiony, że nasza mnie ochota na siedzenie przy klawiaturze kompa. Najwyraźniej należałem do typów, które aktualnie najbardziej chcą robić to, czego akurat nie robią. Po szybkim obiedzie muza wyfrunęła przez otwarte okno, cmoknąłem na Tebę i wyszliśmy na spacer. Pracowicie obeszliliśmy najbliższy park, witając się z niezliczonymi znajomymi Teby, poaportowaliśmy wystarczająco długo, żeby przekonać się, że jeśli ktoś się nas uczeplił, to robi to nadzwyczaj zgrabnie. W końcu wykonaliśmy Ostatnią możliwą woltę – Teba została na tyłach małego sklepiku, zaraz za rogiem, a ja klusem pokonałem kilka zakrętów i dopiero pod samym progiem garażu przywołałem sukę. Przygalopowała i spokojnie otarła się nosem o moją dłoń. Sprawdziłem licznik zamka i – niemal pewien, że nikt tu nie wchodził od przedwczoraj – wszedłem” do kaplicy bastaada. Zaprogramowałem komp, przetestowałem go bez włączania silnika, a potem jeszcze raz, omal nie rozwalając ściany przednim zderzakiem. Przebrałem się w przechowywane w ściennej szafie ubranie i przeczyściłem elefanta. Powędrowałem na swoje miejsce, pod siedzenie, a na stoliku wylądował biffax. Tak samo, jak i jego potężny brat nie wymagał czyszczenia, ale zabawa z bronią była jedną z moich ulubionych. Biffax zapadł w wymodelowaną wewnątrz kieszeń marynarki, a ja w fotel. Zaproponowałem sobie kropelkę koniaku i nie odmówiłem. Drugiego

papierosa wypaliłem tylko do połowy, zerknąłem na Tebę drzemiącą na tylnym siedzeniu.

–Będziemy ruszali.

Trąciłem zapłon i uruchomiłem drzwi garażu. Wypadliśmy na zewnątrz niemal bez poślizgu i szybko opuściliśmy dość nieciekawe ze strategicznego punktu widzenia wąskie łączniki między garażami i – któryś już raz – nikt nie przeszkadzał mi w odgrywaniu takiej scenki z drugorzędnego kryminału. Trochę pokręciłem się po okolicy, dokonałem kilku zakupów, potem skierowałem się do centrum handlowego. Zanurzyliśmy się w zalanej zimnym światłem grocie podziemnego parkingu pod miasteczkiem Harcourta. Wysiadłem nie gasząc silnika i pracowicie zwiedziłem cztery z siedmiu pięter. Podobnie postąpiłem w Kimbleton Castle. I w markecie „B-B”. I jeszcze w dwu innych potężnych sklepach. Z każdego wynosiłem jakieś paczuszki, które starannie układałem w bagażniku, obserwując pod ramieniem otoczenie. Z żalem stwierdziłem, że nikt nie czyha na mnie, a tym bardziej na moje zakupy. Wracając uruchomiłem komp, ale nawet on nie zauważył wśród podążających za nami samochodów żadnego, który jechałby moim śladem podejrzanie długo. Nie było też dającej do myślenia sekwencji zmian samochodów. Po prostu nikt się nami nie interesował. Pojechałem wobec tego na strzelnicę, gdzie przekonałem się, że strzelam nadal może i szybko, ale muszę polegać na pierwszym trafieniu, ponieważ każdy następny strzał trafia w inne miejsce. Nieznany mi instruktor zaproponował zmianę broni, czym podał w wątpliwość swoje kompetencje. Nieco mnie to pocieszyło. Wróciłem do domu.

Zostawiłem Tebę w wozie, a sam poszedłem do budynku, gdzie szybko wpakowałem do dwóch walizek cztery poduszki z naszego łóżka i dołożyłem walizki do sterty pudełek w bagażniku. Wychodziłem z domu kilka razy, starannie zamknąłem drzwi i od samochodu obrzuciłem spojrzeniem front domu. Nawet Teba uwierzyła, że wyjeżdżamy na dłuższe

wakacje. Nawet ja omal nie poddałem się radosnemu podnieceniu. Dopiero kilka ulic dalej, gdy wahałem się nad trasą, klepnałem się w czoło i szybko skręciłem w Connecticut Avenue, a potem w Forgotten River i jeszcze raz zjechałem do garażu pod marketem. Rozczarowana Teba ułożyła się wygodnie, obłożyła nos łapami i zapadła w drzemkę. Włączyłem zewnętrzny mikrofon. Wjechałem na trzecie piętro, uczciwie przejrzałem sprzęt wędkarski, kupiłem krótki mocny spinning plus kilka drobiazgów i z przewieszoną przez ramię torbą skierowałem się do windy. Byłem w połowie drogi, gdy poczułem, że ktoś wpada na mnie od tyłu

i usłyszałem szept:

–Idź dalej tak samo – coś twardego dźgnęło mnie w kręgosłup. – To pierwsza i ostatnia instrukcja.

Skinąłem lekko głową i ruszyłem do przodu. Nieliczni klienci snuli się pomiędzy małymi i większymi stoiskami, pulsowały różnymi kolorami różnokształtne reklamy nad nimi, miękkie kuszące głosy wydobywały się z ukrytych w stertach towarów głośników. Olbrzymi pająk opuszczał spod sufitu kilkadziesiąt łap, przez które przewieszono miał różnej wielkości dywany. Wciąż czułem między nerkami lufę, w kilku szklanych gablotach udało mi się dojrzeć przyklejonego do moich pleców mężczyznę.

Parę kroków przed windą zatrzymałem się przepuszczając dwóch sprzedawców przenoszących zrolowany dywan bliżej okna z naturalnym światłem. Ruszyłem, gdy tylko przeszli i zanurkowałem pod opadającą właśnie pajęczą łapą z grubym dywanem. Coś uderzyło mnie boleśnie w prawy obojczyk, rzuciłem się na ziemię i pod sięgającym już niemal podłogi dywanem kopnąłem jak mogłem niewidoczną z tej pozycji przestrzeń za sobą. Wierch stopy trafił w czyjąś kostkę i podciął temu komuś nogi. Rzuciłem się pod ciężką zasłonę i wynurzyłem tuż przez brzuchem walącego w podłogę faceta. Jego prawa ręka, ta zakończona wyposażonym w tłumik pistoletem, skierowana była gdzieś za moje plecy. Uderzyłem go pięścią w brzuch, jeszcze raz zakręciłem się na podłodze trafiając napastnika czubkiem stopy w krocze, a kiedy z głuchym kwikiem zwinął się, dopadłem jego nadgarstka, przycisnąłem przedramię do podłogi i rąbnąłem z całej siły w leżący na podłodze łokieć. Tym razem wrzasnął zagłuszając całkowicie trzask miażdżonego stawu, ale szybko umilkł, gdy po raz trzeci majtnąłem nogą trafiając kolanem w podbródek. Rzuciłem go na plecy i w tej pozycji zastygł. Odetchnąłem i podniosłem się z podłogi. Sprzedawcy zastygli z dywanem na ramionach, jakaś matka szarpała dziecko wyrwijące się bliżej zajścia. Rozejrzałem się dookoła i wyjąłem z kieszeni licencję. Podeszedłem i pokazałem ją bliższemu ze sprzedawców, zastygłych z półodwóconymi głowami i belą dywanu w rękach.

–Prywatny detektyw – powiedziałem. – Ten człowiek usiłował mnie sterroryzować. Wiozę go na komendę.

Pokiwał głową z niezbyt mądrą miną. Potrząsnął brodą i wyjąkał:

–Jest pan ranny... W ramię...

Wysunąłem do przodu bark i wykrzywiłem się z wysiłku, udało mi się zobaczyć

wydartą przez ocierający się pocisk dziurę. To musiało być uderzenie w bark, które poczułem padając na dywan.

–Nic się nie stało – uspokoiłem ekspedienta i cały gęstniejący tłum.

Schowałem biffaxa i pochyliłem się nad leżącym. Kilka serdecznych policzków doprowadziło go do przytomności. Jakiś mężczyzna z tłumu podszedł do mnie i podał pistolet napastnika. Podziękowałem mu skinieniem głowy i szybko sprawdziłem magazynek. Byłby pełny, gdyby nie jeden strzał. Obniżyłem lufę, tak że spoglądała w oko oszołomionemu mężczyźnie.

–Wstawaj i to szybko. Przeszkadzasz ludziom w zakupach. Gazem!

Podnosząc się jęknął i chwycił za złamany łokieć. Ktoś z tłumu krzyknął coś na temat brutalności policji. Pchnąłem swojego porywacza w kierunku windy. Stanowczym ruchem zatrzymałem chętnych do jazdy nią, a gdy kabina zatrzymała się i zobaczyłem w niej dwie starsze panie z parą młodych ludzi, równie mało uprzejmie wyrzuciłem ich i wsiałem z jęczącym cicho mężczyzną.

–Ty gnoju... – jęknął. – Jedno moje słowo i zginiesz rozdeptany jak glista...

–Skrzynka ofert jest na parterze, zaraz będzie mógł wrzucić tam swoje propozycje, a na razie zamknij gębę, bo ci załatwię drugą łapę. Eunuch z przetrąconymi łapami to chyba niezbyt kusząca perspektywa?

–Skurwysyn...

–A ja Yeates – skorzystałem z wielowiekowych doświadczeń tanich komików. – Pysk w kubek.

Zdażyłem jeszcze – zanim winda stanęła – dźgnąć lufą w żołądek więźnia, bo wyglądało, że może w nieskończoność snuć swoje pogrożki. Wypchnąłem go pierwszego z windy i wyszedłem zaraz za nim. Po dwóch krokach odwrócił się do mnie i pokazał triumfującą twarz. Jednocześnie coś uderzyło mnie w lewą nerkę, promieniujący ból wystrzelił z uderzonego miejsca i znalazł ujście w głośnym jęku. Jeszcze zanim to nastąpiło, kolba rewolweru – błysnęła mi przed oczami dłoń trzymająca trzydziestkę ósemkę – zakończyła lot na moim dołku. Odruchowo schyliłem się gubiąc zdobyty pistolet i uderzyłem twarzą w betanitową podłogę. Sekundę później mgła sprzed oczu ustąpiła i dopiero wtedy zrozumiałem, że nie była to podłoga, bo wciąż stałem na nogach. Zakołysałem się i postarałem wyprostować. Moja ofiara stała tuż przede mną z radośnie wykrzywioną gębą.

–Dopieprz mu jeszcze, Kas – jęknął.

–Zamknij się! – syknął ktoś z boku. – W życiu nie wezmę już na robotę takiej

ofermy jak ty. Sam jesteś sobie winien...

–Co to, to prawda – wykrztusiłem. – Gdzieście wynaleźli taką lebiegę?

Popatrzyłem w kierunku tego, który skatował moją twarz i żołądek. Niski Metys na dodatek w żółtych spodniach, ale pewnie trzymał w ręku elefanta. Korzystając z chwili względnego spokoju zerknąłem w lewo. Tam stał zwalisty facet w szortach z obrzynem.

–Koniec przeglądu – oświadczył Metys. – Idziemy. Ruszyłem w stronę bastaada. Poszkodowany szedł przede mną, oglądając się bez przerwy.

–Poczekaj! – Usłyszałem z tyłu.

Obrzyn wyszedł przede mnie, Metys od tyłu wyłuskał mi z kieszeni biffaxa i pchnął. Podjęliśmy marsz po pustym garażu. Zbliżając się do bastaada skręciłem lekko w jego kierunku, zatrzymał mnie okrzyk idącego z tyłu Metysa:

–Dokąd? Chcesz napuścić na nas pieska? Żeby było dużo hałasu?

Wzruszyłem ramionami i obejrzałem się.

–To gdzie mam iść?

Jednocześnie ruszyłem do przodu, kątem oka zobaczyłem, że ten pogruchotany łokciem szybko odskoczył ode mnie. Byłem już na wysokości zderzaka bastaada.

–Stój! Jeszcze krok i dostaniesz ospę w plecy! – ryknął ten z obrzynem.

Nie miałem podstaw kłócić się z nim o gatunek używanych w jego broni pocisków. Zatrzymałem się.

–W lewo! – syknął Metys.

–Dobra. Idę, gdzie mi każą – wypowiedziałem zakodowane hasło i zrobiłem krok we wskazanym kierunku.

Z prawej strony ryknął silnik bastaada, dziko wrzasnął golony podłóżem bieżnik i ryknął przeraźliwym altobasem klakson. Leciałem już w tym momencie głową w przód w kierunku najbliższego filara. Wylądowałem na betanicie fatalnie, grzmotnąłem beżładnie, ale miałem już w ręku drugiego biffaxa wyszarpniętego z kabury nad kostką. Starłem się poruszać możliwie szybko, dlatego zdążyłem zobaczyć jak mój porywacz uderzony zderzakiem wali się na ścianę.

Przeturlałem się i przylgnąłem twarzą do podłogi. Między kołami hamującego wozu

zobaczyłem bosa stopy miłośnika mitraliezy, wycelowałem i strzeliłem dwa razy, widziałem jak pierwszy pocisk przebija na wylot kostkę, drugi poszybował w nieznane. Zanim trafiony zwałił się na podłoże, zdążyłem rozejrzeć się po najbliższej okolicy,

Metys wyparował. Wróciłem spojrzeniem do szczeliny między dolnym brzegiem podwozia i betanitem. Pojawił się w niej właśnie męski tors. Strzeliłem doń trzy razy i uskokczyłem za filar. Wyprostowałem się i jak mogłem najszybciej spenetrowałem spojrzeniem najbliższe otoczenie. Metys zapadł gdzieś za samochody czy słupy. Sprawdziłem nie ruszając się z miejsca, wszystko co się dało.

–Teba! – powiedziałem cicho. Usłyszałem, jak syknęły otwierane na hasło drzwi. – Teba...
– powtórzyłem teraz już naprawdę na użytek psa. – Do mnie!

Trzy sekundy później przywarowała przy mojej nodze. Przykucnąłem i położyłem dłoń na jej łbie.

–Szukaj w miejscu – szepnąłem do ucha.

Wolno okręciła się w miejscu z rozszerzonymi nozdrzami. Znieruchomiła kierując nos w prawo ode mnie. Nacisnąłem dłonią na jej łeb i – zostawiając leżącą pod filarem – skoczyłem za najbliższy samochód. Wolno wychyliłem się przygotowany na strzał, ale Metys nie był najwyraźniej miłośnikiem niepotrzebnego huk. Przypomniałem sobie, jaką armatą dysponuje, i szybko schowałem głowę za karoserię. Robiło się nieprzyjemnie, strzał z jego rewolweru rozerwałby na strzępy każdą, z wyjątkiem bastaada karoserię w tym garażu. Musiałem zacząć się ruszać. Przeskoczyłem jeszcze dwa samochody i rzuciłem się pod trzeci. Z moich obliczeń wynikało, że powinien być gdzieś na wierzchołku trójkąta, którego podstawę tworzyliśmy my z Tebą. Przesunąłem się bliżej silnika i nagle zobaczyłem jego stopy. Miętko posuwał się w stronę wierzchołka – Teby. Jeszcze dwa, najwyżej trzy małe kroki i na długo zniknie z moich oczu – wyjdzie akurat na czekającego spokojnie psa. Wyczołgałem się błyskawicznie spod forda i podpierając lewą ręką wskoczyłem na jego maskę.

–Bierz go, Teba! – wrzasnąłem i wyskoczyłem jak mogłem najwyżej w powietrze.

Zaraz po wybiciu się strzeliłem w kierunku, gdzie powinien się znajdować, zobaczyłem jego głowę i przerażająco olbrzymią gardziel elefanta. Podskoczyła w jego dłoniach, jednocześnie zacząłem, wciąż jeszcze lecąc w górę metodycznie opróżniać magazynek biffaxa. Widziałem rozkwitające na karoseriach i szybach dziury po moich niecelnych strzałach, dokładnie zobaczyłem, jak Metys opuszcza zadartą po pierwszym strzale lufę. Osiągnąłem apogeum, zawisłem w powietrzu na ułamek sekundy, rozpaczliwie pragnąc jak najszybciej opaść z powrotem, i wtedy coś białego uderzyło Metysa w pierś i zniknęło za karoserią. Walnął tyłami ud w maskę stojącego

za nim wozu i bezwładnie majtnął rękami łapiąc równowagę. Strzeliłem jeszcze trzy razy –

na tyle starczyło mi czasu – i gruchnąłem na maskę zmaltretowanego forda.

–Teba! – wrzasnąłem, zsuwając się na podłogę.

Uderzyłem plecami o betanit, usłyszałem chrzęst kręgosłupa i zaraz potem szczekanie Teby. Wstałem i wyprostowałem się. Po takiej tresurze, jakiej zażyła Teba, nie szczeka się z byle powodu. To był szczek triumfalny. Podeszedłem do Metysa, żeby stwierdzić cztery trafienia i haniebny rozrzut. Drżały mi palce, gdy przypalałem papierosa. Teba odsunęła się od zabitego i trąciła mnie nosem.

–Nie możemy uciekać stąd przed pojawieniem się policji, skąd ci to przyszło do głowy? Przecież jesteś taka genialna? – powiedziałem z wyrzutem. – Cholera!

Rzuciłem papierosa i biegiem dopadłem bastaada. Przed jego maską, jakieś cztery metry od przedniego zderzaka, pod ścianą, której szarość skalala błyszcząca w jaskrawym świetle jasnoczerwona plama, leżał człowiek, który usiłował wyprowadzić mnie ze sklepu. Niewielka kałuża krwi wokół jego głowy raziła nienaturalną, niefilmową czerwienią. Sprawdziłem tętno, serce biło, ale gdy wychyliłem się i zerknąłem na tył jego głowy, poczułem zniechęcenie. Wstałem i myślałem chwilę. Podbiegłem do wozu, wywaliłem całą zawartość jego kasety aptecznej na podłogę. Udało mi się dość szybko znaleźć pojemnik z braxydeniną i injector z załadowaną dość dawno temu pochodną mecardomydolu. Przycisnąłem do nadgarstka znajdującego się w agonii mężczyzny injector i zaraz potem połową pojemnika zlałem tył zmiażdżonej po uderzeniu w ścianę czaszki. Kilkanaście sekund później otworzył oczy. Popatrzył na mnie zadziwiająco przytomnie jak na człowieka, który miał do przeżycia minutę, może dwie.

–Zaraz będą tu gliny i karetka – powiedziałem. – Ale przedtem powiedz mi, kto was kupił.

–Będę żył? – zapytał szeptem.

Skinąłem głową.

–No, to jak mogę ci to powiedzieć?! – zareplikował.

–W takim razie wycofuję obietnicę – Podniosłem injector i pokazałem mu go. – Trucizna nie do wykrycia, przy tym nikt nie będzie jej szukał w twoim organizmie. Strzelę jeszcze raz i po zabawie.

Zamrugął kilka razy i poruszył grdyką.

–Kas dostał zlecenie, anonimowy telefon z zaliczką. Nic więcej nie wiem...

–Kto zlecał? – nachyliłem się nad nim i brzydząc się samym sobą, uniosłem nieco pusty injector.

–Mężczyzna... Chyba że używała revocadera... Nie wiem... Mieliśmy dostać resztę za trzy dni. Po sprawdzeniu wyników...

Wytrzeszczył oczy, szarpnął głową. Odsunąłem się szybko. Wróciłem do bastaada i sprzątnąłem apteczkę, injector chowając do małej skrytki w tasterze klaksonu. Pojemnik z resztą braxydeniny rzuciłem na fotel, nerwowo wyszarpnąłem z barku swój niezbędnik i łąpczywie przelałem połowę zawartości do żołądka. Kątem oka zobaczyłem jakiś ruch przy drzwiach windy, popatrzyłem tam i wysiadłem z bastaada. Dwaj mundurowi, kryjąc się niemal całkowicie w kabinie, wystawiali ręce z koltami. Odsunąłem ręce od tułowia i krzyknąłem:

–Detektyw Yeates!

Z tyłu coś stuknęło o blachę. Nie odwracałem się. Poczulem zimny, wilgotny, zdrowy nos Teby na wierzchu dłoni.

Z boku pojawił się przed moimi oczami jeszcze jeden mundurowy i cywil. Cywila znałem: Gene Andrews. Poznał mnie również, bo trącił mundurowego w ramię i polecił zameldować komendantowi, że bohaterem zajścia jest detektyw Owen Yeates. Potem podszedł do mnie i swobodnie oparł się tyłkiem o maskę bastaada. Poczęstowałem go golden gatem, wypaliliśmy papierosy w milczeniu. Widziałem, że interesuje się losem leżącego pod ścianą napastnika, ale gdy lekarz wstał i zrzucając rękawiczki pokręcił głową westchnął tylko. Dopiero słysząc z tyłu pisk opon zerknął na mnie.

–Ciekaw jestem, jak się zachowa komendant... – powiedział cicho.

Komendanta Stephena Watkina widziałem niejednokrotnie w TV i zdjęciach gazetowych, w życiu wyglądał nieco sympatyczniej, tak przynajmniej wydawało mi się, gdy patrzyłem jak energicznie posuwa się ku nam, w biegu wysłuchując raportu lekarza i jednego z cywili.

–Stephen Watkins – powiedział, wyciągając do mnie rękę.

–Owen Yeates – uścisnąłem dłoń i od razu wyjąłem swoją licencję.

–Nie trzeba – pokręcił głową. – Znam pana dość dobrze.

–O dziwo zdanie to nie zawierało żadnego podtekstu.

–Może mi pan wytłumaczyć, co tu zaszło?

–Oczywiście. – Wskazałem ręką ciało na wprost nas.

–Ten człowiek przyłożył mi lufę loco 0,45 do pleców i kazał iść do windy. Skorzystałem z okazji i rozbroiłem go, ale lekkomyślnie zjechałem do garażu, jakoś nie

dotarło do mnie, że ktoś tu jeszcze powinien być. No, i czekali na mnie jeszcze dwaj, jakiś milczący amator muzealnych śrutówek i Metys z elephantem w łapie.

–Tak... No i jak się panu udało wykaraskać? – zapytał, szczerze zainteresowany. – firn... Cóż, byłem dawno temu w oddziale specjalnym, a jak kogoś szkolił sierżant Kaszel, to nawet w trumnie robi salto do tyłu. A poza tym mnóstwo, wielkie mnóstwo szczęścia. I pies.

Popatrzył na mnie. Zrobił, to chyba żebym mógł dojrzeć iskielki tłumionego śmiechu na dnie spojżenia.

–No dobrze. A dlaczego... Skąd ten zamach na pana?

–Zapewne ma to jakiś związek z prowadzoną przeze mnie aktualnie sprawą. Chyba że jakaś bardzo zadawniona uraza. Raczej to pierwsze.

Zastanawiał się chwilę, czubkiem języka ślizgając się po brzegu górnej wargi.

–Czy może pan coś dodać do tego wyjaśnienia? Co to za sprawa i tak dalej.

–Przykro mi, ale nie. Klient zastrzegł sobie dyskrecję.

–Rozumiem. Zlecenie, rzecz jasna, pan ma.

–Oczywiście! – zełgałem gładko. – Nie mam biura. Jest w domowym kompie na inicjały A.A. Oczywiście zmyślone inicjały. Chociaż panu mogę zdradzić nazwisko...

–Będę wdzięczny.

–Richmond Marc Guylord.

–Aha. – Pokręcił głową, śmiejąc się sam do siebie. – Jak się panu udaje miewać tak bogatych klientów?

–Szczęście. Nie innego nie przychodzi mi do głowy.

Stephen W. pomachał w powietrzu palcami. Podszedł Andrews.

–Co mamy?

–Dwaj już są namierzeni, szukamy tego z obrzynem. Drobne szumowiny, chętne do każdej roboty.

Stephen Watkins popatrzył na mnie.

–Chce pan ich dane?

Popatrzyłem na niego nieco zdziwiony. Sądziłem, że policja nie ma w zwyczaju bawić się we współpracę z samotnym detektywem. Co prawda S.W. pośrednio zawdzięczał mi szybki i niespodziewany awans, ale o takich, nie zamierzonych zresztą, przysługach zapomina się nadzwyczaj szybko. Może podziałało nazwisko mojego klienta?

–Oni sami mnie nie interesują, ale będę wdzięczny – powiedziałem – za informacje dotyczące zleceniodawcy. To może, powinno nawet, mieć związek z prowadzonym przeze mnie dochodzeniem.

–Bez wątpienia. Andrews... – zwrócił się do cywila.

–Proszę pamiętać o zawiadomieniu pana Yeatesa o wszelkich śladach tego typu.

Andrews obiecał pamiętać i odmaszerował. S.W. wyciągnął do mnie dłoń i mocno uściskał moją.

–W razie potrzeby proszę mnie zawiadomić. Moi ludzie będą służyć wszelką pomocą.

Odwrócił się i odszedł, pozostawiając mnie w pewnym oszołomieniu. Dotychczasowe kontakty z policją, oczywiście z wyjątkiem czasów, kiedy komendantem był Woodey, prawdziwy Woodey, nosiły charakter stałych uporczywych utarczek. Zresztą kilka dni temu miałem do czynienia z Hardem, typowym przedstawicielem kołtuńskiej części organów wymiaru sprawiedliwości. Popatrzyłem na Tebę. – No, to na kim będę ostrzył sobie język? – zapytałem.

–Zostają mi sprzeczki z Philem. – Przekręciła głowę na dźwięk znanego imienia. – Kupię sobie dysk z kompletem dowcipnych ripost, tylko nikomu nie mów. – Westchnąłem.

–Chodźmy do domu. Koniec wakacji.

Podyktowałem numer do Guylorda i usiadłem na kanapie z dużą szklanką wypełnioną w trzech czwartych. Na pierwszy łyk głośnik zareagował miłym głosem sekretarki.

–Mówi Owen Yeates. Chciałbym mówić z panem Guylordem... – rzuciłem w przestrzeń rozwalając się wygodnie.

–Proszę...

Nie czekałem dłużej niż siedem sekund.

–Owen? – zapytały głośniki głosem Guylorda.

–Tak. Mam prośbę: zapomnieliśmy otworzyć zlecenie. Wprawdzie Watkins jest dla mnie nawet miłszy niż twoja sekretarka, ale mogę spotkać kogoś mniej przychylnego.

–Zetknąłeś się ze Stephenem? – zapytał. – To nowego typu policjant.

–Zgoda, ale otwórz, proszę w moim kompie zlecenie na inicjały A.A. To wystarczy.

–Już idzie. Coś jeszcze?

–U mnie – nie.

–Ale ja mam. Mógłbyś wpaść do mnie do biura albo później do domu?

Zastanowiłem się krótko.

–Albo ja wpadnę, dobrze? – zapytał.

–Świetnie – zgodziłem się radośnie. – Akurat zrobiłem sobie drinka...

–No to go wylej. Przyniosę coś ekstra. Osiem minut...

Głośniki mruknęły cicho i wyłączyły się. Popatrzyłem na szklankę. Spróbowałem koktajlu i poszedłem wylać go do zlewu w kuchni. Gdy wróciłem do pokoju, otworzyły się drzwi i pojawiła się w nich Teba. To mi przypomniało, że wciąż jeszcze nie uzbroiłem mieszkania na wypadek wizyty nieprzyjaźnie nastawionych gości, odłożyłem to jednak na potem. Dwie minuty później do drzwi zadzwonił Guylord. Twarz zakrywał mu całkowicie olbrzymi kapelusz, ucisnął mi dłoń i podał płaską torbę. Sięgnąłem do niej i wyjąłem butelkę AYO. Przyniosłem z barku kieliszki.

–Gdzie poznałeś Watkinsa? – zapytał Guylord, patrząc na strumyk ciemnej, niemal koloru czekolady, cieczy zalewającej dna naszych kieliszków.

–Miałem małą zabawę w sklepie. Ktoś chciał mnie porwać.

–Nie bądź taki skromny – wziął do ręki kieliszek. – Watkins dzwonił do mnie. Z trudem wytrzymał, żeby cię nie pytać, ale ja też jestem ciekawski. Jak ci się udało?

–Byłem przygotowany, zaprogramowałem samochód na hasło i tak dalej... – Wlałem w usta kilka kropel i natychmiast poczułem, jak jakaś miękka ciepła dłoń wzięła mnie pieścizotliwie za kark i uniosła na kilka sekund w powietrze. Miałem ochotę zamruczeć jak drapana za uszami kotka.

–A dowiedziałeś się czegoś? Czy wolisz nie odpowiadać?

–Nic – opadłem na kanapę. – Źle mi się dzisiaj strzelało, a bastaad dokończył spartoloną robotę. Wiem tylko, że to nie była ich własna inicjatywa. – Zapaliłem papierosa. – A co u ciebie?

–Znowu ktoś sypie mi piasek w... Nawet nie piasek, – miał puder. Postępują delikatnie jak z

bańką mydlaną, ale jednak. A poza tym... – Sięgnął do kieszeni i podał mi kartkę papieru.

Rozwinąłem ją i zacząłem czytać.

„Przypominam ci źródło Twoich dochodów – krew, krew i łzy. Nie ma sposobu na pozbycie się zapachu nieszczęścia, który tchnie z każdego Twojego centa.

Nie chcemy ciebie w gronie uczciwych obywateli. Guylord, to ostatnie ostrzeżenie. Wycofaj swoje cuchnące pieniądze z uczciwych spółek, nawet gdybyś miał na tym stracie. Kup sobie jeszcze jedną wyspę i zaszyj się tam do końca swoich dni. Nie będziemy dłużej tolerować Twojej obecności w kraju. Nie pomoże ci oddział Yeatesów, możemy ich zgnieść ruchem brwi. Jeżeli natychmiast nie odwołasz swojego kundla...”

Tekst urywał się w tym miejscu, zresztą wyraźne były tylko dwie pierwsze linijki, potem litery blakły coraz bardziej.

–Kopia?

–To było w próżniowej kopercie, sekretarka zobaczyła, że zaczyna znikać i szybko skopiowała list. Było tam coś jeszcze o trumnie dla nas obu, przy czym twoja potrzebna będzie prędzej. Nic istotnego. Tylko strasznie zajężdża fałszem.

–Ale możemy się pocieszyć, że cokolwiek było – łyknałem jeszcze raz – dotychczas zrobione, nie podoba się komuś, bez względu na ilość tych niezadowolonych. I cuchnie fałszem, racja.

Guylord skrzywił się i po raz pierwszy spróbował AYO. Popatrzyłem na niego i zapytałem:

–Coś cię jeszcze dręczy?

–Pfff... Czyja wiem? To chyba w żaden sposób nie wiąże się z resztą, ale jest nieco dziwne...

–No, no?

–Nie wiem, czy wiesz, że mam na Księżycu małą bazę...

–Dlaczegoż by nie? Skoro ja mam dwa samochody?

–Właściwie nie jest to samodzielna baza. Raczej przybudówka do istniejącej bazy państwowej, chociaż jest całkowicie autonomiczna. Uznano kiedyś, że taka asekuracja jest dużo pewniejsza niż oddzielone od siebie kompleksy. Ta moja baza to jedna z uczciwszych inwestycji, kupiłem ją najpierw bez specjalnego pomysłu na wykorzystanie, raczej spodziewałem się zysku ze sprzedaży po jakimś czasie, ale rok później udało mi się zakontraktować pewnego naukowca. To geniusz, niezbyt znany, nietowarzystki wariat,

którego nie obchodzi nic poza realizacją własnych, pomysłów. A ma ich tyle, że po prostu sieje nimi na prawo i lewo. Cała armia mniej zdolnych jajcusiów pracuje nad praktycznym wykorzystaniem tego siewu i choć udaje się to w niewielkim procencie stało się jednym z głównych moich źródeł bardzo, bardzo poważnych dochodów. Ten naukowiec, Yolan Heyroud, jest kaleką – brakuje mu obu

nóg, to znaczy ma niewielkie fragmenty ud. Nie cierpi protez, chociaż proponowaliśmy mu najlepsze światowe modele. Mówię o tym nie bez kozery, otóż sześć chyba lat temu dowiedział się, że kupiłem tę bazę i natychmiast wymyślił, że to jest miejsce dla niego. Waży tam dziesięć kilogramów, twierdzi, że zupełnie nie odczuwa braku nóg i martwią go tylko terminy dostawy sprzętu. Ma czterdzieści osób, które wykorzystuje jak najklasycniejszy satrapa i które przerobił na swoją modłę, tak że nikt mimo wyzysku nie chce spędzić na Ziemi więcej niż kilku dni urlopu. Absolutny władca otoczony wielbiącymi go poddanymi. – Wyciągnął rękę po kieliszek, ale zamiast niego chwycił moją zapalniczkę i zaczął ją podrzucać i łapać, posługując się tylko zręcznymi palcami. – Teraz dochodzę do sedna. Sześć dni temu mieli tam awarię: niezbyt spory meteoroid walnął w naziemną część bazy i spowodował ucieczkę mieszanki tlenowej.

–Poczekaj... – postukałem palcem w blat stołu. – Meteoroid to jakaś odmiana meteorytu?

Od razu zrozumiałem, że dałem się złapać w pułapkę. Guylord uśmiechnął się szeroko, choć jeszcze chwilę temu wydawał się przygnębiony.

–Podobno masz komp z dobrze wyposażonym dyskiem terminów specjalistycznych? – powiedział zjadliwie. – Dobra, wyjaśnię, co mi wbił do głowy Heyroud. To ci pomoże nawiązać z nim kontakt. Meteoryt to ciało, które opadło już na ziemię, nieruchome. A w ogóle nazwa powstała, gdy ciała spadające na naszą planetę rozpatrywano jako te, które wywołują efekt świecenia podczas przechodzenia przez warstwy atmosfery. Tak więc w odniesieniu do ciał spadających na Księżyc błąd jest podwójnie poważny, bo przecież nie ma tam żadnych efektów świetlnych. Specjaliści mówią meteoroidy, per analogiam z asteroidem.

–Chol-ler-a... Że też człowiek żyje w takiej ciemności...

–Prawda? Wracajmy do sedna. Heyroud powinien był zginąć niemal natychmiast, gradzie zablokowały uszkodzoną sekcję, a powietrze wyszło w przeciągu dwóch minut. Nie pomogła akcja ratunkowa. A zdziwienie ekipy ratunkowej było równe rozpacz, która pchała ich do szaleńczej akcji, kiedy okazało się, że Heyrouda nie ma w pokoju. Znaleźli go w innej części, śpiącego kamiennym snem. Nikt, łącznie z nim, nie wie, jak dotarł do pomieszczenia, gdzie go znaleziono. Położył się spać w jednym miejscu, obudził w drugim. On sam długo nad tym nie deliberował – udało się, to i dobrze. Wrócił do swoich doświadczeń, ale kilku młodych ludzi przeprowadziło gruntowne dochodzenie. – Rozłożył ręce. – Bez rezultatu. Nikt się nie przyznaje, można dokładnie zlokalizować miejsce pobytu każdego z ekipy bazy, a cud

nastąpił.

–Taka jest właśnie natura cudu – powiedziałem. – Rozumiem, że nadajesz temu zdarzeniu jakiś specjalny sens?

–A nie powinienem? – rzucił w końcu zapalniczkę na stół.

Wyciągnął nogi daleko przed siebie i kilka razy wciągnął powietrze z aromatem koniaku unoszącym się nad kieliszkiem.

–To może być przesada – powiedziałem wolno. – Owszem, ktoś zneutralizował zamach na ciebie i ktoś, być może, uratował Heyrouda. Ale, na Boga, o ile twój Anioł Stróż mógł w jakiś sposób dowiedzieć się o planowanym zamachu i udaremnić go, to jak dowiedział się o mającym nastąpić uderzeniu meteory... meteoroidu?

Wstałem i poszedłem do kuchni po paczkę chrupiek krabowych. Wysypałem je do miski dzieląc się uczciwie z Tebą. Guylord czekał na mnie, spoglądając niecierpliwie na drzwi, w których zniknąłem.

–Posłuchaj, nie chciałem wtrącać się do... – pomachał rękami. – Do niczego, ale jeśli nie masz specjalnie niczego pilnego do roboty... – pomachał znowu.

–Nie ma sprawy. Pogadam z Księżycem.

–E-a... Myślałem o czymś innym...

–Nieeee?... Chcesz żebym tam poleciał?

Chrupki z dłoni nie doleciały do ust. Zamarłem z wytrzeszczonymi oczami i niezbyt mądrze otwartymi ustami.

–A dlaczego nie? Ja byłem tam już trzy razy. Leci się niewiele dłużej niż do Kijowa.

–Do Kijowa też się nie wybierałem... – bąknąłem. Wsypałem chrupki do ust i poruszyłem szczękami. – Ale... Niech mnie odetną od... Palić tam można?

–Można palić, można pić i niemal połowa składu to...

–Lecę! Dzisiaj?

–Jutro! – Jednym ruchem, zupełnie nie szanując rajskiego trunku, wlał całą zawartość kielicha do ust. – Jutro startuje prom. Na orbicie przesiądziesz się na transportowiec, a na orbicie Księżyca czeka cię jeszcze jedna przesiadka. Nie ma kontroli celnej, waży się niewiele, wspaniałe widoki, niezła kuchnia...

–O której?

–O jedenastej musisz być na lotnisku.

–Trzeba podwoić czy potroić ekipę...

–W tym miasteczku jest teraz więcej moich ludzi niż stałych mieszkańców. – Uspokoił mnie.
– Dwa dzieciaki moich pracownic stale bawią się z Philem, a ich matki mogłyby załatwić czterech takich jak ty.

–Jeśli jedną z nich jest ta hostessa od Japończyków, to nawet dwudziestu.

–Niestety nie.

–No, to nie masz racji.

–Mam – wstał i podał mi dłoń. – Do zobaczenia za tydzień.

–Do zobaczenia.

Gdy wyszedł, zadzwoniłem do Pymy. Powiedziała, że bawią się świetnie i że ludzie są tam wspaniali. Phil ma towarzystwo i nie można go utrzymać w domu. Tak mu szkoda czasu, że nawet skrócił swoją koronną kwestię i nie mówi już: „Jak taki jesteś, to sobie bądź!”, tylko: „Jesteś, to bądź!” Poinformowałem Pymę, że wyjeżdżam na mniej więcej tydzień i ostrzegłem przed zgubnym wpływem prowincji.

–Myślę, więc jestem – powiedziałem do Teby, gdy głos Pymy umilkł. – Wiem, że nic nie wiem. Jesteś, to bądź... Czyżbym dał światu filozofa?

Popatrzyłem na nią i nagle uprzytomniłem sobie, że nie mam z kim jej zostawić. Złapałem Guylorda w samochodzie. Obiecał zająć się psem, chciał nawet wywieźć ją na Gołębią Wyspę, ale zabroniłem wywożenia jej poza miasto. Podziękowałem za pomoc i poszedłem spać.

Osiedle wyglądało z góry – ktoś z załogi uprzejmie wskazał mi ekran obserwacyjny – jak model potrójnego układu słonecznego: trzy duże kopuły w centrum i kilkanaście mniejszych, choć zróżnicowanych gabarytowo, na ich orbitach. Wszystkie połączono między sobą krechami przejść. Centrum łączności, wysoki maszt i dwa mniejsze oraz kilka czasz umieszczono w pewnej odległości od osiedla. Wokół powiększającego się stale na ekranie modelu krążyło kilkanaście pojazdów, wszystkie miały każdy możliwy kawałek powierzchni pokryty płytkami baterii słonecznych, jak zresztą i kopuły, i tunele. Skłony wzgórz, wśród których rozmieszczono stację, również połyskiwały głęboką czernią.

–Podoba się? – zapytał przechodzący obok opalony na czekoladę skandynawski blondyn.

–Zupełnie nie czuje się, że to nie Ziemia. Kopuły, maszty, baterie... Wszystko swojskie, tylko waga...

–Trochę inaczej wygląda to podczas nocy, mamy elektrownię jądrową, niewielką, ale o wystarczającej mocy, żeby wspaniale iluminować osiedle.

Przesłał mi jeszcze jeden uśmiech i odszedł. Zobaczyłem na płycie pająkowaty cień naszego modułu transportowego, a chwilę potem delikatnie usiedliśmy na płaszczyźnie lądowiska. Dzięki obowiązkowym hipnopedycznym wykładom każdy z przybywających na Księżyc był jako tako zorientowany w budowie bazy i w podstawowych punktach obowiązującego regulaminu. Miało to ustrzec potencjalne ofiary niedoinformowania przed skutkami nie przemyślanych kroków. Wiedziałem więc, co mam robić. Zabrałem torbę z podstawowym ekwipunkiem urlopowym i poszedłem do śluzy. Byłem jedynym pasażerem, ładunki opuszczały moduł inną trasą. Poczekalem aż zapali się zielone światło i otworzą wrota śluzy. Czekał już tam na mnie mały, szybki łazik na ażurowych oponach z błyszczącej siatki. Kierowca zrzucił hełm i wskazał mi lekki kombinezon. Naciągnąłem go na siebie dość zgrabnie – dały o sobie znać nocne lekcje – i, gdy w słuchawkach przebrzmiało standardowe pytanie – test łączności, zapytałem:

–W czym może pomóc taki skafander?

–Asekuracja. Grozi nam co najwyżej uderzenie jakiegoś okruszka, więc skafander dotyczy tylko takiej okazji. Dotychczas nie mieliśmy żadnej poważniejszej awarii z pasażerami.

–Fajnie...

Wgramoliłem się do wnętrza łazika. Kierowca wsunął się za mną i zamknął kopułę. Kilka obłoczków pyłu zawirowało, gdy zaczęły działać pompy. Zewnętrzne drzwi stanęły otworem i wyjechaliśmy na księżycowy grunt. Nie odczuwałem żadnego podniecenia, niezliczone filmy „przyzwyczały” nas do pobytu na Księżycu. Jediną niezwykłą rzeczą było ciało – nadzwyczaj lekkie ręce, ulatujące przy każdym ruchu za wysoko i za daleko, i nogi, usiłujące wyrzucić właściciela za każdym razem, gdy zapomniał o swojej aktualnej wadze. Po czterech czy pięciu minutach wjechaliśmy do oznaczonej siódmym numerem śluzy w jednej z kopuł „orbitujących” wokół centralnego kompleksu. Kierowca odczekał aż zdjąłem skafander i powiesiłem we wnęce, pożegnał i jednocześnie ponaglił mnie gestem, więc wszedłem do kabiny jeszcze jednej śluzy. Zamknęły się za mną drzwi, przez wziernik widziałem, jak łazik na buksujących kołach wykonuje skręt i niemal ocierając się o nie do końca otwarte wrota, wypada na zewnątrz. Za mną syknęły drzwi i wyszedłem na korytarz.

–Pan Owen Yeates – burknął głośnik nad głową. – Proszę iść prosto korytarzem aż do pokoju oznaczonego numerem dwadzieścia sześć. Za pół godziny przyjdzie po pana oddelegowany pracownik. Proszę przypiąć do ubrania czujnik. Jest

na ścianie. Dziękuję.

–Ależ nie, to ja serdecznie dziękuję – powiedziałem trochę zły. Przyczepiłem do bluzy płaską płytkę i ruszyłem korytarzem. – O niczym innym nie marzę jak o kąpieli, strasznie się

uważałem w tym waszym pająku.

Mój pokój nie odbiegał swoją bezosobowością, nijakością i brakiem przytulności od milionów takich samych pokoi w ziemskich motelach. Rzuciłem torbę na podłogę i długim księżycowym szczupakiem skoczyłem na łóżko. Aktualna waga pozwalała na takie numery, a fakt, że wylądowałem tam gdzie chciałem, pozwalał mi pochwalić samego siebie za szybką adaptację. Sygnał przy drzwiach odezwał się po dziesięciu minutach. Zaraz potem męski głos zapytał:

–Można wejść?

Połowę załogi miały stanowić kobiety, przypomniałem sobie. Widocznie chronili swoje skarby przed Ziemianami. Błyskawicznie przepętniony najgorszymi przeczuciami mruknąłem:

–Wejść.

Przybyły miał jakieś dwadzieścia cztery lata. Białe spodnie na udach pokryte były siatką różnokolorowych kresek, widocznie czyścił o nie czubki kreślików. Uśmiechnął się w sposób nieokreślony i przedstawił:

–Don – Vermilla. Będę twoim opiekunem, przewodnikiem i czym jeszcze zechcesz.

–Niczym więcej nie zechcę – dwoma niezbyt zgrabnymi susami dotarłem do drzwi i uściśnąłem mu dłoń. – Chcę zapoznać się z dokumentacją dotyczącą wypadku, porozmawiać z tymi, co wiedzą najwięcej o nim, i z samym Heyroudem.

–No, to taka kolejność będzie najlepsza – przytaknął. – Teraz trzeba by było odrywać ludzi od roboty, a za trzy godziny kończy się dzień pracy i będzie można rozmawiać z kim się chce. Z Yolanem może być gorzej, on nie przestrzega żadnych terminów. Śpi kiedy chce, pracuje kiedy uzna za stosowne...

–Mój drogi aniele... – przerwałem czując, że jeśli się jeszcze choć trochę rozłoszczę, to ulecę pod sufit. – Nie jestem przedstawicielem prasy i nie zabieram się do reportażu z bohaterskiego podboju satelity...

–Wiemy – powiedział spokojnie, cierpliwie, jak do dziecka. – Chodźmy, zaprowadzę cię do kompa.

Nie dbając o jego obecność, sięgnąłem do torby i schowałem w kieszeni płaską butelkę bourbona. Pół godziny później, po zapoznaniu się z podstawową techniczną

dokumentacją wypadku, pociągnąłem z butelki po raz pierwszy. Sprawa była trywialnie prosta – kamyk wielkości połówki orzecha laskowego uderzył w kopułę i spowodował błyskawiczną ucieczkę powietrza z jakiegoś magazynku i sypialni Heyrouda. Teoretycznie powinien był zestrzelić go laser, ale orzeszek schował się za lądującym właśnie modulem a

drugi laser był tymczasowo wyłączony. Wyciągnięto właściwe wnioski, zainstalowano trzeci laser, przeniesiono pokoje Heyrouda bliżej centrum kopuły, tak «e w razie totalnego zniszczenia bazy byłby ostatnim, który by zginął) Tyle dokumentacja techniczna wypadku.

Łyknąłem z butelki. Zeznania świadków – niemal bez znaczenia, usłyszeli sygnał alarmowy, naciągnęli kombinezony i pognali na stanowiska alarmowe. Kilka osób rzuciło się do Heyrouda – jego pokój był zablokowany. Najszybciej jak można odcięli cały segment od reszty, otworzyli awaryjnym sprzętem drzwi i oniemieli, widząc pustą sypialnię.

Oszołomieni, założyli prowizoryczny plaster od wewnątrz, na kopule już siedziała ekipa z bazy głównej. Cała załoga rzuciła się do przeszukiwania kompleksu. Heyrouda znaleziono w jednym z pokoi gościnnych, dwa numery od mojego Spał z mocno zakłajstrowanyrni uszami, co często robi}”, natomiast nie mogli się go dobudzić, co nie zdarzało się nigdy. Analiza powietrza z płuc wykazała obecność niewielkiej porcji litarsipeinum, co dopełniło obrazu. Ktoś pogłębił sen Yolana, przeniósł go w bezpieczne miejsce i wyparował albo ukrył się wśród oszołomionej wydarzeniami czterdziestki.

Obejrzałem dokładnie plan bazy pod kopułą. Część gościnna znajdowała się nieco na uboczu głównych korytarzy. A z pokoju Heyrouda, jeśli skorzystać z drugich drzwi, do pokoju numer dwadzieścia osiem – kilka kroków, które można przebyć będąc niemal pewnym, że nie spotka się nikogo. Rzecz jasna, komp wcale nie śledzi wszystkich pomieszczeń, zgłasza się tylko do wywołania, ale tajemniczy ratownik nie miał żadnej sprawy do kompa.

Zapaliłem czwartego papierosa. Potem piątego i szóstego. Rozważałem wszystkie możliwości, ale sprowadzało się to do stwierdzenia, że nie było żadnej. Wywołałem komp.

–Ile osób znajduje się w tej chwili w bazie?

–Trzydzieści cztery z nowo przybyłym. Cztery osoby na zewnątrz, dwie w bazie głównej.

–Ile osób wynosi stała załoga bazy?

–Trzydzieści dziewięć.

–Czy taki był stan osobowy w chwili uderzenia meteoroidu?

–Tak... Trzydzieści dziewięć, w tym dwie poza kopułą.

–I tyle było rzeczywiście?

–W chwili uderzenia w bazie było czterdzieści osób.

–Ile???

–Czterdzieści.

–Wszystkie miały identyfikatory?

–Tak.

–Skąd się wzięła czterdziesta osoba? Dlaczego **nie zaalarmowałaś dyżurnego?**

–Skład stale się zmienia. Z bazą główną łączy ten segment bezpośredni korytarz. Nie ma podstaw do alarmu, jeśli identyfikator jest aktualny. W moim programie nie ma polecenia o alarmie w przypadku...

–Dość! – zastanawiałem się chwilę. – Czy możesz określić przedział czasu, w którym na terenie tej bazy znajdował się ktoś obcy?

–Uściślij pojęcie obcy – zażądał komp.

–Obcy to ktoś spoza stałej załogi bazy, nawet jeśli posiada identyfikator.

–Dla mnie nie jest obcym. Identyfikator jest równoznaczny z...

–Czekaj... Inaczej. Od kiedy do kiedy w bazie znajdowało się o jedną osobę więcej niż stały kontyngent? Chodzi o czas plus minus godzina od wszczęcia alarmu.

–Uderzenie meteoroidu nastąpiło o ósmej czterdzieści siedem obowiązującego tu czasu ziemskiego. O ósmej dwadzieścia trzy w bazie znajdowało się czterdzieści osób. O ósmej pięćdziesiąt sześć – trzydzieści dziewięć.

Opadłem na oparcie krzesła. Nogi podskoczyły mi do góry i omal nie zleciałem na podłogę. W ostatniej chwili chwyciłem się za podłokietnik. Dobrze, że byłem sam w pokoju. Skłamałem się w duchu.

–Don Vermilla? – nacisnąłem klawisz łączności.

–Słucham? – odezwał się po kilku sekundach.

–Czy można na pięć minut zebrać w jakimś pomieszczeniu całą załogę? Z wyjątkiem Heyrouda? Czekałem chwilę, potem Vermilla odchrząknął i powiedział:

–Trzydzieści sześć osób może za kilka minut być w jadalni. Dwie muszą pozostać przy aparaturze, ale będą na ekranach. Gdy wyjdiesz na korytarz, skręć w lewo, będę na ciebie czekał.

Dwoma susami dopadłem do drzwi i długimi skokami-krokami doszedłem do

rogu. W otwartych drzwiach czekał Don, za jego plecami pojawiali się i znikali członkowie

ekipy bazy, wchodząc do pomieszczenia. Vermilla przepuścił mnie do jadalni i pokazał niewielkie podium, dotarłem doń niemal bez incydentów. Gdy przysiadłem na brzegu stołu chcąc lepiej widzieć obecnych, weszły jeszcze dwie dziewczyny i mężczyzna mniej więcej w moim wieku. Vermilla wszedł ostatni i zamknął drzwi.

–Słuchajcie! – powiedział głośno i odczekał aż gwar ucichł. – Proszę... – popatrzył na mnie i wskazał okrągłym gestem obecnych.

–Stwierdziłem, że w chwili awarii w bazie było o jedną osobę więcej, niż być powinno – powiedziałem. Musiałem przeczekać znów kilkaset słów niemal jednocześnie wypowiedzianych przez kilkadziesiąt osób. – W związku z tym mam pytanie: czy ktoś widział w bazie kogoś obcego? Kogoś z bazy głównej czy... Nie wiem, skąd?

Niemal wszyscy zaczęli się rozglądać, jakby w oczach najbliższych sąsiadów szukali odpowiedzi. Kilka osób sięgnęło do starego sposobu na pobudzenie pamięci – zaczęli drapać się po głowach i karkach. Gwar wzmocnił się, a potem samoistnie umilkł. Jakiś młodzieniec uniósł rękę i powiedział:

–Kilka minut po alarmie przybyły posiłki z Bazy Jeden...

–Ale wcześniej?

Cisza wypełniona bezgłośnym kręceniem głowami i wykrzywionymi ustami.

–No to inaczej: czy moglibyście na schemacie... – popatrzyłem na Vermillę i wskazałem mu duży ekran kompa na ścianie -...oznaczyć, gdzie zastał was alarm?

Vermilla szybko podszedł do monitora i wyprowadził na jego ekran schemat bazy, a potem odsunął się. Na schemacie czerwona kropka wskazywała miejsce jego pobytu w chwili uderzenia meteoroidu. Najbliżej siedzący wstali i zaczęli dźgać ekran monitora. Ci dalej siedzący wykrzykiwali swoje pozycje, kilkanaście sekund trwał gwar.

–...W piątym labo, Nick!

–Razem z Noną! Na stanowisku BDE...

–...Wszyscy troje, tak!

–Nieco bliżej... O!

Potem hałas ucichł. Trzydzieści sześć par oczu wpiło się spojrzeniami we mnie. Podszedłem do ekranu.

–Trzy osoby były same – Wskazałem palcem trzy samotne kropki, reszta była

zgrupowana w dwu-trzyosobowe grupki. – Kto to jest?

–Ja... – wstała pyzata czterdziestolatka, przybrała wyzywający wyraz twarzy, stała z przekrzywioną głową i wysuniętą do przodu żuchwą.

–Chciałbym żebyśmy się dobrze zrozumieli. Nie prowadzę dochodzenia, żeby kogoś ukarać, nie podważam waszych alibi, więc nie dąsajcie się. Chcę wyjaśnić dziwny przypadek, to tyle. – Popatrzyłem na zarumienioną kobietę.

–A więc... Co tam pani robiła?

–Pracowałam z kompem...

–No, to nie ma o czym mówić – Machnąłem ręką.

–Można to sprawdzić... – Wskazałem palcem drugą samotną kropkę. – A to?

–To ja – podniósł rękę piegowaty młodzieniec. – Byłem na basenie. To też można sprawdzić; tuż przed alarmem wyłączyłem podgrzewanie wody, dosłownie kilkanaście sekund. Nawet nie zdążyłem się przebrać w suche rzeczy.

–Jasne... – skinąłem głową. – I ostatnia kropka?

–Moja! – krzyknął z pierwszego rzędu krótko ostrzyżony brunet. – Pół minuty wcześniej wyszedłem z kuchni. To też alibi: zaprogramowałem menu i wydałem dyspozycje co do obiadu.

–No, to sami widzicie, że to nikt z was... Nikt z was nie prznosił Heyrouda, chyba że mamy do czynienia ze znową. Jeśli nie, musimy przyjąć, że był tu ktoś obcy. W takim razie pytanie – kto? I jak tu się dostał?

Popatrzyłem na obecnych, ale znalazłem w ich oczach tylko zdziwienie i osłupienie. Po chwili prawie wszyscy zaczęli kręcić głowami. Poczekałem chwilę.

–No, to jeszcze inaczej. Czy ktoś zetknął się w dniu awarii albo nieco wcześniej z czymś dziwnym, niezrozumiałym, z czymś niewytłumaczalnym? Nie bójcie się śmieszności...

Odpowiedziała mi cisza.

–Będę tu dobie. Zajmuję pokój numer dwadzieścia sześć. Gdyby ktoś przypomniał sobie coś, gdyby ktoś chciał podzielić się jakimiś przypuszczeniami, domysłami, pomysłami... Chętnie wysłucham. A wy pomyślcie o tym, że każde dziwne zdarzenie może mieć różne zakończenie. Teraz mieliśmy do czynienia z happy endem... – zakończyłem głosem puszczyka. – Dziękuję.

Wróciłem do ekranu monitora. Niebieskim kolorem zaznaczyłem sypialnię Heyrouda i wykreśliłem trasę, którą musiał być przeniesiony do pokoju. Przeleżał w nim spokojnie

kilkanaście minut, podczas których młodzież, opuszczająca właśnie

jadalnię, wyłamywała drzwi szlochając w bańki hełmów. Z rysunku wynikało, że wszyscy biegli do odciętego segmentu inną drogą, nikt nie skrzyżował swojej trasy z hipotetyczną marszrutą tajemniczego ratownika. Dawno umilkł za plecami szurgot przesuwanych krzesel i przyciszone podniecone głosy załogi. Westchnąłem i odwróciłem się. Don Vermilla czekał na mnie, stojąc oparty o ścianę przy drzwiach.

–Zero? – stwierdził.

–Dlaczego? Gorzej by było, gdyby nie było tej jednej osoby superaty.

–Na twoim miejscu nie spodziewałbym się po tym śladzie zbyt wiele. Wystarczy, że do którejś z dziewczyn przyszedł ktoś z Bazy Jeden.

–I uciekł, słysząc sygnał alarmu? Ładnie to świadczy o waszej księżycowej solidarności...

–A jeśli, na przykład, opuścił niezbyt istotny posterunek?...

Zacisnąłem zęby i popatrzyłem na Vermillę z wyrzutem. W odpowiedzi wzruszył ramionami.

–Może chcesz się przejechać po powierzchni? – zaproponował.

–Pieprzę waszą powierzchnię! – warknąłem. – Idę do siebie, daj mi priorytet na komp. Nie chcę, żeby cokolwiek było przede mną utajnione. Jeśli masz wątpliwości, to pogadaj z Guylordem.

Odwróciłem się, omal nie wykonując piruetu, i pomaszerowałem, o ile można to nazwać marszem, do swojej kajuty. Zanim, gdzieś około trzeciej, któraś z dziewczyn przyniosła mi obiad, zdążyłem zapoznać się z życiorysami wszystkich pracowników bazy, skompletowałem ich zdjęcia i papilary, dołączyłem szczegółowy minutowy raport kompa z dwudziestu czterech godzin, których środkiem było trafienie kopuły meteoroidem. W moim dossier znalazły się również dwie osoby, które przybyły na Księżyc siedemnaście godzin przed alarmem i niestety, do dnia dzisiejszego nie przekroczyły progu służby między bazami. Tuż przed czwartą rzuciłem się na łóżko, odbiłem się od niego kozłem i grzmotnąłem w ścianę. Dawno już nie byłem tak zły” co nie przeszkodziło mi szybko zapaść w sen.

Obudziłem się z zaciśniętymi pięściami. Głośnik odchrząknął głosem Vermilli.

–Można? – Z intonacji można było sądzić, że powtarza swoje pytanie.

–Można, można... – mruknąłem.

Idąc do łazienki zabrałem ze sobą pustą butelkę i wrzuciłem ją do kasety utylizatora. Spłukałem twarz pod zimnym cienkim strumieniem, rozchlapując wodę po ubraniu i niemal

całej łazience. Nie zanosiło się, abym szybko doprowadził do

porządku rozchwierutany układ nerwowy. Vermilla obrzucił mnie taksującym spojrzeniem, najwyraźniej zastanawiał się, czy jestem w stanie znaleźć się przed obliczem Heyrouda.

–Yolan czeka na ciebie – powiedział wolno. – Chcesz być z nim sam na sam?

–A co? – warknąłem. – Może ugryźć?

Zignorował mnie całkowicie, jak tylko potrafią to zrobić niektóre, o długim małżeńskim stażu, kobiety. Pogłaskał się opuszkami lewej dłoni po wierzchu prawej i powiedział w przestrzeń:

–Porozmawiaj z Ann Midmant. Ona do ciebie sama się nie zgłosi. – Odwrócił się i poszedł w kierunku drzwi rzucając po drodze przez ramię: – Heyrouda znajdziesz w pokoju numer dziewięć. Na pierwszym skrzyżowaniu w lewo, na następnym jeszcze raz.

Poruszał się zręcznie, odbijał zgrabnie od podłogi niemal samymi czubkami stóp, jego kroki różniły się od ziemskich chyba tylko pewną posuwistością. Zupełnie inaczej sprawa przedstawiała się ze mną. Jeśli szedłem normalnie to wynosiło mnie wysoko w górę i irytująco wolno opadałem zdradzając spore inklinacje do przechyłów bocznych, przednich i tylnych. Musiałem iść wolno, delikatnie, jakbym, używając słów poety, „stąpał piętami po ostrzu noża”. Co prawda on miał na myśli swoją sytuację. A ja, do cholery, to co? Zaciskając zęby dotarłem do skrzyżowania, nie natykając się na nikogo przebyłem odcinek do następnego skrzyżowania i skręciłem w lewą odnogę. Chwyciłem się klamki drzwi z dziewiątką na płycie i wdusiłem tester sygnału. Drzwi szarpnęły mną, omal nie zwalając z nóg. Są czasem takie dni, kiedy nawet prosta czynność fizjologiczna może być niebezpieczna. Wsunąłem się do pokoju.

Yolan Heyroud siedział w fotelu z wysokim, na poziomie kolan umieszczonym podnóżkiem. Zademonstrował mi natychmiast jego działanie – oparł się kikutami o podnóżek i wyciągając prawą rękę, trzymając lewą na podłokietniku, podjechał w moim kierunku.

–Dzień dobry – mocno, niczym cęgami, ścisnął moją prawicę. Wózek sterowany niemal niezauważalnymi ruchami lewej dłoni wykonał zwrot z jednoczesnym cofnięciem się o ćwierć metra. Heyroud wskazał prawą fotel. – Proszę... Napije się pan czegoś?

–Z całą pewnością! – Usiadłem w fotelu, czekałem aż gospodarz podjechał do mnie ciągnąc za uchwyt kulę barku.

–Wyniki mojego dochodzenia – powiedziałem wyjaśniająco – są tak mizerne, że najchętniej urznąłbym się i zapomniał o wszystkim.

Heyroud zerknął na mnie spod oka, nie przerywając nalewania do szklanek zakończonych fikuśnymi dziobkami aromatycznej whisky. Podał mi jedną i oszczędzając moją dumę szybko

zaprezentował, jak należy korzystać z tych naczyń.

–Zbyt często wylewała się na brodę żebym mógł, to tolerować – powiedział, unosząc nieco swoją szklankę. Miał szczerą różową twarz dziecka albo debila, jasne błękitne oczęta patrzyły na świat, a przynajmniej na mnie, ufnie i beztrosko. Dłonie, mimo że bez śladu atrybutu męskości – owłosienia, były wspaniale umięśnione, nie wątpię także, że byłby w stanie położyć mnie na rękę, choć kilka już lat przebywał na Księżycu. – A wypadek... Cóż... Wypadki zdarzają się w ziemskich laboratoriach, nawet częściej niż tu, codziennie ginie ileś tam osób w wypadkach drogowych, mimo skomputeryzowania autostrad. Tutaj był to dopiero pierwszy poważniejszy alarm od założenia naszej bazy. Tak więc, moim przynajmniej zdaniem, nie ma o czym mówić.

Gestem spełnił toast, szybko dołączyłem do niego.

–Ja mam nieco szerszy i pewnie dlatego inny pogląd na sprawę. A poza tym, to jest cecha każdego gliniarza – aż do bólu nie znoszę nie wyjaśnionych, niewyjaśnialnych tajemnic. Działa to na mnie jak zajęcza dupa na charta, jak krew na rekiny i tak dalej, i tak da.

–Rozumiem – oświadczył serio i uwierzyłem mu. – Może też wczepiłbym się w tę tajemnicę, gdybym nie miał innych, znacznie bardziej pasjonujących... – Uniósł brew i wykrzywił wargi w grymasie zastanowienia.

–Guylord mówił mi, że wywozi stąd całe tony cudów-cudeniek.

–Guylord!... – prychnął wesoło. – Skłonność do przesady ma nieźle rozwiniętą. Co chociażby udowodnił wysyłając na Księżyc prywatnego detektywa... – roześmiał się, kręcąc głową.

–Przesada? A pana nie denerwuje, że ktoś pomaga i nie ujawnia się?

–A dlaczego ma mnie to denerwować?

–Czy ja wiem... Mnie by wkurzało, że jestem jakby zależny od kogoś. A jeśli ten ktoś nie raczy kiedyś poruszyć paluszkami? A ja, już przyzwyczajony do jego opieki, sam nie zdążę zadziałać w swojej sprawie?

–To ciekawe... – oświadczył z namysłem. – Nie rozważałem tego w takich kategoriach.

Dopiłem chlapiąc niezbyt elegancko ostatni łyżeczek ze szklanki.

–Może to zawodowe podejście. Ja musiałem zakładać, że nikt mi nie pomoże.

Jeśli mimo to korzystałem z czyichś usług, to zawsze było to coś jakby nadplanowego... Rozumie pan – jeśli stoję przed osobnikiem, który zamierza pogłębić mi nożem pępek, to nie mogę zakładać, że akurat w tym momencie spadnie mu na głowę dachówka. Jeśli

spadnie to O.K., ale jeśli nie, to jestem przygotowany do samodzielnego działania.

–Dramatyczny przykład... – Sięgnął do butelki i zastąpił niemal całe powietrze ze szklaneczek wysokogatunkowym alkoholem. – Ale jeśli ma przemówić... – Nie czekając na mnie, upił trochę. – Wracając do naszej sprawy, nic nie wiem. Naprawdę... Zasnąłem w sypialni... – wskazał głową -...tu, obok. Obudziłem się jakiś mętny i rozmiękczone kilka godzin później w tłumie zdenerwowanych kolegów. Może jestem lunatykiem? – Zastanawiał się chwilę. – Lunatyk na Księżycu? Czy to możliwe?

Nie odpowiedziałem. Wyjąłem papierosy i pokazałem paczkę Yolanowi. Patrzył na nią chwilę nie rozumiejąc o co mi chodzi, ale zaraz pokręcił głową. Zaciągnąłem się i wydmuchnąłem pod sufit smugę dymu.

–A tak w ogóle... – rzuciłem lekkim tonem – to nad czym pan pracuje?

Oprzytomniał trochę, oderwał się od zaprzatającego mu umysł problemu i popatrzył na mnie z namysłem w oku.

–Pytam nie z próżnej ciekawości – wyjaśniłem. – Nie musi mi pan podawać żadnych szczegółów. Tylko... Hm... Przyszło mi do głowy, że skoro jest pan dla kogoś na tyle cenny, że decyduje się na dyskretną opiekę... Ryzykuje zdemaskowanie w bądź co bądź ograniczonym środowisku... Może informacja o pańskich zainteresowaniach może mi w czymś pomóc?

Dobrych kilkanaście sekund przyglądał mi się, a potem opadł na oparcie fotela i cmoknął przez zęby.

–Mylny trop... – powiedział wolno. – To wykluczone. – Nagle wychylił się z fotela. – A wie pan dlaczego? – Pokręciłem rzecz jasną głową. – Bo nikt prócz mnie nie wie, nad czym naprawdę pracuję.

–Guylord? – zapytałem szybko.

Skrzywił się i pokręcił głową.

–Guylord mnie utrzymuje i płacę mu za to. Odrywam się od prawdziwej pracy i daję mu coś... – Zmrużył oczy i po raz kolejny wpił się we mnie spojrzeniem.

Olśniło mnie. Spokojnie sięgnąłem do szklaneczki i – choć i tak była nienaturalnie lekka – ująłem jej trochę z wagi.

–Nie jestem człowiekiem Guylorda. Pracuję dla niego bardziej lub mniej

chętnie. A tak w ogóle to moją naczelną dewizą jest dyskrecja. Jeśli tylko będę mógł wykonać zleczone mi zadanie bez ujawniania jakichkolwiek szczegółów, to tak właśnie

postąpię, tak zawsze postępowałem. Co innego, jeśli pan ukrywa coś, co może wyjaśnić... – teraz ja wypłem się spojrzeniem w oczy Heyrouda -...dlaczego ktoś chce go usunąć. A ktoś inny go przed tym strzeże...

–Guylorda? – Podniósł dłoń do twarzy i zapomniał, co chciał nią zrobić. Po prostu trzymał zwróconą palcami w kierunku policzka i patrzył na mnie. – Eeee... to ja na pewno nie mam z tym nic wspólnego.

–Ale może wspólny znajomy strzeże was przed nieprzewidzianymi wypadkami... – westchnąłem. – Wiem, że uderzenia meteoroidu nie da się przewidzieć...

–Powiedział pan meteoroidu? – zdziwił się.

–A co miałem powiedzieć?

–No właśnie... – zastanowił się nad czymś, a potem poruszył palcami na oparciu swojego fotela i wskazał coś brodą za moimi plecami. Obejrzałem się i zobaczyłem, że niemal goła ściana zwinęła się i odsłoniła inną, pokrytą prawie w całości niezliczoną ilością najprzeróżniejszych zegarków. Przyglądałem się im chwilę, nie zauważyłem poruszenia wskazówek, zmiany cyferek, nie słyszałem tykania. Zerknąłem na Heyrouda.

–Jest ich osiemdziesiąt trzy tysiące siedemset czterdzieści cztery. Powinno być osiemdziesiąt sześć tysięcy czterysta. Tyle mamy sekund w dobie. Zbieram zegarki, które zepsuty się w innej, niż już posiadana przeze mnie, godzinie. – Sycił kilka sekund oczy widokiem tysięcy zegarków...

–Nie – powiedziałem zdecydowanie.

Chwilę jeszcze, jakby z rozpędu, wpatrywał się w kolekcję. Dopiero po kilku sekundach przeniósł rozmarzone spojrzenie na mnie.

–Co jest najbardziej trwałe w naszym świecie? Czego nie da się zmienić? – zapytał natchnionym głosem.

–Mój pociąg do alkoholu! – Byłem coraz bardziej zły na siebie, na niego, na Guylorda. Podniosłem swoją szklankę i wypłem całą zawartość, jednocześnie zastanawiając się, czy mojego własnego zapasu wystarczy na resztę wieczoru i część nocy. – Tylko to przychodzi mi do głowy!

–A co jest jednocześnie niesłychanie kruche? Co można uszkodzić nieodwracalnie, z potwornymi skutkami? – zapytał, nie zwracając uwagi na moje

wygłupy. Korciło mnie żeby mu powiedzieć coś o jądrach, ale powstrzymałem się. Wzruszyłem tylko ramionami. – Czas!... – wyszeptał. Wytrzeszczył oczy i wyszczerzył zęby, przesadnie artykułując to jedno słowo.

Pokręciłem w dłoni szklankę. Postawiłem ją na stoliku i obsłużyłem się sam. Czuję leciuteńki, łagodny jak tchnienie oddechu komara... komary oddychają?... szmer w głowie; nawiedzony uczony zaczął mnie nudzić. I irytować.

–Czas szczęścia nie daje – mruknąłem, żeby go zdenerwować.

–Na ogół, nie! – Zgodził się ze mną wesoło. – Ale gdyby tak dało się nim sterować?

–Aha! – Parsknąłem śmiechem. – Niedawno miałem do czynienia z takimi, co bawili się czasem...

–Bzdura! – wrzasnął. – Gdybym wiedział o tym kraterze, natychmiast bym ich zdemaskował!

–Ale to ja ich zdemaskowałem... – powiedziałem skromnie. – Bez żadnych podstaw naukowych.

–Stop... – warknął, unosząc jednocześnie rękę. – To pan? – Chyba był z lekka zaskoczony. Skorzystałem z tego i nalałem sobie jeszcze jednego. Dzień pracy zakończony, co prawda, bez wyraźnych efektów, czas relaksu...

–Ho, ho! – Nabrał powietrza do płuc i następnie wypuścił je wydymając policzki. – No, to... – szybko wypił zawartość swojej szklanki i nalał następną porcję. – Panu odkryję swoją tajemnicę. Pracuję nad czasem. Podróżami w czasie... – zaczął mówić szybko, jakby bał się, że go – powstrzymam. Nie miałem takiego zamiaru, w butelce było jeszcze sporo. – To, co daję Guylordowi, to odpady z głównego nurtu albo zabawki, żeby nie odciął mnie od forsy, Czas... – wyszeptał z rozmarzeniem. – Gdyby można było wędrować w nim?... Gdyby można było cofać się... Obserwować...

–Podglądać... – podpowiedziałem.

–Tak! – zgodził się. – Będąc nieśmiertelnym podglądać śmiertelnych.

–Tylko podglądać? Tylko? Do którego momentu wytrzymałby pan? Do chwili amputacji nóg? Czy do chwili kiedy jakiś facet, jakiś bździunio odbija ci ukochaną dziewczynę? Może zacząłbyś od zlikwidowania Hitlera? To w końcu cholernie szlachetny ruch, nie?

Szmer w głowie nabrał wagi sapania słonia. Zrozumiałem, że jeśli natychmiast stąd nie wyjdę, to nieznany ratownik będzie musiał wynosić stąd tym razem moje piętnastokilogramowe ciało.

–Bzdury! – Uderzył dłonią w stół.

–A pewnie... – zgodziłem się. – Tylko że to nie ja wymyśliłem ostrzeżenie przed zbyt radosnym włamywaniem się do skarbcza Natury i podbieraniem jej małych sekrecików Wie

pan... – podniosłem się, oparłem o blat i zawisłem nad Heyroudem. – Pewien uczony wykonał buty siedmiomilowe.

Bardzo się z tego ucieszył – nadzieja dla ludzkości, tanie podróże itepe. Włożył je na nogi i ruszył. Zrobił krok i rozerwało go – źle wyskalował swoje buty: jeden zrobił siedem mil, drugi – tylko sześć.

Odsunąłem się i przesunąłem w stronę drzwi.

–A morał? – zapytałem zdębiałego Heyrouda. – Uwaga na wynalazki! – Otworzyłem drzwi. – Muszę się związać. Do widzenia. A jeśli dobrze zrozumiałem, o jakie zegarki panu chodzi, to parę podeślę – powiedziałem, chcąc złagodzić jakoś swoje niezbyt uprzejme potraktowanie narwańca.

Odetchnął z wyraźnym żalem, pewnie byłem pierwszą osobą, której chciał zwierzyć się i od razu trafił na podchmielonego tępaka. Nie przyszło mi do głowy nic pocieszającego, więc tylko pomachałem ręką i posuwistym krokiem, starając się naśladować Vermillę, wyszedłem na korytarz.

W swojej” kajucie wsadziłem głowę pod kran i – chociaż spowodowało to mały potop w całej łazience – powstrzymałem proces narastania nieumotywowanej złości i chęci dokuczania. Dopiero potem znalazłem w kompie kod Ann Midmant. Najpierw była tylko zdziwiona propozycją rozmowy, po kilku sekundach coś do niej dotarło i wtedy zrobiła się mało przyjemna. Zgodziła się jednak przyjść, zanosilo się na sympatyczną rozmowę.

–To jak, Ann – usłyszałem w głośniku i zaraz otworzyły się drzwi.

Dziewczyna poruszała się zgrabnie, jak wszyscy tutaj, choć odrobinę śmiesznie dla Ziemiańcina. Skinęła głową i bez słowa usiadła na krzeselku, kierując ku mnie nachmurzoną buzią.

–Najpierw chciałabym się dowiedzieć czy pan przesłuchuje wszystkich, czy tylko mnie spotkał...

–Przepraszam, że przerywam – nie dałem jej dokończyć zdania, które słyszałem już w swoim życiu setki, jeśli nie” tysiące razy. – Mogę zaproponować kropelkę koniaku?

–Tak – powiedziała szybko, jakby kończyła poprzednie zdanie.

Znalazłem w kuchence szklanki i nalałem do nich średnie porcyjki z drugiej butelki. Poczęstowałem Ann papierosem, ale odmówiła.

–Proszę mi opowiedzieć, co dziwnego pani widziała?

Rzuciła mi spojrzenie spod oka i dwukrotnie uniosła swoją szklanę do ust. Potrzymała ją chwilę w stulonych dłoniach, a potem zdecydowanie odstawiła na stolik.

–Dobrze – agresywnie wystawiła do przodu podbródek – Nie było mnie w bazie. W chwili uderzenia meteoroidu wracałam łazikiem z odkrywki. Przez radio dowiedziałam się, że mamy ucieczkę powietrza. Oczywiście przyspieszyłam, ile się dało, mój powrót. Byłam w pełnym skafandrze i mogłam się przydać do łatania z zewnątrz kopuły. – W miarę mówienia uspokajała się. – Byłam już blisko, zostało mi sto kilkadziesiąt metrów, gdy zobaczyłam coś... – Potrząsnęła krótko obciętymi włosami i szybko napiła się. – Za jednym z hangarów roboczych stoją poustawiane pałaki prowizorycznych namiotów, tworzą taki tunel z żeber. I tam właśnie coś mi mignęło. Zanim dotarło do mnie co widzę, hangar zasłonił już ten obraz, a ja spieszyłam się do naszej bazy. Pół godziny później udałam, że zgubiłam coś podczas powrotu i podjechałam pod ten hangar. Rzecz jasna niczego tam nie było, pałaki stały jak zwykle, nic pod nimi się nie chowało, na betonie nie zachowały się żadne ślady. – Podniosła na mnie wzrok i zaczepnym spojrzeniem poprzedziła pointę swojej opowieści: – Widziałam tam samochód!

Poczułem ból gardła, przez które wrywały się na wolność tysiące dowcipnych pytań, na przykład: „A nie zauważyła pani, czy miał włączony silnik?” albo: „Jaką liberię miał szofer?” i masa równie dobrych. Zamiast tego złapałem za koniec ucha i pociągnąłem w dół.

–Nie dziwię się, że nie chciała pani z tym do mnie przyjść – powiedziałem spokojnie. – To dość dziwny widok na Księżycu, prawda?

Zaczerwieniła się i zamrugła, palce lewej dłoni wczepiły się w krótką spódniczkę, zmięty materiał i przy okazji odstłoniły fragment gładkiego, kuszącego, jędrnego uda.

–Z drugiej strony, jeśli przyjmiemy... – dokończyłem poprzednią wypowiedź -... że ktoś przewidział uderzenie okrucha w kopułę stacji, zdołał oszukać komp i ludzi, uratować Heyrouda... Przecież to jest równie dziwne, prawda?

Rumieńce rozplynęły się, pozostawiając po sobie tylko błysk w oczach, dłoń wróciła na oparcie, ale udo wciąż kusiło swoją bardzo, bardzo starannie wykonaną krzywizną. Ann odetchnęła głęboko. Napiła się koniaku i powiedziała:

–A więc wierzy mi pan?

–Żebyśmy się dobrze rozumieli: wierzę, że pani widziała tam samochód, ale to nie znaczy, że wierzę w istnienie tego samochodu. Przy okazji, jaki to był wóz?

–Koloru nie zauważyłam, pod tymi pałakami jest dość ciemno, ale chyba samochód również był ciemny. A sądząc z maski musiał to być któryś z rodziny ballów. Te obłości, krągłości... – Wrysowała palcem w powietrzu kilka kółek.

Niespodziewanie dla samego siebie zainteresowałem się wyraźnie zaznaczonymi pod

cienką tkaniną sutkami, przy ruchu Ann wykreślającymi skomplikowane zygzaki. Chyba zauważyła, w co się wpatruję, bo umilkła i kilkanaście długich sekund w pokoju wisiała cisza z gatunku tych niezręcznych.

–Najpierw poddałam się całej serii testów – powiedziała dziewczyna. – Dopiero potem opowiedziałam Donowi o tym, co widziałam. Jestem normalna.

–Nikt w to nie wątpi – oświadczyłem najzupełniej szczerze.

–Gdyby to nie chodziło o Yolana, to nigdy bym się nie przyznała – rzuciła wciąż jeszcze niepewna moich intencji i interpretacji.

–Oczywiście... Wszyscy tu żyjecie Heyroudem, prawda?

–A co w tym złego? – zapytała agresywnie. – To geniusz...

–Nie będę się sprzeczał – powiedziałem ugodowo, ale natychmiast któreś z moich złośliwszych ja otworzyło usta: – Tylko to jest niebezpieczne, takie nadmierne pokładanie nadziei w jednym człowieku. – Uniosłem szklaneczkę i splukałem usta łykiem koniaku. – Żył sobie kiedyś pewien wybitny poliglota, multifilolog, uznany geniusz językowy. Setki znakomitych prac, oszałamiające teorie. Znał się na wszystkich możliwych językach i był tak nie podlegającym dyskusji specjalistą, że gdy wylądował na Ziemi obcy statek kosmiczny, nikt nie miał wątpliwości, kto ma być tłumaczem i szefem ekipy kontaktowej. Gdy ów geniusz podszedł do statku i otworzyła się kłapa, w której pojawiły się dwie nieziemskie istoty, usłyszały one: Wi-w-wi-wi-wi-wi-t-t-tta-ta-tam-tam-ta-my-my-my-n-n-na-na-naż-naż-na-zie-zie-mi-mi-mi-mi-mi...

Ann zerwała się ze swojego krzesła z zaciśniętymi pięściami i dwoma błyskawicami w oczach. Wstałem również.

–Pan... – Nabrała powietrza w płuca. – Ty...

Zabrakło jej słów, odetchnęła i machnęła dłonią, celując w moją twarz. Bez trudu przechwyciłem jej rękę i po chwili drugą. Staliśmy na wprost siebie i nagle poczułem wzbierające we mnie podniecenie i pożądanie. Jakaś część umysłu usiłowała wytłumaczyć innej, że to tylko reakcja na stres, zdenerwowanie... Osłabiłem chwyt, ale

nie puszczałem jej rąk. Przyciągnąłem ją i gdy poczułem twarde nabrzmiące sutki na swojej piersi, a błyszczące oczy rozszerzyły się nagle i – niespodziewanie dla mnie – zmiękły, puściłem jej dłonie i przytuliłem do siebie. Z każdym oddechem wsączał się we mnie zapach jej włosów, zapach chłodu, z odrobiną goryczki. Z każdą sekundą wypływały ze mnie gniew i złość – wynik jałowego dochodzenia, zniecierpliwienie – rezultat stresującej podróży i chęć odkucia się na wszystkim i wszystkich za własną bezradność. Ann poruszyła się, odsunęła nieco ode mnie, ale tylko tyle, ile trzeba było, by wsunąć między nas dłonie. Jej palce uchwyciły końcówkę suwaka i pociągnęły go w dół. Wtuliłem twarz w wierzchołek kąta

utworzonego przez szyję i obojczyk i muskałem skórę leciutkimi pocałunkami. Przez jej plecy przebiegło lekkie drżenie, jedną dłonią zacząłem głaskać jej kark, drugą wyłączyłem magnetoszwę na jej ramionach i poruszyłem się, żeby płat materiału mógł opaść odsłaniając niewielkie, ale wspaniałe, twarde piersi ze sterzczącymi nieco ku górze sutkami. Po chwili i moje, i jej ruchy stały się szybsze nerwowe. Widziałem, że podnieca ją mój pośpiech i reagowałem na to jeszcze większą zachłannością. Przytuliła się do mnie mocno, znaleźliśmy swoje usta, a jej ciało zaczęło; ocierać się o moje jakby chciało znaleźć jakąś długą szczelinę, i wsunąć się w nią, roztopić we mnie, zanieistnieć i jednocześnie wchłonąć mnie w siebie. Poczułem jej dłonie na swoim karku, nacisk wzmógł się, wolno podciągnęła się aż mogła opleść moje biodra swoimi nogami. Cudowna księżycowa lekkość... Zaciśnęła mocno powieki, poruszała się wolno, drażniąco, irytująco wspaniale wolno, a jej język trzepotał w moich ustach jakby należał do innego, nieskończenie bardziej nerwowego ciała. Ręce, dłonie, palce odnajdywały coraz to nowe fragmenty ciała, pieściły je i ruszały na poszukiwanie innych nie znanych jeszcze obszarów. Trwało to tak długo, że zacząłem tracić poczucie pionu i poziomu. Poczułem się jak w stanie nieważkości, nawet otwarte oczy nie pomagały – wydawało mi się, że wirujemy, złączeni, jedno w drugim, w cichej pustce, w pustej ciszy. Az wpadliśmy na słońce, żar oblał nasze ciała, miriady promieni przeszły nas, uderzyły w końcówki nerwów, wygięły ciała w dwa łuki, rozwarły zaciśnięte w spazmie usta i wydarły z nich bezgłośnie jęki. Dziewczyna pokręciła głową, na kilka chwil całkowicie zakrywając twarz włosami, a potem przytuliła się do mnie tak mocno, że miałem trudności z oddychaniem. Gdy odsunęła się, zobaczyłem, że ma na wpół przymknięte oczy, otworzyła je szerzej i chwilę wpatrywała się ze zdziwieniem w moją twarz.

–Ciekawe... Co to w tobie takiego jest?... – powiedziała do siebie.

Przypomniałem sobie identyczne pytanie Sarkissiana zadane nie dawniej niż sześć dni temu. Przypomniałem sobie też swoją odpowiedź.

–Urok osobisty...

–Żartujesz! – prychnęła. Wciąż oplatała mnie udami, dłonie splotła na moim karku i wyprostowała ręce żeby móc mnie oglądać z większej odległości. – Ileż musiałbyś mieć tego uroku, żebym wskoczyła na ciebie po pierwszym kwadransie znajomości?!

–Dużo. Tyle właśnie mam. Tylko najczęściej działam na kobiety po sześciu dniach. Jesteś widocznie lepszym odbiornikiem.

–To miłe, że i mnie przyznajesz jakieś tam sympatyczne właściwości... – Zerknęła na swoje piersi. – Zaniesiesz mnie pod prysznic, czy będę musiała iść sama? Dźwiganie takiej ilości uroku wyrabia mięśnie czy osłabia?

Odpowiedziała sobie na to pytanie sama, tyle że dużo dużo później. A jeszcze po godzinie, gdy jechałem w stronę promu księżycowego, w jednym z małych okrągłych iluminatorów

kilka razy zapaliło się i zgasło światło. Z braku innej hipotezy przyjąłem, że to Ann żegna mnie. Była to miła wersja.

Potykając się o gładką nawierzchnię holu lotniska, z uszami wypełnionymi łomotem tłukącego się w piersi serca, klnąc na pomysł lotu na Księżyc i masę innych rzeczy, dotarłem do telefonu. Niemal wisząc na aparacie zadzwoniłem do Guylorda i kazałem odwieźć Tebę do domu. Wolno, z wysiłkiem doczołgałem się do baru, gdzie zatankowałem dwa różnomocne tobsy i odzyskałem na tyle siły, że ruszyłem na zewnątrz. Nieco poprawił mi się humor na widok kilku towarzyszy z promu, sprawiających wrażenie równie pod- i głuszonych. W taksówce odzyskałem jeszcze pewną część standardowej kondycji. Przejechałem obok swojego domu i – nie widząc jeszcze Teby – kazałem podwieźć się bliżej garażu z bastaadem. Kierowca zachowywał się jak automat – drewnianym głosem odczytał wynik kasy i mechanicznym ruchem wsunął forszę do kasety pancерnej obok swojego fotela. Ruszył zanim jeszcze zamknąłem drzwi, właściwie i same się zamknęły. Odetchnąłem kilka razy, ale nie poprawiło to mojej kondycji.

Położyłem torbę pod ścianą i podszedłem do garażu. Poklepywałem się po kieszeniach szukając testora, gdy coś szurnęło za moimi plecami. Szybko się odwróciłem. Tuzin kroków dzielił mnie od faceta, którego twarz ginęła w cieniu olbrzymiego daszka czarnej błyszczącej, lakierowanej czapki. Trzymał w ręku jakiś cienki zwinięty magazyn. Gdyby szedł dalej, nie zainteresowałbym się nim, ponieważ jednak przystanął po dwu krokach i znieruchomiał, nabrałem przeświadczenia, że nie

zapyta o drogę do stacji benzynowej. Poruszył dłonią, w której trzymał magazyn, podniósł ją do góry jakby chciał zwrócić na nią moją uwagę i dopiero ten ruch spowodował, że pojąłem, co trzyma w dłoni. Spluwka!

Oklejona stronicą gazety albo pomalowana spluwka. Rurka z tytanową kuleczką na uwięzi z cholernie rozciągliwego crogtanu. Dobry, wytrenowany zawodnik z kilku metrów rozpląszcza na ścianie komara. Problem tylko, czy ten stojący przede mną jest dobry? Nie odrywałem spojrzenia od jego dłoni, a w tle widziałem swoją torbę. Idiotycznie pracujący mózg zamiast zająć się wyszukiwaniem dróg ucieczki, podsunął scenę z cholernie starego filmu – zaskoczony przez przerażającego czarnego, wymachującego gigantycznym kozikiem napastnika bohater niedbałym gestem wyjmując z tylnej kieszeni gnata i od niechcenia rozwala popisującego się swoim nożem Tuarega. Mój biffax leżał w torbie, nawet nie specjalnie głęboko. Nie tak znowu daleko... Spluwka wykonała ostry ruch w dół. Lśniaca iskiereczka wyprysnęła i pognęła w moim kierunku. Uchyliłem się, nabierając przeświadczenia, że ten pierwszy rzut i tak miał mnie ominąć. Gdy kulka stuknęła w drzwi garażu i wracała przyciągana zwierającą się nicią crogtanu właściciel rurki podrzucił ją leciutko, kulka wpadła do środka z energicznym stuknięciem, rurka drgnęła i opadła w podstawioną dłoń. Przeznaczony dla mnie pokaz perfekcji posługiwania się spluwką. Cel został osiągnięty, a nawet więcej. Poczulem, że z każdej pory skóry tryska mi gorący lepki pot, a strach paraliżuje wszystko, co się tylko da. To bzdury, że widok śmierci, jej przecucie skuwa człowieka, nieraz stałem przed lufą, z której za mgnienie oka miał

wytrysnąć pocisk, i zawsze moje ciało i umysł pracowały w zgodnym rytmie nad jednym zadaniem – ratunek. Tym razem coś rozmazało mnie w drżącą galaretowatą masę, zdolną tylko do powtarzania odkrywczej konkluzji: „Ależ gówno”! Napastnik podniósł znowu dłoń i zamarł na chwilę. Dał mi kilka sekund na opanowanie się, a ja potrzebowałem kilku miesięcy. Kulka wizgnęła w rurce i poleciała na mnie. Lewa dłoń samoistnie wzięła na siebie odpowiedzialność za resztę strupiałego ciała, podskoczyła do góry i zasłoniła twarz przed uderzeniem. Ostry ból zrodził się gdzieś pośrodku linii życia, jakby zadając kłam jej długości, i natychmiast, straszliwym pieczeniem rozprzestrzenił się na całą dłoń. Opuściłem ją, usiłując poruszyć palcami. Człowiek w lakierowanej czapce stał już gotów do trzeciego rzutu, jak niczego na świecie pewien byłem, że teraz będzie to coś ekstra i nadal nic nie mogłem zrobić ze swoim ciałem.

Napastnik, chyba lekko zdetonowany moim bezruchem, przygryzł dolną wargę

i zastanawiał się, usiłując odkryć moje zamiary. Kropla potu sturlała mi się po nosie i opadła na ziemię. Usłyszałem jej plaśnięcie, przysięgam, że usłyszałem i jednocześnie spluwka wykonała krótki ostry ruch tym razem z dołu, odwrotnie do klasycznego rzutu, coś we mnie puściło, odzyskałem mobilność – szarpnąłem się i ustawiłem bokiem do trasy lotu kulki. Zdażyłem zauważyć jak wykrzesła iskrę uderzając w betanitową ścianę, ułamek sekundy miałem przed oczami, kilkanaście centymetrów od nosa, cieniutką jak ćwierć włosa crogtanową nić. Mogłem ją chwycić w palce, owinać wokół dłoni i spróbować wyrwać splawkę, ale widziałem kiedyś, ile trwała operacja przyszywania czterech palców uciętych właśnie takiemu naiwniakowi. Gdy kulka zaczęła wracać, błyskawicznie pochyliłem się i zdarłem z nogi but. Wsunąłem go na lewą dłoń i przesunąłem się w prawo. Mój napastnik musiał albo rzucać z tego samego miejsca, co zwiężało mu kąt i ułatwiało mi obronę przy pomocy buta, albo – chcąc poszerzyć kąt – musiałby zbliżyć się do mnie, a to osłabiałoby siłę uderzenia kulki – jego spluwka miała optymalną odległość sześciu, siedmiu metrów. Poruszył lekko głową, właściwie zakołysał nią jak kobra i rzucił tym razem z backhandu. Sparowałem kulkę niezbyt udanie – prześlizgnęła się po podszwie i uderzyła mnie w udo. Jęknąłem przez zęby, a mój przeciwnik wycharczał coś krótkiego, może tylko roześmiał się. Strzelił znowu szybko, niecelnie i od razu drugi raz, nie celując. Kulka rąbnęła mnie w okolicę wątroby. Niemal zwinąłem się z bólu. Udało mi się uderzyć butem w kulkę gdy zaczynała powrót do rurki, odleciała szerokim łukiem, a napastnik musiał śledzić jej lot jeśli nie chciał, żeby zawinęła mu wokół nadgarstka ostrą jak promień lasera nić. Rzuciłem w niego z całej siły butem, jednocześnie wykonując najdłuższe w swoim życiu dwa skoki. Zobaczyłem wreszcie jego oczy; zaniepokojone, ale nie więcej, spojrzenie. Wciąż miał przewagę – kulka już niemal wpadła do rurki, a ja wciąż jeszcze byłem o dwa kroki od niego. But miał znaczenie tylko psychologiczne i nawet w tym charakterze się nie spisał. Zanurkowałem do przodu, usiłując jednym rzutem sięgnąć jego stóp. Usłyszałem szcęk wpadającej do rurki kulki i zobaczyłem, jak napinają się mięśnie nadgarstka.

I w tej samej chwili coś błysnęło w prześwicie między nogami napastnika i rogiem jednego z garaży. Napastnik rzucił się do przodu, przeleciał nade mną, a ja chwyciłem zamiast jego stóp powietrze i rąbnąłem na twarde podłoże. Usłyszałem jego jęk, gdy przekręciłem się z

maksymalną jak na mnie szybkością. Teba, wspaniała, cudowna zacisnęła zęby na przedramieniu zakończonym splawką i – nie zważając na ryk mężczyzny – trzymała go na ziemi. Podniosłem się i pokuśtykałem po swój but.

Gdy wróciłem do nich miałem już suchą twarz i tyle w sobie nienawiści za chwile strachu, że mógłbym nią spalić napastnika. Sprawdziłem jego kieszenie i kilka miejsc, gdzie mógł schować niespodzianki, a potem mocnym kopniakiem w kostki palców wybiłem mu splawkę z ręki. Odsunąłem się o krok.

–Puść! – powiedziałem. I Teba natychmiast odsunęła się od mężczyzny, pokazałem jej, że ma odejść i warować mówiąc do napastnika:

–No, wstawaj... Nałykasz się kurzu i będziesz kaszlał, i Coś we mnie – jakieś zdefektowane elementy – drżało, co przenosiło się na całe ciało. Przed chwilą otarłem się nie tyle o śmierć, co o strach przed nią, i za to paskudztwo ktoś musiał zapłacić. Mężczyzna – spadła mu czapka i widziałem; rzadkie włosy artystycznie rozprowadzone po całej głowie I – podniósł twarz i spojrzał na mnie. Odsunąłem się i przy okazji rozdeptałem jego czapkę.

–Świat się dowie, jak stoisz z kudłami. Wstawaj. – Szurnałem stopą, garść pyłu poleciała mu w twarz Potrząsnął głową i zaczął się podnosić. Gdy stał już na nogach, podszedłem i zamachnąłem się do prawego haka, w ostatniej chwili zastąpionego przez celowo nieudany lewy i prosty. Miał być nieudany – odwrócił uwagę i dopiero wtedy zakończyłem prawy w słoneczny splot. Mój przeciwnik dość zręcznie zablokował lewy i usuwając się przyjął hak na i któreś z żeber. Trzasnęło i ustąpiło, ale poczułem na kości policzkowej jego prawą pięść. Krople krwi z pogryzionego nadgarstka bryznęły mi na twarz. Odkoczyliśmy od siebie.

–Kto cię napuścił? – zapytałem.

Rzucił okiem na leżącą pod ścianą Tebę i odetchnął szybko.

–Ktoś... – powiedział.

–Jak powiesz to cię puszcze – obiecałem.

–Ale ja cię nie puszcze! – Złożył kontrobietnicę.

Poruszył ramionami jak rozgrzewający się bokser i ruszył na mnie. Kiwnąłem się na boki, a wtedy on wystrzelił w moim kierunku stopą. Nie mógł wiedzieć, że od czasu spotkania Brylantowej Pięty na taki właśnie atak uważałem najbardziej.

Odchyliłem się w lewo, podbiłem jego nogę w górę i z całą satysfakcją strzeliłem go w krocze. Zrobiłem to jednak za wolno, zdążył podciągnąć drugą nogę i choć zwałił się na ziemię, zdołał uwięzić na pół sekundy moją stopę i przewrócić mnie na betanit. W następnej sekundzie zwałił się na mnie i zacisnął palce na mojej szyi. Chciał nawet uderzyć moją głową w ziemię, ale szybko wyłamałem mu małe palce, rozciągnąłem ręce na boki i

trzasnąłem czołem w nos. Teraz wszystko poszło

już gładko – zerwałem się na nogi, pomogłem mu wstać pakując długi zamachowy hak w pochyloną twarz, dwa mocne w dołek rzuciły nim o ścianę, dwa uderzenia krawędzią dłoni w mięśnie ramienia spowodowały, że ręce obwisły mu bezwładnie. Odsunąłem się, jakbym nabierał rozpędu.

–Kto? – zapytałem.

Poruszył prawą stopą, przygotowany na zablokowanie kopa w genitalia. Rozkaszał się, pod nosem wezbrał mu i natychmiast pękł czerwony balonik.

–Gadaj: kto, i natychmiast pójdziesz do domu.

–Nie wiem. – Splunął czerwienią w bok. – Dostałem rano telefoniczny namiar i zaraz potem postaniec przyniósł zaliczkę. Resztę mam dostać dzisiaj o dziewiątej wieczorem – Gdzie?

–Przyniosą mi do domu.

–Gdzie mieszkasz?

–Glass Field 27...

–Aha... A jak się nazywasz? O kogo mam pytać?

–Po co? Przecież wszystko powiedziałem.

–Jak się nazywasz?

–Jak się rozniesie, że podstawilem klienta, to...

–Bo ci się wydaje, że jak nie znam twojego nazwiska, to nie znajdę takiej spluwaczki jak ty?

–No dobrze, Beober Quelqueljen...

–Chyba ci nie wierzę... – Odwróciłem się do Teby: – Przypilnuj go!

Szybko ustawiła się dwa metry od mężczyzny i wbiła w niego spojrzenie. Poszedłem po swoją torbę czując się coraz lepiej i lepiej, zwłaszcza że miałem świadomość posiadania jakiejś ważnej informacji, tylko nie potrafiłem jej jeszcze skojarzyć i uświadomić sobie. Przyniosłem torbę, włożyłem biffax do kieszeni i otworzyłem garaż. Pod czujnym spojrzeniem Quelqueljena wyprowadziłem wóz przed garaż i wystukałem w telefonie numer policji.

–Mówi Owen Yeates, zgłaszam próbę napadu przez nie zidentyfikowanego osobnika. Czekać na was w linii numer trzy miasteczka garaży w Ilmonei.

–Ty gnido!... – wyrzucił z siebie Beober. Chciał jeszcze coś dodać, ale Teba drgnęła i niemal wzbijała się w powietrze, żeby sięgnąć jego gardła. Robiła to wzorowo, pilnowany mężczyzna nie miał wątpliwości co do jej kompetencji.

Zacisnął zęby i oparł się plecami o ścianę. Wyjąłem z barku bastaada puszkę

piwa i omywany nienawistnym spojrzeniem Quelqueljena, wypilem ją zachłannie. Dwie minuty później zjawiał się patroler i czołowa – jak się okazało – spluwaczka miasta powędrowała do opancerzonego segmentu wozu. Złożyłem krótkie treściwe zeznanie i podpisałem je, gdy komp wysunął ze szczeliny drukarki tekst. Kilka sekund po odjeździe policji Teba wskoczyła do bastaada i popatrzyła na mnie ponaglająco.

–Już jedziemy – uspokoilem ją. – Ale Phila i tak jeszcze nie ma.

Cztery minuty później zaparkowałem wóz przed domem, wypuściłem Tebę do ogrodu, a sam spędziłem kilka minut pod lodowanym prysznicem, usiłując zmyć z siebie kwaśny odór strachu. Po dwóch drinkach poczułem się lepiej i nawet zdołałem wytłumaczyć sobie, że kiedyś i tak musiało to nastąpić, więc lepiej że mam to już za sobą i w dodatku żyję. Ze szklanką w ręku i spokojem w duszy przeszedłem na piętro, ale klawiatura nie wyglądała dzisiaj przekonywająco. Poza tym powietrze w pokoju miało jakiś nieprzyjemny suchy posmak. Z papierosem w ustach i szklanką w dłoni podszedłem do okna i nie zważając na protesty klimatyzatora, otworzyłem je. Buchnęło gorące powietrze, w którym więcej było zapachu benzydolu i rozgrzanego giasfaltu niż tlenu, ale wołałem to niż kancelaryjny smród nie zamieszkanego domu. Popatrzyłem na zaniedbany kwietnik przed domem i syknąłem na Tebę, zawzięcie wygrzebującą z ziemi chyba ostatnie kłaczka brastiny. Przed domem bastaad wygrzewał się w słońcu, przez szybę dojrzałem, jak mrugało jedno ze światełek w płycie represera – opiekuńczy wóz chłodził powietrze, żeby jego ukochany właściciel nie pocił się już na pierwszych przejechanych metrach. Taka troskliwość słodkim plastrem legła na moje pokancerowane ostatnimi wydarzeniami wnętrze.

Zamierzałem już wrócić do salonu, ale zostałem w oknie, chcąc przyjrzeć się przejeżdżającemu samochodowi. Przez ciemne szyby nie widziałem kierowcy, ale musiał go zainteresować mój bastaad, co jeszcze bardziej poprawiło moje samopoczucie. Blueball wolno ominął bastaada, ale zamiast od razu przyspieszyć, zwolnił jeszcze bardziej, szyba przy oknie pasażera poszła w dół. Z okna wyrzała rura teleobiektywu, kierowała się w stronę bastaada i niemal natychmiast przesunęła i zerknęła w moje oczy. Runąłem przez okno w dół, na kwietnik, w czasie krótkiego lotu odrzucając szklankę i papierosa. Udało mi się wykonać niemal całe salto, grzotnąłem plecami w gęstą kępę chaliencji. Jeszcze zanim upadek bolesnym hukiem odbił się w mojej głowie, usłyszałem głucho poważne stęknięcie trafionego domu, a pół sekundy wcześniej wizg opon. Przewracałem się na brzuch, gdy mocny podmuch cisnął mi w twarz kilkadziesiąt kilogramów pyłu, ziemi, kwiatów liści, patyków.

Przeturlałem się w bok i ostrożnie wychyliłem głowę ponad poziom bujnej trawy. Bastaad

stał samotny, poderwałem się na równe nogi i popatrzyłem do tyłu. Dom istniał tylko do górnej krawędzi okien parteru. Coś skrzypiało, drobnym werblem odzywały się opadające wciąż małe fragmenty ścian czy mebli. Cmoknąłem na szczekającą Tebę i pobiegłem do samochodu. Ruszyliśmy pokazowo, na skrzyżowaniu świeże ślady poślizgu naprowadziły mnie na trop, ruszyłem w prawo, jednocześnie wciskając w komp klucz-wytrych. Dyżurny komendy miejskiej zgłosił się natychmiast.

–Granatowy blueball, w numerze jest litera A i cyfry – siedem i trzy. Zapewne jedzie z nadmierną prędkością, może wyjeżdża z miasta. Znajdź go szybko! – ryknąłem do mikrofonu, jednocześnie kręcąc głową na wszystkie strony.

–Najwyższy priorytet! Już!

Ulice leniwie przemierzały szeregi samochodów spokojnych popołudniowo-wieczornych obywateli, śmigąłem między nimi, zgrzytając zębami i jęcząc ze złości. Zwalniałem na skrzyżowaniach i nie zważając na ochoczo rozdzierające się rozleniwione, spragnione rozrywki klaksony, rozglądałem na wszystkie strony usiłując odnaleźć samochód albo ślad jego pośpiesznego przejazdu.

–Granatowy blueball CAA 732126 kieruje się na południowy zachód. W tej chwili jeszcze nie wiadomo – skręci na Szosę Leśną, czy pojedzie dalej i skorzysta z Autostrady Bergholta. Podaj swój...

–Natychmiast meldować o kierunkach ruchu tego wozu! – wrzasnąłem, przerywając demaskujące mnie pytanie.

–Znajdźcie właściciela wozu!

–Już sprawdziliśmy... – wyjąkał zdetonowany dyżurny. – Nie ma wozu o takiej rejestracji...

–A ile ostatnio ukradziono samochodów tej marki? Uczyć was mam?

Otarłem się o karminową livię z pedalcem przy kierownicy, rzuciłem w jego kierunku kilka słów i na granicy przyczepności opon wypadłem wreszcie na drogę wylotową, którą mogłem z minimalnym skrótem dopaść Szosy Leśnej.

–Co z tymi skradzionymi blueballami?

–Są tylko dwie nie wykryte kradzieże, jedna sprzed dwóch lat, a druga jeszcze starsza. Przepraszam...

–Gdzie jest teraz ten uciekający? – zagłuszyłem jego pytanie o mój kod.

–Zaraz... Właśnie ma przed sobą skręt... – zapewne wpatrywał się w ekran przed sobą, może tak jak ja w drogę. Widziałem, jak kilku gorliwców radośnie sięgało

do telefonów i składało meldunek policji. Za dwie minuty powinienem osiągnąć koniczynę, z której mogłem wpaść w początek Leśnej. – Tak! Skręcił. Jest na Szosie Leśnej...

–Dobrze, dziękuję. Żadnych samochodów czy flyerów, bo pójdziesz na chodnik do Watkinsa.

Rozłączyłem się i sięgnąłem pod fotel. Rzuciłem wydobytego elefanta na fotel obok siebie, przed skrętem w koniczynę włączyłem wszystkie światła i ryknąłem na całą okolicę zainstalowaną w tym celu syreną. Chwilę później, zostawiając na gblasfalcie cztery czarne mazy, niczym ślady pośpiesznego pocałunku, wypadłem na Szosę Leśną. Ruch był znikomy, właściwie nie było żadnego, dopiero po trzech minutach dogoniłem jakiegoś charleta, wystukałem jego numer rejestracyjny na klawiaturze kompa, kazałem znaleźć telefon i wydarłem słuchawkę z gniazda. Zobaczyłem, jak kierowca podnosi swoją.

–Dzień dobry! Czy mijał pana granatowy blueball?

Zaskoczony kierowca najpierw obejrzał się do tyłu, a potem całkowicie się odwrócił.

–Przed chwilą! – krzyknął radośnie i pokiwał głową. – Miał ze czterdzieści kilometrów plus w stosunku do mnie...

–Dzięki... – Pomachałem dłonią i wbiłem stopę w pedał przyspiesznika.

Dwie sekundy później charlet zaczął maleć w szybkim tempie na ekranie monitora wstecznego. Pędziłem kilka minut po pustej prostej drodze, wszedłem w łagodny zakręt i zobaczyłem jakąś wąską dwupasmową drogę. W rozgrzanym falującym powietrzu nad nią wirowały drobiny kurzu. Cudem udało mi się nie wpaść do rowu, gdy na zablokowanych lewych kołach i nadrabiających prawnych runąłem w nią i pogałem całą mocą silnika. Dwa kilometry przeleciałem niemal stale kręcąc kierownicą, potem droga wyprostowała się i mogłem ją zlustrować na następnym trzykilometrowym odcinku. Była pusta. Zwolniłem i zacząłem się rozglądać na boki, ale dopiero kilkaset metrów dalej zobaczyłem na pasie trawy wyraźny ślad opon. Zgniecione pasma prowadziły do wyrwy w szpalerze topoli. Pogałem tymi śladami. Powtarzając trasę uciekającego zamachowca przebyłem zagajnik i wyskoczyłem na szczyt płaskiego wzgórza. Elephant tkwił już między moimi zaciśniętymi udami, mogłem strzelić w ułamku sekundy. Ale nie było celu.

Zahamowałem i wyskoczyłem z wozu. Ślady prowadziły na szczyt pagórka, to było jasne jak jasny szlag. I równie jasne było, że Blueball nie zjechał ze szczytu. Dwie

wyrwy w gęstej wysokiej trawie skończyły się zupełnie niespodziewanie – dotąd trawa była zgnieciona, połamana, przybita do miękkiej gleby, a odtąd – dumnie prostowała swoje nie tknięte stopą ani oponą łodygi. Przykucnąłem i przyjrzałem się ostatniemu półmetrowemu odcinkowi śladów. Kilka źdźbeł poruszyło się i zmieniło swoje położenie, od załamania ich musiało upłynąć nie więcej niż kilkanaście sekund. Podniosłem głowę i uważnie zlustrowałem kopułę nieba nad sobą. Gdybym był w stanie spojrzeć na siebie z dystansu,

pośmiałybym się serdecznie z poszukiwania na nieboskłonie granatowego blueballa o numerze rejestracyjnym CAA 732126, ale nie było mnie stać na dystans, nie mogłem liczyć na dobry humor. Miałem dłonie zaciśnięte w pięści i ślady po oponach, które w kilka sekund zdążyły się zdematerializować. Ależ było wesoło...

Z elefantem w dłoni obszedłem areał o powierzchni chyba hektara, nie znajdując najmniejszych śladów. Wyszarpnąłem z gniazda kamerę i sfilmowałem ślady, zmieniając kilkakrotnie blendy. Wygoliłem pół metra trawy i zapakowałem do szczelnego pojemnika, z którego usunąłem potem powietrze. Potem, leżąc na trawie, usunąłem z dwu puszek piwo i tylko lenistwo sprawiło, że nie ruszyłem się po następane. Wysokie źdźbła trawy ograniczały mi widok na niebo do drobnego jego fragmentu, łąka pachniała odurzająco. Zapadłem w odrętwienie, z którego wyrwał mnie dopiero skowyt Teby – całe te pół godziny spędziła w samochodzie. Zawołałem ją i pozwoliłem spenetrować okolicę. Nie było do czego się śpieszyć. Podłożyłem ręce pod głowę i natychmiast odezwał się telefon. Przeczekałem kilkanaście sygnałów, a potem, pokonany jego natarczywością, usiadłem przy kierownicy i stuknąłem w klawisz odbioru.

–Halooo? Łączę z panem Guylordem – zaświergotał miły-miły-miły głos.

–Owen?

–Taaa...

–Słuchaj, mój człowiek odwoził Tebę do domu, ale mu uciekła... Szukał jej przez...

–Już jest przy mnie – sięgnąłem po papierosy i wsadziłem jednego do ust.

–Aha? No i dobrze. Bałem się, że trzeba będzie jej szukać...

–Nie, nie trzeba – zapaliłem papierosa i wydmuchnąłem dym w kierunku mikrofonu. – Natomiast trzeba pilnie wybudować mój dom...

–Nie rozumiem?

–Godzinę temu ktoś wypróbował na nim działanie małej raketki.

–Rozumiem... – zmienił zdanie w stosunku do poprzedniej wypowiedzi.

Chwilę czekaliśmy obaj na jakieś słowa. Guylord spasował pierwszy, zresztą ja nie miałem nic do powiedzenia.

–Możesz mi coś więcej powiedzieć?

–Mogę ci wyrecytować monolog Hamleta, a i tego nie jestem pewien. W każdym razie coś się dzieje. I w związku z tym radziłbym ci... Rozumiesz? Chciałbym, żeby miał kto

odbudować moją chałupę...

–To już się stało – powiedział ze złością w głosie. – Jestem schowany, a do twojego domu za chwilę wyjedzie ekipa, sądzę, że rano będziesz mógł się wprowadzić. Tylko podaj przez komp listę sprzętu i całej reszty.

–Na pewno pamiętam, że była tam niemal pełna butelka AYO. A daj mi spokój... Może jutro do ciebie zadzwonię.

Rozłączyłem się i trzymałem palec na sensorze. Zastanawiałem się chwilę, a potem wystukałem trzy dziewiątki i trzy zera, a gdy rozległ się sygnał, powiedziałem:

–Nick, będę w hotelu „Voodoo”, zgłoś się najszybciej jak możesz.

Zaraz potem udało mi się złapać w domu Douga Sarkissiana.

–Mógłbyś przyjechać do mnie do „Voodoo”?

–Moglibyśmy – powiedział spokojnie. – Właśnie siedzimy tu z Nickiem. Przed chwilą wrócił spod twojego domu Podobno wygląda kiepsko. Pokłóciłeś się z Pymą?

–Wszystko się zgadza, tyle że to nie dom, a ja wyglądam kiepsko i nie pokłóciłem a postrzelałem, i nie z Pymą tylko z facetem, który ma fruwający samochód wypożyczony z komiksu. Opowiem... Aha... Jak jesteście razem, to ja przyjadę do ciebie.

–Już wrzucam lód do szklanki.

–Lód to lepiej wyrzucić...

Rozłączyłem się i cmoknąłem na Tebę. Wskoczyła na tył i położyła mi łeb na ramieniu. Pogłaskałem ją.

–Będziemy jechać wolno. Obiecuję.

Oczywiście skłamałem. Trochę. W każdym razie nie pędziłem tak jak czterdzieści minut temu. Jeszcze zanim wróciłem do miasta dogonił mnie przez komp komunikat policji, która to policja zapragnęła wyjaśnień w sprawie kilkunastu skarg drogowych. O wytrychu nie było rozmowy, ale nie miałem co do tego złudzeń. Można się włamać do sieci policyjnej, ale nie da się zrobić tego bez zostawienia śladów. Myśl o włamaniu uświadomiła mi, że muszę sobie kupić coś na grzbiet. Zajechałem do

sklepu i załatwiłem kilka sprawunków. Kupiłem dwa kawałki wołowiny dla Teby i kilka minut przed siódmą położyłem palec na sygnale drzwiowym Douga.

Obaj siedzieli w livingu. Zniknęły stąd widziane gdy byłem tu ostatni raz – chyba ponad dwa lata temu – skóry, futra i poduchy, królowało, surowe drewno w połączeniu z mosiądzem.

Największy kawałek drewna był mniejszy od koperty na dysk – wszystkie meble były sklecone z wąskich listewek długości jakichś dziesięciu centymetrów, sprawiając wrażenie jakby Sarkissian – wzorem innych porąbanych amatorów dziwów – wykupił roczny zapas archaicznych ołówków i pracowicie zmontował z nich meble.

–Cześć – rzuciłem beztrosko. Coś mieli dziwnego w oczach. Ostrożnie usiadłem w jednym z ołówkowych foteli i wolno oparłem się plecami o drabinkę dla krasnoludków...

–Co ty tu robisz? – zapytałem Nicka.

–Szukam atramentu do czwartej klasy.

–A!... – Skinąłem głową. Nie zdążyłem jednak nic powiedzieć.

–...A w łazience znaleźliśmy istny skład chemikalii – Zakończył jakąś wypowiedź Doug. Nick mruknął coś zachęcającego. Na palcach podszedłem do żerdeł, na których stała butelka ginu, i nalałem sobie do szklanki. Za plecami Sarkissian mówił dalej: – Wszystko, co zostało wymyślone na włosy, skórę, paznokcie, mosznę, zęby, uszy, pod pachy, między palce stóp, pod napletek... – Odwróciłem się i opierając tyłkiem o listewkowy stolik słuchałem opowieści Douga. – W każdym razie nie znalazłbyś na swoim ciele miejsca, którego nie dałoby się pokryć jakimś smarem czy pudrem z piorunującym efektem, rzecz jasna. Cała ekipa zbiegła się do tej łazienki, na szczęście była ogromna jak kort tenisowy, staliśmy z wytrzeszczonymi gałami, chłonąc jedyny w swoim rodzaju widok... – Doug wytrzeszczył oczy wzmagając efekt opowieści. Nick wyglądał na zainteresowanego. Nawet na bardzo zainteresowanego. – I kiedy ta staliśmy jak rzeźby z ruchomymi oczami, najmłodszy technik powiedział szeptem: Wiecie dlaczego nie zastaliśmy gospodarza? Wyskoczył do drugstore'u po jedną rzecz, jakiej mu tu brakuje... Po smar do protez!

Nick Douglas ryknął przeraźliwym śmiechem. Teba drgnęła i obejrzała się znad swojego kawałka wołu. Podniosłem do ust szklankę i odstawiłem ją na blat za sobą. Wolno wróciłem do swojego fotela i spokojnie zapaliłem papierosa. Musiałem się czymś uspokoić – nie przepadam za czystym ginem, ale wolę go niż czystą wodę, którą Sarkissian napełnił butelkę po Silver Topie. Aktualnie zwijał się ze śmiechu

wpatrzony załzawionymi oczami w kwiczącego Nicka. Nick zresztą pierwszy opanował się jako tako i po otarciu łez wystękał:

–Musiał wydać na te chemoroidy trochę pietruchy...

–Kochany! Facet miał taką brykę, że jak dziewczucha z przedniego siedzenia chciała mu zrobić zdjęcie przy kierownicy to musiała użyć teleobiektywu!

–O Jezu!... – Douglas zapiszczał i zwinął się w kłęb. Z głową między kolanami charczał i rechotał: – Przestań, bo się zleję... Do pro-o-otez!...

–A w ogóle... – zapłakany Sarkissian wyciągnął dłoń i klepnął Nicka w plecy -...jak już w końcu złapaliśmy faceta, to okazało się, że wygląda jak efekt nie dokończonej kopulacji ropuchy z onucą. Czujesz? Spojrzenie z podstawową cechą prostych równoległych, które, jak wiadomo nie mają ze sobą punktów stycznych...

–Przepraszam – wtrąciłem się. – Co to jest onuca?

Sarkissian przerwał w pół słowa i popatrzył na mnie – otwartymi ustami. Potrząsnął głową i zamknął gębę.

–Rodzaj gilotynki do cygar – powiedział wolno, jakby zastanawiając się, czy aby nie robię go w konia. Kiedy skinąłem głową, odwrócił się do Nicka. – Tułów miał...

Poszedłem do kuchni, przeszukałem ją dość dokładnie. Nie znalazłem kropli alkoholu. Z pokoju dobiegł mnie soczysty opis postawy, postury, stóp i czupryny właściciela opisywanej wcześniej łazienki. Zszedłem do samochodu i zabrałem stamtąd cały posiadany alkohol. Gdy wszedłem do pokoju, Sarkissian właśnie mówił:

–Rodzaj gilotynki do cygar – Odczekał chwilę dając Nickowi czas na wchłonięcie informacji, po czym kontynuował: – Tułów miał...

Wyszedłem do kuchni. Puściłem mocny strumień wody. Uderzając w dno zlewozmywaka zagłuszyła skutecznie opowieść Sarkissiana. Odczekałem pięć minut, wsunąłem pod pachę butelkę, na dłoni ustawiłem trzy szklanki i wróciłem do pokoju. Doug właśnie wyjaśniał Nickowi:

–Rodzaj gilotynki do cygar – Douglas pokiwał ze – zrozumieniem głową. – Tułów miał...

–Dobra! – warknąłem. – Co to ma wszystko, do jasnej i najprzerówniejszej kurwy nędzy, znaczyć?

W zupełnej ciszy obaj odwrócili w moją stronę twarze i przyglądali się długą chwilę. Nick Douglas zerknął na znieruchomiłego Douglasa Sarkissiana i powiedział:

–Pewien ubiegłowieczny pisarz, bodajże Asimov, napisał w którejś ze swych

powieści mniej więcej tak... – Zmrużył oczy i wbił zamyślane spojrzenie w sufit -... *Jest to dokładnie to pytanie, które zadaje w takich sytuacjach niewiarygodnie duża liczba ludzi, od czasu jak wynaleziono ludzkość. Nie zanotowano ani jednego przykładu, żeby ktoś zadał je w innym celu niż dla podkreślenia własnej pozycji...*

–Godności – szybko poprawił go Sarkissian.

–Co? – Nick ocknął się z zamyślenia.

–Tam jest „godności”.

–Yhy... Masz rację.

Odsunąłem łokieć od boku i rozwarłem pałce. Zanim butelka rozbiła się o podłogę, ruszyłem w stronę drzwi. Przepuściłem Tebę przodem i cicho zamknąłem za nami drzwi. Wsiadając do bastaada pomyślałem sobie, że jeśli wóz powie coś o gilotynkach do cygar, to puszcze go z dymem, nie przejmując się osiąganą na aukcjach ceną. Pewnie przestraszył się, bo potulnie ruszył i zachowywał wzorowo podczas całej jazdy, to znaczy przez dobre pół kilometra, tyle ile trzeba było, żeby objechać dokoła dwa niewielkie bloki. Teba wyglądała na zdziwioną, gdy po raz drugi tego samego dnia wysiedliśmy przed budynkiem Douga. Równie cicho jak zamknąłem, otworzyłem drzwi do jego mieszkania i wszedłem do livingu. Któryś z nich zdążył wytrzeć podłogę i zmieść odłamki szkła. Zapachu whisky wytrzeć nie zdążyli. Nie zwrócili na nas najmniejszej uwagi. Doug właśnie mówił:

–Rodzaj gilotynki do cygar – a gdy Nick pokiwał głową, ciągnął dalej: – Tułów miał...

–Poddaję się – oświadczyłem. – Kapituluję na każdym odcinku. Róbcie ze mną co chcecie, tylko nie kaźcie mi się szczerze śmiać z tych dowcipów, bo tak łąć nawet ja nie potrafię.

Odwrócili głowy w moją stronę, ale chyba przez minutę nie odezwali się. Potem Sarkissian odezwał się:

–Mamy nadzieję, że może dotarło do ciebie, jak czują się twoi... Tak przynajmniej nas określasz... Przyjaciele... Gdy odczuwasz zapotrzebowanie na usługi, zjawiasz się i proponujesz współpracę. Każde sensowne pytanie zbywasz znakomitym dowcipem własnej roboty i bawisz się w superdetektywa.

–Ty jesteś chory! I zaraziłeś Nicka...

–Nie – rzucił Douglas w przestrzeń.

–No, to czego chcecie? – zapytałem. – Żebym wyrznął się pięścią w zęby? Czy może uderzył się dupą o piętę?

–Zaczyna się... – jęknął Nick i machnął beznadziejnie ręką.

–Nie poprawi się. Do kasacji... – zawtórował Doug.

–No dobrze, zanim mnie skasujecie, wyduście żądania.

–Prawda, cała prawda i tylko prawda! – rzucił Sarkissian.

–Poczekaj... – Zaczęło mnie to denerwować. – Nick zna całą prawdę. Ale on przyjął moją propozycję współpracy, a ty...

–Idiota – przerwał mi. – Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, co działałoby się ze mną, gdybym – nawet jeśli istnieje możliwość, o której mówiłeś – zrealizował twoją prośbę? Czy ty rozumiesz, kogo i na co naraziłbym? Mogę ci w skrócie wyliczyć: upadek całego Central Biuro of Investigation, kompromitacja i ustąpienie ekipy rządowej, blamaż na cały świat, załamanie rynku komputerowego... Wystarczy? Nie wygrzebalibyśmy się z tego przez kilkadziesiąt lat.

–No i dobrze. Jeśli pieje się o demokracji, a jednocześnie wsuwa do każdego mieszkania szpiega, to cała twoja wyliczanka powinna jak najszybciej stać się faktem dokonanym!

–Ale chciałeś z tych szpiegów skorzystać!

–Ale tylko raz, i to dopiero wtedy, gdy nie miałem innego wyjścia!

–Nieźle usprawiedliwienie...

–Przynajmniej to świństwo posłużyłoby do szlachetnego celu.

–No to jesteśmy zgodni: przecież po to było wymyślone.

Roześmiałem się serdecznie. Palce same wyjęły z paczki papierosa i pstryknęły zapalniczką. Zaciągnąłem się machinalnie, burza w mózgu nagle ustała, kątem oka zobaczyłem, jak Sarkissian poruszył brwiami i natychmiast Douglas wstał i wsadził rękę gdzieś między szczebelkowate półki. Pokój wypełnił niski wibrujący dźwięk, a ja poczułem gorąco, jakby nagle ktoś otworzył – drzwiczki rozgrzanego pieca. Wyjąłem papierosa z ust i wolno odwróciłem się do Sarkissiana. Długą chwilę patrzył na mnie poważnie, potem te jego cygańskie czy ormiańskie oczy zmieniły odcień i zrozumiałem, że Doug uśmiecha się. Pod kopułą czaszki rozbłysnął potężny reflektor, mózg nie zdołał wchłonąć całej porcji światła, bryznęło z oczu, wydusiło całe powietrze z płuc. Ostatkiem sił otworzyłem usta:

–Ty podły pier... – zabrakło mi tchu.

Pokiwał głową.

–Ty podły... – zacząłem jeszcze raz.

–Powtarzasz się – rzucił spokojnie.

Rozpaczliwie pokręciłem głową, chciałem mu powiedzieć, że dopóki nie skończę tego zdania, nie będę mógł zacząć nowego.

–Owen... – stuknął mnie wskazującym palcem w kolano.

–Pomyśl chwilę, a zrozumiesz, że od tej chwili jesteśmy zwłokami. Nawet nie wiem, czy będziemy się nadawać do identyfikacji. – Ty...

–Zamknij się! Zdradziłem najpotężniejszą instytucję rządową, ale nie myśl, że podam ci na tacy informacje – boleśnie walnął pięścią w moje kolano. Byłem tak oszołomiony, że nie przyszło mi do głowy, aby je odsunąć. – Są dwa warunki: po pierwsze, nie użyjesz tego w żadnej „Podwójnej śmierci” czy...

–Odwal się! – wrzasnąłem. – To nie jest mój tytuł, wymusili go na mnie w Korn-Agran-Welfare. To się nazywa „Ludzie.’...”

–Twoja sprawa. Ale pamiętaj, jeśli choćby sylaba przedostanie się na zewnątrz, nawet nie zdążymy zamówić sobie trumien.

–Postrasza mnie jeszcze, już i tak ledwo żyję...

–Widzę – Zareplikował spokojnie. – I drugi warunek: – opowiesz po raz pierwszy w życiu caluteńką prawdę. Dopiero wtedy my – być może, jeśli ci uwierzymy, podzielimy się swoimi informacjami.

–I nie zaczynaj znowu od „Ty podły pier...” – dorzucił swoje Nick.

Właśnie od tego chciałem zacząć. Nawet nie dlatego, że byłem zły. Najzwyczajniej w świecie nic innego nie przychodziło mi do głowy, jakbym musiał najpierw przewinać ten fragment informacji przez jakiś czytnik, a dopiero potem był w stanie sczytywać inne znaki. Kilka razy otwierałem usta i zamykałem, nie wydając dźwięku. Na szczęście nikt się ze mnie nit śmiał.

–Bydlaki... – zacząłem inaczej.

–Tylko się nad sobą nie rozczulaj... – skrzywił się Nick.

–A niby dlaczego nie? Widzisz, jaki jestem rozczochrany? – przejechałem dłonią po włosach na tyle głowy – Wiesz dlaczego? Od kilku godzin siedzi mi na karku kostucha, i to jej oddech burzy mi...

–Co ci tam może zburzyć?! – Złośliwie zdziwił się Sarkissian.

Nabrałem pełne płuca powietrza i wydmuchnąłem je powoli przez stulone wargi, wydymając przy tym policzki. Moja prawa ręka sięgnęła w dół i od razu trafiła na szyjkę butelki. Podniosłem ją do góry i pokazałem Douglasowi i Sarkissianowi. Nick podniósł się i przyniósł z kuchni szklaneczkę, a Doug postawił przede mną popielniczkę. Wzruszyła mnie ich troskliwość, pewnie dlatego drżały mi ręce, gdy

nalewałem Walkera do szklanek. Prawie na pewno dlatego dwie kostki lodu dzwoniły o ścianki naczynia, a brzegi szklanki dwa czy trzy razy uderzyły w dolne jedyńki.

–Mów! – zażądał Douglas Sarkissian.

–Już – wsłuchałem się w swój głos, chodziło mi o to czy drży jak palce, i nie udało mi się rozstrzygnąć tej kwestii. Łyknąłem drugi raz. – No więc... – posłuchałem siebie jeszcze raz, było lepiej. – Czternastego maja zgłosił się do mnie Ian Honeycomb. Kojarzycie? Spotkałem się z nim podczas afery Kratery Zgubionego Czasu. Jest chyba najpotężniejszym przestępcą naszych czasów, ale nie znaczy to, że jest największym. Jednocześnie jest najdziwniejszym, pełnym sprzeczności przestępcą. Jak twierdzi, los pokierował jego błyskawiczną karierą, zresztą to nieważne. W każdym razie jest to ktoś, z kim należy się liczyć. Zaproponował mi robotę, a ja bardziej lub mniej chętnie ją przyjąłem.

–Czy to ostatnie zdanie możemy rozwinąć? – zainteresował się Nick.

–Po co?

Poderwali się obaj i zaczęli iść w stronę kuchni.

–Już! Już rozwijam! – wrzasnąłem. Wrócili i usiedli na swoich miejscach. – On uświadomił mi, że mam żonę i dziecko.

–Groził... – stwierdził Doug.

–Tak zupełnie szczerze mówiąc, nie – wydusiłem z siebie. – Podświadomie czekałem na takie zlecenie, czekałem na pretekst. Nawet nie jestem pewien czy to nie ja podsunąłem pomysł z Pymą i Philem... To jest zupełnie możliwe... Nie wiem, kurcze:... – Łyknąłem ze szklanki. – W każdym razie o co chodzi? On ma szczerą ochotę zerwać z arbitrażem dla gangsterów, a ktoś mu w tym delikatnie przeszkadza. To jeden z powodów, dla którego mnie zatrudnił. A drugi – piątego maja ktoś wdarł się do jego rezydencji na Gołębiej Wyspie z jednoznacznym zamiarem zabicia go, a ktoś inny zastrzelił zamachowca z lasera. Poszedłem najświeższym tropem, czyli zamachowca i natrafiłem na niejakiego Pouncy'ego, który na telefoniczne zlecenie podnajął dawnego przelotnego znajomego. Wtedy odwiedziłem was. Co jeszcze?

–Prawdę! – wrzasnął Sarkissian.

–Przecież mówię... Najpierw trójka facetów usiłowała mnie zabrać na wycieczkę... Przewidywałem taki ruch i ubezpieczyłem się. Może trochę przesadziłem, bo pozabijali się, zanim wyciągnąłem z nich jakąś informację.

–Uważaj! – Nick podniósł palec ostrzegając Sarkissiana.

–Teraz zacznie łąć.

–Dowiedziałem się tylko, że ktoś ich wynajął, zapłacił część a resztę miał przekazać po robocie. Przysięgam!

–To sobie daruj. Dalej! – zażądał Doug.

–Dalej? Poleciałem na Księżyc, nie bardzo wiem po co Przytrafiła się tam awaria w bazie Guylorda. Mógł zginąć najważniejszy jego człowiek, ale ktoś nieznany uratował go przenosząc z uszkodzonego segmentu. Nikt się do tego nie przyznaje... Jestem niemal stuprocentowo pewien, że moje zlecenie i ten cud nie mają ze sobą nic wspólnego, prócz podobnej nie zidentyfikowanej interwencji. W każdym razie nic mi nie przychodzi do głowy. No, a kiedy wróciłem na Ziemię, jeszcze oszołomiony po podróży, napadł na mnie mistrz miasta w spluwce. Tebunia mnie uratowała. A jeszcze chwilę później ktoś z samochodu wpieprzył w mój dom raketę. Ścigałem go, ale mi zwiął...

–Tu! – triumfująco wykrzyknął Nick. – Nie wytrzymał!

–Co...

–Łże! – zgodził się z Nickiem Doug. – Ty? W swoim podrasowanym, przerasowanym bastaadzie? Z kompletem wytrychów? Najgorszy, najfartowniejszy kierowca, jakiego znam?

–Zapytaj Tebę. Facet miał chyba umówiony ciężarów) flyer, ślady opon jakimś cudem urwały się na pewnym pokrytym świeżą trawą pagórku. Daję słowo...

–I co jeszcze?

–Co jeszcze? – Zastanawiałem się chwilę. – Aha! Trzeba podskoczyć na Glass Field 27. Ma „tam do niejakiego Quelqueljena przyjść ktoś z resztą forsy za robotę. To ten od spluwki. O dwudziestej pierwszej – zerknąłem na zegarek.

–Za pół godziny.

–Zajmę się tym – Sarissian sięgnął do telefonu i wydał dyspozycje. – Teraz reszta – zażądał po zakończeniu rozmowy.

–To wszystko – wzruszyłem ramionami. – Jeśli coś jeszcze jest, to ja o tym nie wiem. Oj! Mam w samochodzie próbki trawy i zdjęcia śladów opon. Może w twoim laboratorium coś z tym zrobią?

Sarkissian skinął głową i ponownie uruchomił telefon. Nick dopił swoją whisky i ponalewał do wszystkich trzech szklanek. Doug odłożył słuchawkę i popatrzył na Nicka.

–Wierzysz mu? – wskazał mnie głową.

–Nie bardzo, ale nie mam za co go złapać.

–Ja to samo, Na pewno coś schował. Pomyślmy chwilę...

Pogrążyli się w rozmyślaniach. Wrzuciłem do wszystkich szklanek po kilka kostek lodu i wygodnie rozparłem się w fotelu. Atmosfera pracy umysłowej udzieliła się i mnie, opowieść

sprzed kilku minut niczym film sensacyjny przemknęła na ekranie z zamkniętych powiek. Znowu poczułem, że jestem bliski jakiegoś pomysłu.

–Nie mam pomysłu – jakby podsłuchując moje myśli oświadczył Nick.

Otworzyłem oczy, patrzyli na siebie, a potem, jednocześnie, odwrócili się do mnie.

–Możesz zamknąć sprawę zamachów na Guylorda. – powiedział spokojnie Sarissian. – Ale to tylko dlatego, że chyba tym razem nie przemilczałeś niczego. Gdybym cię nakrył na jakimkolwiek kłamstwie czy próbie nieujawnienia czegoś... – Pokręcił głową ostrzegając mnie przed konsekwencjami tego kroku.

–Ty podły... – powiedziałem wolno. – Gadaj...

–Miałem znakomite rekomendacje twojego Guylorda – skrzywił się Nick. – Dziecinna sprawa, mógł to sam załatwić. To było tak... Znalazłem chłopaka, który usłyszał część rozmowy niejakiego Sauera z Pouncym. To było jedenastego maja. Ja nie zdążyłem porozmawiać z tym Sauerem, ponieważ następnego dnia po tym telefonie, chyba już wynajął Manktelowa albo tylko skontaktował go z bezpośrednim zleceniodawcą, przestał oddychać. Jego kołesie niezbyt się tym przejęli, Sauer był u nich kiepsko notowany... Podejrzewali, że pracuje jednocześnie dla kogoś innego. I mieli rację.

Umilkł i wskazał dłonią Douga. Sarkissian odetchnął.

–Znalazłem kompy, w których grzebano – powiedział bardzo cicho, patrząc mi znacząco w oczy – No to muszę ci pogratulować – powiedziałem wściekły.

–Udało ci się zrobić mnie totalnie w konia. Wyszedłem od ciebie przekonany o własnej głupocie jak o niczym innym na świecie.

–To ci nie zaszkodzi – powiedział równie cicho jak poprzednio. – Krótka rzecz ujmując, Manktelow wynajął jedną łódź i popłynął nią na Gołębią Wyspę. Łódź wróciła bez pasażera, a potem ktoś zajął się kompem i zlikwidował przewoźnika. Tej samej nocy ktoś inny wynajął inną łódź...

Poczułem chłód w dołku i mrowienie w palcach. Obojętnie sięgnąłem po papierosy.

–Starszy elegancki pan – kontynuował Doug. – Przyplłynął na Wyspę godzinę przed Manktelowem i wrócił do łodzi mniej więcej pół godziny po wylądowaniu

zamachowca – Skąd wiesz? – zainteresowałem się. – Przecież przewoźnik Manktelowa nie żyje?

–Dane techniczne – szybkości łodzi, czas startu i powrotu. I jeszcze coś... Starszy pan miał, tak przynajmniej twierdzi właściciel łodzi, miał ochotę pozbyć się świadka, ale to facet,

który często robi w nielegalu i asekurował go pomocnik. Starszy pan nie skorzystał z gnata, który wiół w długim płaskim pojemniku i – może to nie jest istotne – śpieszył się. Rzucił forszę, ledwo doczekał się przeliczenia gotówki i ruszył jak na wyścigach.

–A wóz?

–Nie zauważyli. Ciemny, opływowy. Teraz tak... Łódź – dla Manktelowa wynajęli ci sami ludzie, dla których najprawdopodobniej pracował na boku Sauer. Popracowałem nad nimi i muszę przyznać, że należy ci się nagroda, dzięki twojej sprawie wypłynęła ta moja.

–Nagrodę odbieram tu od dwu godzin. Wielkie dzięki – wtrąciłem zdanie nasycone ironią jak arbuz wodą.

–W nagrodę będziesz mógł już jutro wieczorem powiedzieć swojemu klientowi, że mamy jego wrogów pod ciężkim kluczem. Zainkasujesz honorarium i siądziesz sobie do maszyny. Tylko przypominam o warunkach...

–Pamiętam! – syknąłem niecierpliwie. – Nie powiedziałaś, kto jest wrogiem Guylorda.

–Nowiutka, świeżutka, świetnie przygotowana do roboty familijka w starym dobrym stylu. Chłopcy są nowoczesni i gotowi do dużych poświęceń, a Guylord, wycofując się z rynku a zachowując jednocześnie mocną na nim pozycję, kłuje ich w przelyk i ogranicza ruchy. Poza tym statystyka pociesza nas, że ilość przestępstw stale maleje. Nie jest to zasługa policji, wielkie firmy rzeczywiście wycofują się, ale w takiej sytuacji, kiedy coraz mniej jest dużych rekinów, pozostałym coraz ciężiej jest zdobywać pieniądze – na nich skupia się ostrze wymiaru sprawiedliwości, a osławiony klimat społeczny również nie sprzyja. Prawie na pewno to właśnie są powody nienawiści do Guylorda.

–Nie widzę luk w twoim rozumowaniu – zgodziłem się. – I jutro ich likwidujemy, tak?

–A ty tam po co? – zdziwił się.

–Żeby móc ze spokojnym sumieniem zgarnąć honorarium i zasiąść do maszyny – podniosłem palec zwracając uwagę na resztę zdania: – Pamiętając o jednym warunku.

Sarkissian otworzył usta, ale rozległ się sygnał przy drzwiach. Doug otworzył je i krzyknął:

–Owen! Zejdź i daj to siano.

Zszedłem na dół z milczącym młodzieńcem, bez słowa wziął ode mnie kasetę z trawą i bez pożegnania odszedł. Gdy wróciłem na górę, Teba leżała na kanapie obok Nicka i prężąc przednie łapy pozwalała się drapać pod pachami – Zostaniesz u mnie? – zapytał-stwierdził Sarkissian.

–Jeśli można, tak. I muszę przedyktować, co mają zrobić w moim nowym domu.

Doug wskazał kciukiem drzwi do gabinetu. Rozsiadłem się przy klawiaturze i wywołałem komp Guylorda. Potem dobre pół godziny dyktowałem do mikrofonu nazwy sprzętów, wymiary ubrań i tytuły książek. Było to idiotyczne zajęcie, z góry skazane na niepowodzenie, bo nie miało końca. Gdy doszedłem do zabawek Phila i uświadomiłem sobie, że mogę wymienić tylko kilkadziesiąt, przerwałem dyktowanie. Wypaliłem papierosa, wpatrując się w klawiaturę. Zakiełkował mi w głowie pewien pomysł. Zerknąłem na zamknięte drzwi i zacząłem stukać w klawiaturę:

5.V. – zamach na Guylorda

12.V. – śmierć Sauera

18.V. – awaria na Księżycu

24.V. – zabójstwo Pouncy’ego, wynajęcie trójki zamachowców na mnie

30.V. – dwa zamachy na mnie.

Nie trzeba było długo wpatrywać się w ekran, żeby zobaczyć jaskrawą prawidłowość – cykl sześciu dni. Co sześć dni działo się coś ciekawego. Jedynym wyjątkiem był zamach na Guylorda, ale, o ile pamiętałem wydarzyło się to około północy. Czyli sześć dni, sześć dob... Co to może znaczyć? Raz w tygodniu ktoś brał sobie dzień wolnego? Ilu w naszym mieście mieszka lekarzy o nazwisku Jekyll? Poderwałem się i pobiegłem do livingu. Teba przeskoczyła przez moje zgarbione plecy wywołując wrzask zachwytu obu ścigających. W pokoju wciąż jeszcze warczał antypodsłuchowy modulator. Pewnie Sarkissian nie chciał, żeby w jego firmie wiedziano, jak zabawia się jeden z jej filarów. Wróciłem do ekranu z wykazem dat, ale mimo półgodzinnego wpatrywania się w szeregi literek-cyferek, mimo dwóch szklaneczek nic rozsądnego nie przychodziło mi do głowy. Skasowałem zapis

i przeniosłem się na kanapę. Poczulem, że powieki opadają mi w dół, jakby były ściągane miękkimi gumeczkami. Zdążyłem zrzucić buty i w jednym z nich zgasić niedopałek. Któreś z moich wstrętnych obliczy podsunęło widok Guylorda kupującego mi nowe obuwie, a żadne ze szlachetniejszych nie zdążyło zaprotestować.

Rano, to znaczy kiedy się obudziłem, Nick Douglas zdążył zniknąć z mieszkania Douga. Gospodarz wskazał mi dzbanek z kawą, nalałem sobie.

–Owen, zbieramy ich wszystkich od czwartej po południu. Zaczynamy od najdrobniejszych kielbi. O piątej, jeśli nadal chcesz wziąć w tym udział, zabierzemy się do szefa. Będzie w knajpce „Najlepsze miejsce na ostatniego”, na placu Lancy’ego. Bądź piętnaście minut wcześniej. Zgoda? Aha... Do Quelqueljena nikt nie przyszedł...

Skinąłem głową. Nie odzywałem się w obawie, że coś, co zakiełkowało w śpiącym mózgu,

rozwieje się wraz z przejściem do jawy. Sarkissian skierował się do drzwi, zatrzymał się chwilę i znieruchomiał zamyślony. Widocznie nie przekonany swoim najświeższym pomysłem zrezygnował zeń – wyszedł bez słowa. Spacerowałem po jego pokojach do drugiej i spacerowałbym dłużej, gdyby nie Teba domagająca się prawdziwej przechadzki. Pojechałem z nią do Południowego Parku, ale tylko w połowie był to dobry pomysł – Teba, bawiła się znakomicie, a ja wyęczałem z całej siły mózg chcąc dogonić jakąś cenną myśl, co do istnienia której nie miałem wątpliwości. Była to jedyna przesłanka na jej temat i dlatego tak była dla mnie cenna. Droczyła się ze mną. W końcu udałem, że macham na nią ręką i pojechałem do domu.

Budynek stał już na swoim miejscu. Odtworzono go z planu w biurze, które namówiło kiedyś Pymę na zakup domu. Zapomniałem o winorośli oplatającej kolumnienki ganku, a jej brak raził mnie jak cekin na gałce ocznej. Sprawdziłem tylko, czy komp pamięta o Tobie, zostawiłem ją w pachnącym nowością budynku i wróciłem do samochodu. Zanim ruszyłem, przełożyłem do kieszeni bluzy biffaxa a elefanta zostawiłem pod siedzeniem. Wolno uszyłem przez Czterdziestą Drugą, potem Aleją Dwu Księżyców, i w końcu Dziewiątą dotarłem do placu Lancy'ego. Zaparkowałem czterdzieści metrów od „Najlepszego miejsca na ostatniego” i zapaliłem papierosa, ręce nie drżały; poszukałem w sobie lęku i zadowolony z jego braku wysiadłem. Zobaczyłem zbliżającego się Sarkissiana. Mrugnął do mnie zawiadaczko i poklepał po ramieniu, rzucając:

–Wysoki blondyn w ciemnym garniturze. Siedzi przy stoliku blisko wylotu korytarza służbowego. Ja zablokuję mu odwrót, obstawą zajmą się moi ludzie, wiedzą kto jest kto. Ty zajdź go z lewej i na chwilę unieruchom.

Poklepałem go również po ramieniu i przepuściłem przodem. Pierwsze, co rzucało się w oczy po wejściu do lokalu, to tupet jego właściciela. Ktoś musiał podarować mu kilka kubików drewna, inny ktoś pogrążony w debilnym oszołomieniu przyharatał te dechy do ścian. Intencje pomysłodawcy, ofiarodawcy i wykonawcy zsumowały się w piekielny efekt – chamska prymitywna podróba salonu z czasów podboju Zachodu. Musiałbym być po sześcioro ostatnich, żeby spróbować wypić cokolwiek w tej trumnie. Poczuję się, jakbym był wyalienowanym kornikiem albo równie głupio. Sarkissian usiadł przy stoliku, zmusiłem swoje nogi do marszu, choć, czułem to wyraźnie, usiłowały okręcić się i wyprowadzić mnie na zewnątrz. Usiadłem na drewnianym stołku i rozejrzałem się dookoła, raczej nie starając się o przyjemny wyraz twarzy. Naliczyłem siedem osób przy stolikach i dwóch mężczyzn przy barze. Pomyślałem, że gdyby nie chłopcy Douga i ci, po których przyszliśmy, nie byłoby tu ani jednego klienta.

–Jak ci się nie podoba, możemy pójść gdzie indziej – zaproponował Sarkissian na użytek otoczenia.

–Co za różnica? – zapytałem filozoficznie. – Na pierwszego może być, ale ostatniego wypijemy gdzie indziej. I najpierw muszę zjeść coś...

Doug skinął na kelnera.

–Dwa steki albo pieczenie cielęce. Co może być szybciej?

–Steki – warknął kelner z gębą wykrzywioną, jakby chciał dolną lewą trójką trafić na górną prawą piątkę.

–No, to dawaj...

Zgasilem papierosa i rozejrzałem się jeszcze raz. Wysoki blondyn w ciemnym garniturze odłożył właśnie słuchawkę i sięgnął po kieliszek na wysokiej cienkiej nóżce. Za jego plecami na ścianie ponuro zwisała jakaś mętna akwarela. Trąciłem Douga palcem.

–Jeśli to jest kicz Jarreksa, to natychmiast stąd wychodzimy! – powiedziałem i podniosłem się z krzesła.

–Chce ci się chodzić? – skrzywił się Doug. – To lepiej już przejdź się po kelnera, daj mu po pysku i przypomnij o surówce.

–Nie chcę surówki, idź sam...

Ominąłem dwa stoliki i ze spojrzeniem wbitym w ramkę wypełnioną niemal bezbarwnymi maźnięciami zbliżyłem się do blondyna. Sarkissian miał do przejścia jeszcze cztery kroki, gdy nagle nasz cel poderwał się i jednym susem zniknął za

drzwiami. Drewniana płyta uruchamiana jakąś sprężyną omal nie zabiła, Douga

z okropnym hukiem zamykając się tuż przed jego nosem. Za plecami ktoś wrzasnął

z bólu, Doug strzelił w miejsce, gdzie w przyzwoitych drzwiach znajduje się zamek,

ale w tym lokalu było to błędne podejście. Któryś z chłopaków Sarkissiana wysunął się

przed szefa i zmasakrował taflę zbrojonego drzewa kilkunastosekundową serią

z termita. Doug kopniakiem wyłamał spory otwór i wywrócił się, gdy deski ustąpiły

nazbyt łatwo, a noga ugrzęzła w szparze. Ominąłem go i pierwszy wpadłem

w korytarz, tuż przed zakrętem mignęła mi postać w ciemnym barniturze. Strzeliła na

chybił trafił w nasz koniec korytarza i zniknęła za zakrętem. Zacząłem biec za nim,

minąłem odnogę korytarza, w której ktoś grzebał w szafce, pognałem dalej i nagle

wyciągnąłem się jak długi, gdy podeszwy butów niczym najlepsze łyżwy wystrzeliły

w różne strony świata. Ktoś przeskoczył przeze mnie zahaczając czubkiem buta o lewe ucho, ktoś zatańczył wirując, ale szybko odzyskał równowagę. Podniosłem się z kałuży oleju i zacząłem masować stłuczony łokieć. Dalszy pościg nie miał już w moim przypadku sensu, wytarłem podeszwy o suchy fragment podłogi.

Ruszyłem z powrotem, uprzytamniając sobie potrzebę zamienienia kilku słów z kelnerem, który słysząc serię z pistoletu maszynowego spokojnie grzebie w szafce. Zerwałem się i dobiegłem do odnogi najszybciej jak mogłem używając rozbitego kolana. Odnoga była w rzeczywistości krótkim czterometrowym korytarzykiem z rzędami szaf po obu stronach. Korytarzyk był pusty. Wrzuciłem biffaxa do kieszeni i szarpnąłem drzwiczki szafki, do której zaglądał przed chwilą mężczyzna. Na prawej ścianie umieszczona była duża solidna klamka. Zakląłem i szarpnąłem ją, jednocześnie rzucając spojrzenie w prawo. Korytarz jednak był pusty. Chłopcy Douga wyprowadzali ochronę szefa, Doug z kimś jeszcze gnał za kelnerem. Pociągnąłem i okręciłem wokół własnej osi szafkę i rzuciłem się po schodach w dół. Wykluczyłem możliwość zasadzki, zwalniałem minimalnie na zakrętach i nawet nie sięgnąłem jeszcze po broń. Tym razem mój umysł pracował znakomicie – nikt na mnie nie czekał ani w korytarzu, ani w kilkumiejscowym garażu, którego drzwi właśnie opadały. Zdażyłem jeszcze przeturlać się pod nimi i usłyszeć warkot potężnego motoru.

Wybiegłem po krótkiej stromej estakadzie na chodnik i wypadłem na jezdnię, ciemnozielony neymak skręcał w lewo, a jego kierowca był na tyle opanowany, że nie pozwolił sobie na pisk opon. Dobiegłem do bastaada i włączyłem się do ruchu, a po kilku metrach, korzystając z niewielkiej luki w strumieniu samochodów, zawróciłem i ruszyłem z maksymalnym przyspieszeniem za neymakiem. Na dwóch pierwszych

skrzyżowaniach sprzyjało mi szczęście, wykorzystałem zielone światła i moc silnika, skorzystałem z niewielkiego ruchu i pogałem do przodu. Kilometr dalej zobaczyłem masywny tył ściganej maszyny i zwolniłem również. W tej samej chwili odezwał się telefon. Przeczekałem tuzin sygnałów i wyłączyłem go. Neymak godnie wpasowany w łańcuch innych wozów poruszał się w kierunku kompleksu wypoczynkowego, pozostałości po olimpiadzie sprzed sześciu lat. Z jednej strony było to dobre – pustawe zawsze uliczki nie narażały na niebezpieczeństwo przypadkowych mieszkańców miasta, z drugiej – prawie nie znałem tego miasteczka, a na jego wyludnionych ciągach komunikacyjnych musiałem zostać bardzo szybko odkryty. Wyciągnąłem na ekran monitora plan kompleksu i wbijałem go sobie do głowy kilka minut, aż do chwili kiedy kierowca w białej koszuli wykorzystał zapalające się czerwone światło i runął do przodu zupełnie bez troski o stan bieżnika. Wskoczyłem z szeregu i zademonstrowałem wkurzonym kierowcom, jak powinno się w filmowy sposób przelatywać skrzyżowanie na czerwonym. Nie było sensu ukrywać się – neymak płynnie wszedł w zakręt, zniknął mi na chwilę z oczu za długim szeregiem nadmiernie wybujałych krzewów, a gdy zobaczyłem go ponownie, miał już ponad sto pięćdziesiąt metrów przewagi. Uświadomiłem sobie, że nie tylko ja znam warsztaty, gdzie

za niewielkie pieniądze można bardzo wyraźnie uskrzydlić samochodzik. Może nawet kierowca neymaka znał lepsze warsztaty. Bastaad pędził na pełnych obrotach pustą aleją centralną, ale blondyn oddalał się wyraźnie. Przypomniałem sobie plan miasteczka, ale nie znalazłem w nim sprzyjających skrótów, gnałem więc, czyhając na błąd ściganego. Wystukałem telefon do Douga i na jego zimne: – Słucham? – wrzasnąłem:

–Zablokuj miasteczko olimpijskie od południa. Pcham tam twojego szefa całą parą. Tylko szybko, bo on ma szybką hulajnogę.

Wyłączyłem telefon. Neymak wciąż gnał po prostej, niemal na każdym metrze zyskując kilka centymetrów, oddalał się stale. Wyszarpnąłem spod siedzenia elefanta i strzeliłem dwukrotnie, starając się nie trafić w tył ściganego samochodu. Zareagował standardowo – skręcił w pierwszą przecznicę. Zyskałem na ryzykownym zakręcie kilka metrów, przemknęliśmy obok jakiejś rozpoczętej i nie zakończonej budowy i skierowaliśmy się w stronę Placu Jedności. Kiedy kontrolowanym poślizgiem wpadłem na jego drobnokostkową nawierzchnię, neymak właśnie ginał za Pomnikiem. Zahamowałem i – odrzuciwszy elefanta – zacisnąłem w garści biffaxa. Neymak mógł szybko wrócić tą samą drogą lub – po okrążeniu Pomnika – spróbować uciec drugą

z łączących się z placem dróg. Obie miałem pod kontrolą. Kierowca neymaka nie spieszył się, być może zrozumiał, że popełnił błąd. Dotknąłem klamki, ale jeszcze nie wysiadłem, przyjrzałem się tylko Pomnikowi. Rok temu spędziłem przy nim dwie godziny bawiąc się z Philem. Tworzyła go ścięta piramida z rur, na szczycie piramidy rozsiadł się skopiowany z Gizy Sfinks, a największą atrakcją tego miejsca były owe rury. Wyglądały jak kilkadziesiąt skłębionych wyciśniętych jednocześnie zawartości tub z pastą do zębów. Niektóre z nich przechodziły na wylot piramidy, inne, wyposażone w system pryzmatów demonstrowały widoki z najprzeróżniejszych kierunków, niektóre były po prostu lustrami, a jeszcze inne pokazywały stojącą tuż obok osobę. Przechodząc przed wylotami rur można było zobaczyć najpierw niebo, potem siebie, potem fragment krajobrazu z drugiej strony sfinksa, potem idącą przed tobą osobę i tak dalej. W tej sytuacji było to miejsce bardzo nieciekawe, stojąc przed wylotem rur nie mogłem być pewien, czy ścigany nie pośle mi kulki prosto przez rurę albo – widząc gdzie jestem – nie wyskoczy zza rogu i – jak wyżej. Mogłem, moim zdaniem, zrobić tylko jedno...

Wyskoczyłem bezgłośnie z wozu i nie hałasując wbiegłem możliwie cicho na szczyt Pomnika. Przywarłem plecami do brzucha sfinksa, szybko rozejrzałem się po okolicy. Kierowca neymaka zniknął z pola widzenia. Odczekałem kilka sekund i napiąłem mięśnie chcąc obieć figurę, i wtedy w szybie bastaada zobaczyłem, jak pod beznosym pyskiem sfinksa przemyka się jakaś postać. Rzuciłem się w jej kierunku, wypadłem jak tornado na kierowcę, udało mi się nawet wykopać mu z dłoni rewolwer, ale w zamian, szybko odzyskawszy rezon, blondyn wyprysnął w powietrze mierząc stopami w moją rzepkę kolanową. Zwaliłem się jak kłoda. Padając zdołałem zauważyć, jak blondyn ląduje kilka centymetrów od podstawy sfinksa i zaczyna turlać się, a potem bezładnie opadać coraz” niżej i niżej. Poderwałem się i pognałem za nim, usiłując nie powtórzyć jego błędu, skakałem

po ścianach rur różnej średnicy usiłując z jednej strony nie tracić z oczu przewalającego się bezwładnie blondyna, i równowagi – z drugiej. Sukces był połowiczny – blondyn opadł na przypominającą łuskę gigantycznego okonia nawierzchnię placu i znieruchomiał, a ja, źle obliczywszy jeden ze skoków, runąłem w dół, cudem unikając wybicia wszystkich możliwych jedynek. Od uderzenia skronią o łuskę placu pociemniało mi w oczach i rozbłysło w nich jednocześnie jaskrawe wielokolorowe światło. Coś, być może wyłuskana uderzeniem plomba, zazgrzytało między zaciśniętymi zębami. Poderwałem się na nogi i zwałem na blondyna, a tylko częściowo było to zamierzone. Tym razem upadek był

przyjemniejszy, chociażby dlatego, że uderzyłem czołem w klatkę piersiową nieruchomego mężczyzny. Zakląłem i podniosłem się z wysiłkiem. Biffax leżał trzy metry ode mnie, podszedłem do niego, ale pochyliłem się po broń dopiero po dłuższej chwili, kiedy ścichł nieco łomot w skroniach i kiedy zdołałem wymacać językiem okruch plomby i wypluć ją na kostkę placu. Poczułem się całkiem znośnie. Odwróciłem mężczyznę na plecy i przeszukałem dokładnie jego ubranie. Znalazłem w specjalnej kieszeni na wewnętrznej stronie marynarki biffaxa, identycznego jak mój, ale nie poczułem się wcale przyjacielem blondyna. Przeciągnąłem go w pobliże bastaada. Pogrzebałem w bagażniku i zapiąłem na jego przegubach i kostkach stóp kupione kilka lat temu i nigdy jeszcze nie używane kajdanki krzyżowe. Dopiero teraz odetchnąłem spokojnie, szybko pociągnąłem łyk z niezbędnika i – czując się w znakomitej formie – wrzuciłem mężczyznę na tylne siedzenie wozu i szybko zjechałem z placu.

Wróciłem po swoim tropie na widzianą przelotnie budowę i zatrzymałem się obok olbrzymiej sterty grubaśnych rur. Dużo wysiłku kosztowało mnie wyciągnięcie bezwładnego ciała ze skrzyżowanymi na plecach rękami i podgiętymi do góry nogami, ale pomysł, który zacząłem realizować, wart był tego wysiłku. Rzuciłem blondyna w piach i wróciłem do bagażnika po litrowy pojemnik z klejem Gamma-HX. Blondyn nie odzyskał jeszcze przytomności, szybko rozpiąłem kajdanki, strzeliłem pióropuszem lepkiej mgły w jego dłonie i przycisnąłem je jedną po drugiej do rur starając się, aby ręce były maksymalnie wyciągnięte. Gdy po chwili puściłem jego dłonie, zawisł na nich przypominając do złudzenia średniowieczny sztych, przedstawiający przykutego do ściany więźnia. Odsunąłem się nieco i poddałem ocenie wykonaną pracę. Nie można mi było niczego zarzucić. Zapaliłem papierosa, wydobyłem z barku syfon. Struga zimnej pieniącej się wody uderzyła mężczyznę w kark, obficie zmoczyła jasne włosy i plamą rozlała po marynarce. Usłyszałem jęk, potem blondyn poruszył się, podciągnął stopy i wstał. Zrobiłem kilka kroków, obserwując jak szarpie rękami usiłując oderwać przyklejone dłonie, oparłem się niedbale o jedną z kilkudziesięciu rur i chrząknąłem znacząco. Blondyn zaniechał wysiłków i strzelił we mnie wściekłym spojrzeniem.

–To nie puści – poinformowałem go, wskazując głową bliższą z dłoni.

–Pożegnaj się z życiem! – wykrztusił.

–Nie pomoże ani terpentyna, ani benzyna – kontynuowałem, nie zwracając uwagi na jego propozycję. – Ani mocz, ani nic. Tym się przykleja skrzydła samolotów do kadłuba. –

Zaciągnąłem się ze smakiem i wypuściłem dym w niebo. – Bombowa

sprawa... Dlaczego chciałeś zabić Guylorda?

–Jesteś trup...

Roześmiałem się serdecznie.

–Jakoś Anioł Stróż nie śpieszy się z realizacją twoich życzeń... – zakpiłem. – Gadaj, dlaczego chciałeś zabić Guylorda?

–Głównie!

–No i dobrze – zaciągnąłem się papierosem z miną człowieka przystępującego do jakiejś wymuszonej czynności. – Język ci zostanie, to zeznawać i tak będziesz mógł... – Strzeliłem niedopałkiem w bok i podciągnąłem spodnie. – Zauważyłeś, że jesteś przyklejony do różnych rur? Zauważyłeś, na pewno... – odpowiedziałem sam sobie. – Jak zaczepię wozem o jedną z rur... Wyobrażasz sobie? – Podeszedłem do otwartego bagażnika i zacząłem w nim grzebać, kończąc wypowiedź: – Cała sterta rur runie, polecą, rzecz jasna, bezładnie, w różnej kolejności, z różną prędkością i w nieco różnych kierunkach. Jedna twoja ręka... Gdzie jest, do ciężkiej... O! Mam... A więc jedna twoja ręka zostanie skręcona wcześniej, druga nieco później, sądzę też, że rury oddalą się w końcu od siebie. I chyba zasięg twoich brudnych rączek... – wyprostowałem się i odwróciłem do blondyna trzymając linkę w dłoni - ... nie wystarczy. Żeby nie przeciągać sprawy, sądzę, że cię rozerwie, a już na pewno powyrywa łapki w jakimś tam miejscu. – Poszedłem do zaniepokojonego mężczyzny, pamiętając, żeby nie wejść w zasięg jego nóg. – Wiesz, że w dzieciństwie obrywałem ciągle od mamusi za wyrywanie nóżek muchom – zwierzyłem się. – I popatrz, nic to nie pomogło... – Westchnąłem i ruszyłem w stronę bastaada.

Gdy zaszemrał silnik, zerknąłem w moniterek wsteczny. Blondyn zszarzał wyraźnie na twarzy, jego stopy wykonywały jakieś skomplikowane, niezbyt efektowne krocзки, napręzał dłonie, jedną po drugiej, jakby chciał odkleić je na drodze łagodnej interwencji. Cofnąłem wózek kilka metrów i nie gasząc silnika wyskoczyłem, żeby zaczepić linkę holowniczą. Mogłem wyjąć ze specjalnej kasety standardowy łącznik awaryjny z magnetyczną przyssawą, ale uznałem, że im dłuższe będą przygotowania, tym lepszy efekt powinny przynieść.

Starannie zaczepiłem jeden koniec liny z hakiem o wylot rury po stronie blondyna i poszedłem z drugim końcem na przeciwległą stronę rury.

–Hej? Jak się nazywasz? – wrzasnąłem stamtąd.

Odpowiedział mi długą głupawą wiązanką. Wróciłem na jego stronę i zaczepiłem linkę o wysunięty hak. Chwilę przyglądałem się kompozycji i pokręciłem

głową.

–Nie, to do bani – powiedziałem na głos. – Jak się rury ruszą, to trzeba będzie szybko zwiewać. Albo jeszcze urwie mi zderzak...

Wyszukałem w bagażniku jeszcze jeden kawałek linki, przywiązałem ją do liny głównej i wsiadłem do bastaada trzymając drugi koniec w ręku. Przycisnąłem kilka razy pedał akceleratora, z rury strzeliła spalinowa mgiełka i wtedy blondyn nie wytrzymał:

–Czekaj!!! – wrzasnął. – Stój!

Zdjąłem nogę z gazu i wychyliłem się z okna.

–Tylko szybko i z sensem! – zażądałem. – Jak już się tyle narobiłem...

Mężczyzna pokręcił głową aż kropelki śliny z ust trysnęły na wszystkie strony. Chwiał się na nogach, ale mężnie stał, obawiając się poruszenia rur. Wsiadłem z wozu i podszedłem bliżej.

–Słuchajcie, anonim – powiedziałem, nie kryjąc swojego niezadowolenia. – Albo gadacie, albo odjeżdżam. No?

–Ja! – wrzasnął. – To ja, ja, ja, ja chciałem go zabić! Stoi mi kością w gardle!

–Mówi się: ością w gardle – poprawiłem go. – Nieważne. Dlaczego i ile razy?

–Wycofał się z interesu, ale kontrolował wszystko! Pies ogrodnika! – zapiął falsetem. – Nie mogłem rozwinąć zabawy, a skubanie okruchów dawno już przestało mnie bawić. Rozumiesz?

–Yhy. A ile razy próbowałeś go uziemić?

–Raz. Tylko raz. Na jego własnej wyspie, ale jakoś przewidział to i czekał na zamachowca, albo ma lepszą” ochronę niż sądziliśmy...

–Dobra, a co ze mną?

–Z tobą? – zdziwił się szczerze. – Nic o tobie nie wiem...

–No masz! A wydawało mi się, że jestem wystarczająco ważny. To wszystko? – zapytałem i widząc, że blondyn kiwa rozpaczliwie głową, dodałem: – Z innego źródła wiem, że nie. W takim razie... – zawiesiłem głos, a groźba znieruchomiła w powietrzu, a potem wolno poszybowała w stronę przyklejonego do rur mężczyzny. – Co jeszcze mam powiedzieć? – wrzasnął i szarpnął się, na chwilę zapominając o niebezpieczeństwie poruszania rur.

–Co się działo na Księżycu?

–Na Księżycu-u?

–Na Księżycu! – ryknąłem. – Przestań powtarzać za mną! Daję ci dziesięć

sekund na rozpoczęcie spowiedzi. Start! – wystawiłem przed siebie przegub z zegarkiem i wbiłem weń spojrzenie.

–Wszystko ci powiem! – wrzasnął blondyn. – Tylko sensownie zapytaj!

–Może i masz rację – przyjrzałem mu się z uwagą.

–Nieźle się pękło, co? I ty chciałeś zastąpić Guylorda? – rzuciłem z pogardą.

Wsiadłem do wozu i ruszyłem ostro do przodu, pozwoliłem lince napiąć się, a potem puściłem ją. Nawet w niewielkim ekranie monitora zobaczyłem ciemną plamę obok jego stóp. Nie mogłem wiedzieć, a tym bardziej widzieć, że pierwsza rura zabezpieczona została trzema solidnymi klinami i że chodząc wzdłuż rury starannie omijałem je dużym łukiem. Wracając do domu rozważałem swoje postępowanie podczas tego krótkiego acz efektownego przesłuchania, ale nie znalazłem w sobie potępienia dla własnego zachowania. Musiałem zgnoić blondyna – przewidywałem, że posiedzi w więzieniu nie dłużej niż rok, może dwa, i musiałem mu wybić z głowy ochotę do dalszej działalności. Nie łudziłem się, na jego miejsce znajdzie się kilku innych, ale eliminacja chociażby jednego wydawała mi się zawsze godna wszelkich środków.

Właśnie wpakowałem się do wanny pełnej ukropu trzymając w dłoni szklankę pełną „Śniegu Kilimandżaro” – gin z małą ilością minairce i de brasco – gdy odezwał się telefon. Nabrałem powietrza do płuc i wrzasnąłem z całej siły:

–Telefon! Odbiór w łazience-e!!!

Mój wrzask musiał dotrzeć do kompa, bo nad głową rozległ się głos Sarkissiana. Głos był nieco dziwny, jakby Doug dusił się z wściekłości.

–Owen? Ty podły... – parsknął śmiechem. – Czym przykleiłeś tego bydlaka?

–Chyba Gamma-HX... – powiedziałem zaskoczony.

–Bo co?

–Durniu... Od sześciu lat nie produkują rozpuszczalnika do tego lepidła! – A!

–Musieliśmy wyciąć kawałki rur, żeby zabrać faceta ze sobą.

–No, to czego się mnie czepiasz? – łyknąłem ze szklanki tak żeby Doug to usłyszał.

–Musieliśmy oszlifować brzegi, żeby gość nie mógł sobie zrobić krzywdy, chociaż zdrowo

go pogiąłeś, nie nadaje się do niczego. – Jakby pochwalił mnie.

–Dziękuję...

–Nie o to chodzi! Kretynie... Powiedz mi, jak on ma się odlać? Nie może rozpiąć spodni. Zastanawiałem się chwilę.

–No, to zostawcie go na golasa – zaproponowałem – Tylko musi uważać, żeby sobie nie przytrzasnął...

–Dobra, dobra! – przerwał mi. – Nie zaczynaj znowu swojego kabaretu.

–Jeśli chodzi o kabaret... – wrzasnąłem -... to masz teraz w celi idealnego klakiera do swoich z Nickiem występów! Najskuteczniejszy klaskacz na świecie jest do twojej dyspozycji!

–Owen... – w głosie Douga zabrzmiało współczucie.

–Żebyś ty był taki bogaty, jak jesteś głupi...

Rozłączył się, a ja ułożyłem się wygodnie i zająłem rozważaniem ostatniego zdania. Przejrzałem wszystkie, absolutnie wszystkie warianty i wciąż wychodziło mi, że byłem jednak niesłychanie biedny. Gdy dno szklanki załamało promienie sufitowej lampy, zaniechałem gimnastyki umysłowej. Wystukałem numer do Pymy, prawie cały numer, bez ostatniej cyfry, zastanawiałem się nad tą cyferką dwie minuty i w końcu skasowałem kod. Coś, a znowu nie wiedziałem co, nie pozwoliło mi odwołać alarmu i sprowadzić rodziny do domu. To „coś”, również, kazało odłożyć do jutra rozmowę z Guylordem. Nigdy nie walczę z niewiadomym. Nakarmiłem Tebę i poszliśmy spać.

Kwadrans przed dziesiątą, jeszcze z oczami zlepionymi snem, zadzwoniłem do Guylorda, poinformowałem w skrócie, że może wyjść na światło dzienne i umówiłem się za godzinę w wydawnictwie. Teba wyprowadziła mnie na spacer, chociaż świetnie mogła wyjść sama do ogrodu, znalazła kij i wymusiła aportowanie. Rzucając patyk zastanawiałem się, czy aby nie wydaje się jej, że to ja aż do utraty tętna uwielbiam aportowanie. Głębszej analizy postanowiłem dokonać nieco później. Wróciwszy do domu nagrałem krótką informację dla Pymy, zleciłem kompowi przekazanie tekstu pod znany mu numer i pojechałem do Guylorda.

Tym razem odźwierny rzucił się pod koła bastaada, usiłując wcześniej niż ja sam otworzyć drzwi samochodu. Potem prowadził mnie idąc niemal tyłem i gdyby mógł albo gdyby trzeba było, rozgarniałby powietrze przede mną. Idąc za nim zastanawiałem się, czy Guylord sprowadzi dla mnie tę piekielnicę od totka, ale albo zapomniał, albo aż tak mnie nie cenił, albo miał wycucie taktu. W każdym razie nie było jej. Za to otwierały się przede mną wszystkie drzwi, tak więc do samego szefa dotarłem niemal nie zwalniając kroku. No, postać chwilę w windzie. Richmond Marc Guylord czekał na mnie w drzwiach tego

samego gabinetu, w którym go poznałem. Bez słowa wskazał mi fotel, a potem podniósł palec, jakby ostrzegał mnie przed podsłuchem, i skradając się zbliżył do barku. Zaintrygowany i przygotowany ha

najlepsze obserwowałem go – wolno wyjął graniastą butelkę z czarnego szkła i trzymając ją w dłoniach jak odbezpieczony granat przyniósł do stolika i zawiesił w powietrzu na wprost mojego oblicza. Etykieta była wielkości znaczka pocztowego, biała z wytłoczonym niemal niewidocznym napisem i tyle. Richmond wpatrywał się we mnie z napięciem równym emocjom na finiszu dorocznego pace-produce w Zwoerbroem. Cmoknąłem i wydałem z siebie serię cichych pyknięć.

–Na świecie znanych jest, zarejestrowanych i ubezpieczonych, sześć butelek tego trunku. Tak zwany Biały Koniak K, najrzadziej pity koniak wszechczasów, tak rzadki, że niektórzy znawcy w ogóle wątpią w jego istnienie, a niemal wszyscy uważają go za przereklamowany. Rzecz jasna, nikt z nich nie próbował imperatorskiego trunku.

R.M. Guylord pokiwał z wyrzutem głową, niemal niedbale postawił butelkę na stole i przyniósł kieliszki. Kiedy usiadł w fotelu chwycił swój kreślik i wykonał nim serię salt w powietrzu.

–Tada powiedziała mi, że chciała cię zaangażować na etacie barmana, ale ona ma skłonność do przesady. Ja, z kolei, wiedziałem, że jesteś bezlitosny i niemal wyprany z uczuć, ale to, co mi przed chwilą zrobiłeś... – pokiwał głową z dezaprobatą.

–Zamachowcy są już pod kluczem – powiedziałem.

–Wczoraj odbyła się łapanka...

–I kto to był? – zainteresował się, zrywając czarną folię otulającą korek.

Bezwiednie śledziłem z napięciem jego ruchy.

–Nowa familia, dopiero na rozkrętce. Zawadzałeś im. Banał.

–Banał... – wstrzymał oddech wyciągając korek z butelki -...ale policja się rozkraczyła.

–I nie policja ich nakryła, tylko CBI. Poza tym policja, liczy tylko na siebie i dlatego tylko na siebie może liczyć, a ja liczę przede wszystkim na przyjaciół. Bo tylko na to mogę liczyć...

–Och, ta skromność. I pokrętna stylistyka... – podniósł butelkę do twarzy i ostrożnie wciągnął aromat w nozdrza. Mimowolnie wstrzymałem oddech, a potem zacząłem oddychać przez nos. – Hm? Czyżby rzeczywiście przereklamowany? – Zgrywał się, co widoczne było po namaszczeniu, z jakim nalewał na dno płaskich koniakówek z najdroższej szlifierni kryształów w Fyedge de Vallies. Przekazał mi jedną, a drugą podniósł i z lubością wdychał aromat. Po kilku wdechach otworzył oczy. – Dom stoi? – Skinąłem głową, zajęty

wpatrywaniem w iskrzący się w kieliszku

płyn.

–Szczegóły co do tej rodziny nie powinny mnie chyba obchodzić?

–Chyba nie... Naprawdę trywialna sprawa.

–Jeszcze mi powiedz, że szkoda było twojego czasu...

–Nie, nie powiem...

Wlałem do ust – kilka kropel płynnego czerwonego złota. Po języku i podniebieniu natychmiast rozlała się zawartość czary wypełnionej aromatem pękających z gorącą winogron, trzaskających na kominku polan i jeszcze czegoś, i jeszcze czegoś, może uśmiechu Giocondy, może zapachu czystego lodu, w każdym razie poczułem oszołomienie i radość o masochistycznym niemal charakterze. Wlałem jeszcze kilka kropel i wszystko się powtórzyło. Jakbym puszczał ten sam fragment słodkiej kołysanki z dzieciństwa.

–Koszmarnie piękne! – powiedziałem zupełnie szczerze.

–Dopiero teraz wiem, co to prawdziwy alkohol.

Nie czekając na odpowiedź wlałem w usta resztę, przeżyłem jeszcze jedną orgię smakowo-zapachową i podniosłem się. Guylord, wciąż jeszcze trzymający swój kielich w dłoni, oblizał wargi.

–Zamykasz sprawę?

Obawiałem się tego pytania. Marzyłem, że może nie zapyta, ale większych złudzeń nie miałem. Ciałem się stało.

–Dlaczego pytasz? – zagrałem na przetrzymanie.

–No, jeszcze jest ten tajemniczy Anioł Stróż.

–Taak... Jest...

–I zostawiasz go tak... – wzruszył ramionami -... bez identyfikacji?

–A jesteś pewien, że chcesz tego?

Postępując jak barbarzyńca, świętokradca, wlał w usta całą zawartość kielicha i odstawił go na stół. Chyba nawet nie poczuł co ma na języku.

–Właśnie... Nie wiem... Wiesz... – Stylistycznie jego wypowiedź zaczynała się nie

najciekawiej – Mam jakieś dziwne przeczucie: z jednej strony nigdy nie zostawiłem spraw tak zwanemu własnemu biegowi, a z drugiej – po prostu boję się poznać prawdę. Po raz pierwszy w życiu. To mnie denerwuje, rozumiesz mnie?

–Całkowicie. Kiedyś w dzieciństwie dwie godziny stałem z zapalnikami przed firanką, nie mogąc zdecydować się na jej podpalenie i jednocześnie aż się trzęsąc z ciekawości, jak się pali.

–No i jak się to skończyło?

Wzruszyłem ramionami i poszedłem w kierunku drzwi. Tuż przed dotknięciem klamki odwróciłem głowę i popatrzyłem na wpatrzonego we mnie Guylorda.

–Podpaliłem, rzecz jasna.

–No to ja również... – zaczął, ale mu natychmiast przerwałem:

–Ale od razu udało mi się zgasić!

–Nieważne... – ucieszył się, ale przerwałem mu ponownie:

–Ważne, bo byłem sam, zamknięty w drewnianym domku i niechybnie byłbym się spalił, gdyby nie to fartowne dmuchnięcie.

Otworzyłem drzwi i dodałem na pożegnanie:

–Tak to jest: jak się człowiek nad czymś zastanawia, to najczęściej „z takiej sprawy trzeba zrezygnować. Tako rzecz żyć.

Nie zatrzymywał mnie, zresztą nie dałbym się zatrzymać. Nawet wypukłe litery, białe na białym tle etykiety, nie zatrzymałyby mnie w tym gabinecie. Być może Guylord zrozumiał, że podpaliłem już swoją firankę i – jak na razie przynajmniej – nie mam zamiaru na nią dmuchać.

Telefon do Stephena Watkina odpowiadał mechanicznym głosem elektronicznej sekretarki, a w komendzie poinformowano mnie, że komendant jest w sąsiednim stanie. Dowiedziałem się tylko, że zastępuje go Gzybek, który miał wobec mnie niewielki dług wdzięczności; sprezentowałem mu kiedyś stuletnią chyba wędkę z bambusa, co – jak pamiętałem – wprawilo go w osłupienie i radość z powodu mojej głupoty. Nie miał racji, ponieważ chwilę przedtem wyłowilem na tę wędkę worek z poszukiwaną głową, brakującą z kolei do reszty ciała poszukiwanej dziewczyny) Podjechałem więc na parking służbowy, wszedłem butnie, jak za starych różnych czasów, i poprosiłem o chwilę rozmowy z Jerryem Gzybką. Powitał mnie serdecznie, ale miał w oczach nieufność, najprawdopodobniej sądził, że zmądrzałem i przyjechałem po swoją wędkę.

–Mam sprawę – wypaliłem od progu, żeby się nie męczył. – Zupełny drobiazg: chcę przejrzeć zapisy monitorowe z waszych kamer na drogach wylotowych z miasta. Za ostatni miesiąc. Można?

–A pewnie! – ucieszył się wyraźnie. – Już cię przekazuję...

Wystukał trzycyfrowy numer i wrzasnął do mikrofonu, tak głośno, jakby w ogóle nie chciał z niego korzystać:

–Bulgot! Idzie do ciebie pan Owen Yeates, zrobisz dla niego wszystko, czego zażąda!

–Dobra! – odkrzyknął Bulgot. – Byleby się do mnie nie dobierał.

Gzybek trzasnął w klawisz i zerknął na mnie spod oka. Chciał, żebym znalazł się już za drzwiami. Bez wędki w ręku.

–Serdeczne dzięki! – krzyknąłem dostosowując się do ich stylu rozmowy. – Jak znajdę haczyk z dwudziestego wieku, będzie twój.

Uścisnąłem mu dłoń i wyszedłem z pokoju. W drodze do windy minęli mnie dwaj mundurowi, obrzucili spojrzeniami z policyjnych sortów i zgodnym tandemem – czułem to wyraźnie – obejrzelili moje plecy. Nie widziałem ich nigdy przedtem, a to znaczyło, że są nowymi czy też stosunkowo nowymi nabytkami Watkinsa. Zresztą, guzik mnie obchodzili, tylko nie lubię służbowego mętnego skierowanego w przestrzeń i przez delikwenta spojrzenia. Może dlatego gdy wsiałem do windy i zobaczyłem, że jednocześnie odwracają się, wykonałem gest znany olimpijczykom i nie tylko. Zastanawiali się zbyt długo – połówki drzwi zetknęły się ze sobą, wcisnąłem przycisk z dwójką i pojechałem w dół. W archiwum zapytałem o Bulgota, wyłuszczyłem mu sprawę i zasiadłem przed wskazanym terminalem. Na wszelki wypadek, żeby zmylić resztę świata, najpierw przez godzinę myślałem o niczym wpatrując się w ekran, wypełniony wideoreportem kamery z przeciwległego, niż interesujący mnie w rzeczywistości, końca miasta. Dopiero przed czternastą przełączyłem się na widok z kamery na wylocie, z którego można dojechać do Szosy Leśnej lub wjechać z niej do miasta. Dwie godziny później zrobiłem sobie małą przerwę, wymasowałem powieki, pod którymi wciąż pędziły sznury najprzeróżniejszych samochodów, i wypaliłem dwa papierosy pod rząd.– Ktoś z tyłu odchrząknął znacząco. Jakiś młody piegowaty chłopczyzna w żółtym kombinezonie wskazał palcem ekran i zapytał:

–Szuka pan czegoś konkretnego?

–Tak – odpowiedziałem uprzejmie, choć sam nie wiem, jakim cudem to krótkie słowo zdołało zastąpić to, co w rzeczywistości zamierzałem powiedzieć.

–Konkretnego samochodu? – nie ustawał piegus.

–Tak – odpowiedziałem uprzejmie, choć... i tak dalej.

–No to niech pan włączy wyszukiwanie i poleci na „szybkim”. Szkoda czasu!

Zniknął za załomem ściany. Szeptem powiedziałem to, co chciałem powiedzieć wcześniej, tylko skierowałem do siebie. Uruchomiłem wyszukiwanie i z satysfakcją

zobaczyłem, jak szeregi aut runęły we wszystkie strony na rozjeździe. Cztery minuty trwało przeszukiwanie jednej doby, po dziewiętnastu minutach obraz zamarł na ekranie. Rzuciłem papierosa na podłogę i pochyliłem się nad ekranem. W centrum tkwił Blueball o numerze CAA 732126. Spojrzałem na datę: „5 maja”. Dobrze, teraz zbliżenie... Obraz powiększył się, ale efekt manewru był mizerny – słońce uderzało swymi promieniami w szybę skutecznie kryjąc twarz kierowcy. Zrobiłem kilkanaście zdjęć i puściłem dalej wyszukiwanie. Trzy minuty później ten sam wóz zastygł na ekranie prezentując teraz swój tył. Wyszukiwanie, dwadzieścia minut oczekiwania... Jest! Kiedy? „12 maja”... Wyszukiwanie... Jest, dwudziesty czwarty maja... Dlaczego dopiero dwudziesty czwarty? Myślałem nad tym przez całego papierosa i w końcu wyrzuciłem niedopałek i zarzuciłem myślenie. Dalej... Jest, znowu po trzech minutach, wraca. Dokładny jak Sarkissian. Szukamy... Mam! Trzydziesty, dobrze... I po trzech minutach wraca... Zgadza się. Przewinałem jeszcze trochę dysku, żeby zobaczyć siebie, jak po kilku minutach przejeżdżam ten sam rozjazd. Koniec.

Zabrałem z pojemnika wszystkie fotografie z dokładnymi danymi czasowymi i wyszedłem. Coś we mnie grało i tańczyło, słodka muzyka wprawiała mnie w tak dobry nastrój, że ucałowałbym nawet Bulgota, gdyby nawinął mi się pod usta, ale miał szczęście.

Wróciłem do domu, zabrałem zeń Tebę i pojechałem z nią do garażu. Wypiliśmy kilka głębszych, potem wprawieni w kozacką euforię przygotowaliśmy bastaada i na zakończenie poszliśmy do parku wysportować się przed snem. Od razu po pierwszym rzucie z kępy krzewów wypadł jakiś męski cień i psiocząc obficie pognał w następną kępę. W nią też rzuciłem patykiem, ale nie doleciał, co zdenerwowało Tebę i mnie; wobec czego zaniechaliśmy wyszukiwania w krzakach młodocianych par i poszliśmy spać.

Obudził mnie sygnał telefonu, chciałem przeturlać się przez łóżko, ale to, na czym spałem nie było łóżkiem. Wyszarpnąłem słuchawkę z gniazda deski rozdzielczej samochodu.

–Yeates, słucham!

–Co się z tobą dzieje, Owen? – zapytał Sarkissian. – Nie interesujesz się wynikiem akcji, nie organizujesz popijawy... Starzejesz się czyy?...

Zakląłem bezgłośnie, ta cholerna ormiańska krew zawierała w sobie zbyt duży jak na mnie odczyn intuicji. Poruszyłem wargami, mała gimnastyka dobrze robi, zanim wypowie się jakieś kłamstwo. „Podręcznik kłamcy amatora”, strona dziewiąta.

–Ani jedno, ani drugie, ani trzecie – odpowiedziałem niechętnym tonem. – To nie była moja akcja, chociaż zakończyła moją sprawę... – Odczekałem chwilę, ale Doug był zbyt

szczywany, żeby tak od razu dać się przekonać. – Co do popijawy, to jest zaplanowana na dzisiaj: wczoraj nie zrobiłem zakupów, a wraz z moim domem zmarły wszystkie zapasy. Dziś o piątej, powiedzmy. Znajdź Nicka, a drzwi nastawię na wasze nazwiska. O.K? No i oczywiście nie starzeję się, to wykluczone. Ja nie umrę w ogóle, a zwłaszcza młodo.

–Pyma kiedyś powiedziała, że gdy wygłaszasz dłuższą niż na jedno zdanie kwestię, to musi w niej być trzy czwarte łgarstw.

–Weź pod uwagę, że w kobiecych kwestiach jest jeszcze więcej przesady... – Rozjarzył się sygnalizator drugiej rozmowy. Co za ranek! – Doug, mam drugą rozmowę, pewnie właśnie Pyma...

–No to do piątej...

–Słucham? – powiedziałem do drugiej rozmowy.

–Owen, wracamy? – zapytała druga rozmowa głosem Pymy.

–Pyma... Jak by ci to powiedzieć... Nie mamy chwilowo domu.

–Co się stało?

–Podłożyli ładunek, niewielki, ale dom stał na słowo honoru. Właśnie kończą odbudowę, już widzę, że będzie dużo solidniejszy i zaprowadzimy sobie nowy, lepszy gatunek winorośli.

–I to wszystko? Możemy przespać się w hotelu...

–Kochanie, daj mi jeszcze jeden, góra dwa dni. Zakończyłem sprawę, wszystko jest cacy, ale muszę skończyć dom. I spotkać się z Nickiem i Dougiem... Potem będę wasz...

–Wasz na zawsze kochający mąż i ojciec?

–Właśnie tak i jeszcze bardziej – zerknąłem na zegarek. – Pyma, skarbie... Ucałuj małego i pa, dobrze?

–Dobrze... – Zgodziła się bez przekonania.

Wcisnąłem słuchawkę w gniazdo i natychmiast, jakby obraziła się o to, rozćwierkał się sygnał. Zastanawiałem się chwilę.

–Yeates... – zdecydowałem się.

–Dobrze, że cię złapałem – ucieszył się Guylord. Nie podzielałem jego radości. – Co postanowiłeś?

–Ja? – zdziwiłem się obłudnie. – To twoja sprawa.

–Cholera... Nie zmrużyłem tej nocy oka. Chyba po raz pierwszy w życiu.

–To podobno brudy na sumieniu.

–Właśnie... – Usłyszałem w słuchawce jego westchnienie. Popatrzyłem na zegarek, zaczynało robić się późno, ale Guylord był ważny. Jeśli nie bardzo ważny. – A co ty byś na moim miejscu zrobił?

–Nie znam człowieka, który po odpowiedzi na to pytanie postąpił zgodnie z nią. Bo i po co?

–Poważnie, Owen. Nie jesteśmy przyjaciółmi i chyba nie będziemy, ale daj mi przyjacielską radę.

–Dość głęboko siedzisz w moim życiorysie, więc na pewno wiesz, że dość starannie dobieram sobie przyjaciół...

–Wiem, wiem! – Zniecierpliwiał się. – Jesteśmy po różnych stronach barykady i tak dalej. Tylko że ja nie jestem przestępcą z genów czy wyrachowania, to splot okoliczności...

–Akurat dzisiaj w katedrze spowiada fantastyczny ksiądz – przerwałem mu. Czas biegł, a Richmond Marc najwyraźniej szukał u mnie pociechy i otuchy. Nie miałem zamiaru głaskać go po głowie i przekonywać, że jest O.K.

–Posłuchaj, możemy się spotkać? – Przełknął moje wygłupy.

–Zgoda, ale nie teraz...

–Możemy później, pod warunkiem, że w międzyczasie nie...

–Żadnych warunków, nawet mój pięciolatek wie, że akurat tego nie znoszę. Kończymy rozmowę, śpieszę się. Porozmawiamy jutro...

Nie przypuszczałem, że rzeczywiście spełnię obietnicę. Ale to miało być jutro. Uruchomiłem silnik i wyjechałem z garażu. Teba przeskoczyła na tylne siedzenie i ziewnęła potężnie. Po drodze sprawdziłem komp bastaada i swoje paznokcie. Nie zatrzymując się przemknęliśmy obok zaprzyjaźnionego sklepu, który zaopatrywał nas w znakomite wołowiny dla Teby; pisnęła cicho widząc oddalającą się witrynę, ale uspokoilem ją kilkoma słowami i szybko, ale w ramach przepisów dojechałem na koniczynę, z której mogłem znaleźć się na Leśnej Szosie. Cztery minuty później koła bastaada zaparły się w jej nawierzchnię i pchnęły do przodu samochód. Po kwadransie ustawiłem wóz skosem do miejsca, gdzie kończyły się ślady blueballa, i wysiadłem. Minutę przyglądałem się okolicy, sprawdziłem niebo i poklepałem się po kieszeni. Miałem piekielną ochotę na kilka mililitrów alkoholu, ale powstrzymałem się. Właściwie zrobiłem to już wczoraj, wyrzucając z wozu wszystkie procenty. Papierosy

zostawiłem. Zapaliłem jednego i usiadłem w wysokiej trawie, potem przesunąłem się nieco i już bez krzątania wypaliłem goldengate'a. Potem zabrałem się do jego brata, następnie do innego z rodziny, ale tego już nie zdążyłem skończyć.

Niemal na wprost mnie, z pustej przestrzeni rozległ się dźwięk przypominający rożek pasterski, potem coś warknęło ze złością i – zanim zdążyłem poderwać się z trawy i wyjąć broń – cudownym sposobem pojawił się przede mną granatowy blueball, a z otwartego okna kierowcy błysnęła w moim kierunku prymitywna czerwona dioda żywcem ściągnięta ze starego filmu sf. Na wszelki wypadek pozostałem nieruchomy. Kierowca otworzył drzwi i wysiadł wciąż celując we mnie z cienkiego długiego kija, połyskującego matową czernią; kij z jednej strony zakończony był czerwonym świetlikiem, z drugiej elastycznym przewodem, którego drugi koniec ginął w dwóch walcach o wymiarach butelek, zawieszonych na piersi mężczyzny. Starszy pan zbliżył się o dwa ostrożne kroki, nie spuszczał ze mnie uważnego spojrzenia, a ja rewanżowałem się tym samym. Włosy, na górze głowy przerzedzone a na skroniach siwe, miał przystrzyżone przez znakomitego mistrza, ubranie pochodziło co najmniej od „H-M” albo jeszcze czegoś lepszego. W każdym razie wiało od niego dobrobytem. I pewnością siebie. I wściekłością.

–Zanim pan mnie przepołowi, jak tego biedaka na wyspie, muszę ostrzec, że zabezpieczyłem się. Może nie jest to czyn chwalebny, wręcz nosi znamiona święstwa... – pozwoliłem sobie na krzywy uśmiezek, laser wytrzymał to. – Krótko mówiąc, ktoś podszywając się pod mnie, dotrze i zabije Guylorda, panie Guylord.

Richmond Marc Guylord, starszy o jakieś dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat R.M. Guylord, parsknął krótkim nieprzyjemnym śmieszkiem. Jak na starego człowieka całkiem pewnie trzymał broń, musiała być lekka jak piórko, ten śmieszek nie odbił się na wylocie lufy. Guylord zrobił jeszcze dwa kroki, staliśmy teraz oddzieleni od siebie pięcio-, sześciometrowym pasem łąki.

–Dobrze, nie zabiję cię od razu. Chociażby dlatego, że w pewnym sensie jestem zdziwiony twoją operatywnością. Z całą pewnością postąpiłem słusznie właśnie cię wynajmując do wykrycia tych trywialnych, w gruncie rzeczy, zamachowców.

–Może i trywialnych, ale to ja ich nakryłem...

–No i dobrze. Zapłaciłem ci za to...

–Chyba: zapłacę? – Wskazałem brodą lufę lasera.

–To też – uśmiechnął się wrednie. – Ale do rzeczy: powiesz, co mi grozi, nie masz wyboru. Odpalę ci ręce, to będzie bolało...

–Będę kopał – poinformowałem go.

–Słusznie, zacznę od nóg.

Odetchnąłem z ulgą, starając się, by tego nie zauważył. Wydusiłem z suchych ślinianek kilka drogocennych kropeł i łakomie je połknąłem.

–No to mów! – ponaglał mnie Guylord. – Zresztą... nie! Najpierw rozbierz się. Lewą ręką, prawą trzymaj z daleka od ciała.

–Ma pan niezły gust, podobno jestem zupełnie dobrze zbudowany... – powiedziałem zrzucając marynarkę i ściągając w dół suwak koszuli.

–Najpierw pozbądź się swoich ulubionych gadżetów, a potem będziemy napawali się mięśniami. Ściągaj wszystko!

Spokojnie, wolno, nie dając „powodów do niepokoju” zdjąłem z siebie ubranie i bieliznę i kopnąłem kupkę rzeczy w stronę Guylorda. Popatrzyłem na niego pytająco. Para jego oczu i rubinowy ślep lasera czujnie przyglądały mi się.

–Wolno okręcić się – zażądał.

Wykonałem polecenie, przy okazji lustrując najbliższe otoczenie.

–Teraz słucham: jak doszedłeś do tego, że tu jesteś? Czekaleś na mnie?

–Oczywiście – rzuciłem lekceważąco. – To akurat wiedziałem od dość dawna. Trafiłem w słowniku na termin „flashback”, – wspomnienie, reminiscencja, scena z przeszłości. Skojarzyłem trochę...

–Jak? – był szczerze zainteresowany.

–Zawsze szuka się najbardziej zainteresowanego, to elementarne. Najbardziej zainteresowany w tym, żeby Guylord nie zginął, był Guylord. Trochę może naginam teraz fakty, ale już wcześniej tak to czułem. Potem zbadałem okoliczności interwencji w bazie księżycowej i choć pozornie – wywoziłem stamtąd zero, to potem okazało się, że widziano blueballa tuż obok lotniska Pouncy’ego i tuż obok bazy na Księżycu. Absurdalne czy nie, ale uwierzyłem świadkom. A gdy do tego dodałem Yolana Heyrouda i jego ideę zapanowania nad czasem... Dwa i dwa to dwadwa.

–Zgrabne – pochwalił mnie Guylord. – A potem dodałeś do tego moją ucieczkę z tego miejsca, tak? – Skinąłem głową.

–A data? Skąd wiedziałeś kiedy?

–Z prostych obliczeń wyszło, że nieznaną osobnik interweniuje w dość precyzyjnie określonych ramach czasowych: co sześć dni. Weźmy chociażby zabójstwo Pouncy’ego, pierwszy zamach na mnie, interwencję na Księżycu, drugi zamach...

–Wiem, wiem! – przerwał mi i zamilkł z zaciśniętymi wargami. – Muszę przyznać... – powiedział z namysłem -...że nie jesteś człowiekiem o ciasnych horyzontach. Tylko to... Gdyby nie to, nigdy nie uwierzyłbyś w absurdalne wnioski, choć do innych dojść się nie dało. Każdy inny policjant odrzuciłby wyniki przemyśleń...

–Nie jestem policjantem – przerwałem mu. – A już Sherlock Holmes mawiał: jeśli odrzucimy wszystko, co nie jest prawdą, to cała reszta, jakakolwiek była, jest prawdą.

Mniej więcej tak...

–No, to teraz idziemy dalej...

–Ja nigdzie nie idę – pokręciłem głową. – Chyba że najpierw ja dowiem się czegoś – Ciekawe... A czegoż to chciałbyś się dowiedzieć?

–Stoję przed faktem podróży w czasie, czyli Heyroud zrealizował swoje marzenie. Pewnie go pan już zabił, ale mniejsza o to. Przepraszam za sformułowanie. Chodzi mi o to, dlaczego w ogóle pojawił się pan w naszych czasach? Przecież to nic ciekawego widzieć to, co już się przeżyło? Nie lepiej było skoczyć w przyszłość?

–A cholera ją wie, czy w ogóle istnieje! – powiedział rozeźlony. – Jak na razie nie udaje nam się jej sforsować. Natomiast pierwsze pytanie... – Poprawił uchwyt na lufie lasera. – Widzisz... Yolán ostrzegał mnie, że każda interwencja w przeszłość odbija się w przyszłości i nie zawsze można przewidzieć te powiązania. Właściwie wcale nie można ich przewidzieć. A ja nie uwierzyłem mu za pierwszym razem, pół roku temu, nie wytrzymałem i skorygowałem nieco swój własny życiorys. Drobiazg, ale ruszyła lawina. Chodzi o to, że – jak sam zauważyłeś – ja, którego znasz, mam skrupuły, obiekcje i wyrzuty sumienia. Wycofuję się, z czego tylko się da wycofać, wracam do stanu sprzed piętnastu lat. W takim nawróceniu będę trwał około dziesięciu lat zanim zrozumiem, że uczciwe życie jest najnudniejszą i najmniej potrzebną rzeczą. Wróciłem do życia aktywnego, ale stało się to nieco za późno. W każdym razie to, co mogłem osiągnąć, nie wygłupiając się z uczciwością, bezpowrotnie umknęło.

–I dlatego postanowił pan skorygować swoją przeszłość, żeby to coś stało się możliwe. A co jest to „coś”, jeśli można zapytać?

–Świat, władza... To wszystko...

–Ależ to pospolite, panie Guylord! Fe!

–Może, ale czego jeszcze można pragnąć mieszkając na Ziemi?

–No tak... I co dalej?

–Proszę, jak mnie pogania?! – Roześmiał się. – Niech ci będzie. Pół roku temu

nie wytrzymałem i przeszkodziłem samemu sobie w wykonaniu pewnej wolty finansowej i okazało się, że ma to reperkusje w postaci chęci zamordowania mnie przez jakiegoś świeżo upieczonego bossa. Musiałem więc interweniować po raz drugi, przy czym te interwencje, przyznaję, nie były szczególnie subtelne, nie pozwalał mi na to czas... Mogłem tu się pojawiać co sześć dni, nie częściej, i tylko na dobę... Siłą rzeczy, jak już się pojawiałem, to musiałem działać radykalnie, a to z kolei pociągało za sobą konieczność następnych interwencji. Również na Księżycu. Zwłaszcza, że głupie moje dzisiejsze ja zaangażowało wścibskiego detektywa. I zmusiło mnie do zajęcia się nim...

–Ale co by pan zrobił, gdyby nie ja?

–Zrobiłbym tyle, że aktualny Guylord nie wydurniałby się z uczciwym życiem; już po ośmiu, dziesięciu latach, gdybyś go nie zauroczył, stałby się panem świata!

–A nie sądzi pan, panie Guylord Starszy, że gra nie jest warta wysiłku? Albo że się nie uda?

–Uda się, uda! – powiedział z przekonaniem, zupełnie, jak Phil. Tym przekonaniem obaj nadrabiali jego brak.

–Teraz już się uda...

–Chyba, że zginie Guylord Młodszy, panie Guylord Starszy.

–Owszem, ale to wykluczam.

–Dlaczego?

–Dlatego, że ty już wiesz, nie wyjdiesz stąd żywy. Ale może wyjść z tego żywa rodzina. I jeszcze kilka osób. Nie zawaham się i sprzątnę po kolei wszystkich bliskich ci ludzi... Ty to wiesz...

–Może...

–Więc masz do wyboru: moje słowo honoru...

–Twoim słowem honoru nie podtarłbym sobie nawet, tyłka w obawie o wrzody!

–Jaki hardy! – powiedział pozornie spokojnie, ale widziałem, napięły się mięśnie palców obejmujących lufę lasera. – Za chwilę odetnę ci jedną z nóg, albo obie, jeśli nie wyceluję starannie.

–A ja w podziękowaniu wyznam ci wszystko?!

Zastanawiał się chwilę nad moim pytaniem-wykrzyknikiem. Na kilka sekund spuścił mnie z oka i szybkim spojrzeniem zlustrował okolicę. Zatrzymał dłużej wzrok na bastaadzie. Zobaczyłem, jak rozbłysły mu oczy. Widziałem kiedyś takie spojrzenie.

Kilkanaście sekund szczęścia sadysty.

–Zacznę inaczej, a ty sprawdź swoją odporność... – Zerknął znowu na wóz i gwizdnął. – Te-ba! – zawołał.

Teba wyrzwała przez przednią szybę, nie zobaczyła niczego dziwnego w tym, że jej pan stoi goły przed lufą lasera, który zostanie wykonany za dwadzieścia lat, i wyskoczyła zgrabnym łukiem przez boczne otwarte okno. Dysponowałem już tylko kilkoma sekundami. Dłonie miałem zaciśnięte w pięści, teraz zmieniłem nieznacznie układ palców i nacisnąłem kciukiem paznokiec palca wskazującego. Sensor zadziałał. W tej samej sekundzie – Teba biegła w naszym kierunku, Guylord zaczynał przenosić wylot lufy w jej stronę, a ja usiłowałem jak mogłem najszybciej opaść na plecy – bastaad rzygnął kilkoma tysiącami pocisków-igieł z dwu drizzlerów. Poczulem, jak powietrze rozstępuje się przed stalową lawiną, ale dużo skuteczniej poczuł to Guylord – waląc się w gęstą trawę zobaczyłem, jak z kilkuset malutkich ran tryska jego krew. Metalowa chmura cofnęła go o pół kroku, okręcił się, zdążył obrzucić mnie spojrzeniem pełnym zaskoczenia i runął w trawę. Samego upadku już nie widziałem, ponieważ to ja pierwszy zwałem się pomiędzy wysokie źdźbła. Nie miałem widowni i nie było kamery, mogłem więc spokojnie przeleżeć chwilę, i to nie obawiając się o swoje życie. Teba, a właściwie jej język ślizgający się po mojej złanej potem twarzy, zmusił mnie do otwarcia oczu. Czulem ohydny słabość w kolanach i dzikie podskoki prawej powieki, czulem też zapach świeżej krwi i niezbyt mnie cieszyło, że to nie moja krew. Przekręciłem się przez bok i przywarłem całym ciałem, twarzą do pachnącego zielenią i ciepłym dywanu traw. Kilka minut wdychałem ten aromat, szukałem w nim bodźca, zachęty do ruszenia się i dokończenia tego, czego nikt mi nie kazał zaczynać. W końcu wstałem i ubrałem się.

Guylord, starszy o dwadzieścia kilka lat od znanego mi osobiście, leżał na plecach z rozrzuconymi rękami, koszmarnie posiekany przez pociski z nieludzkiej broni. Na piersi, „tam gdzie musiały nałożyć się na siebie dwie chmury pocisków, krzepła plama krwi wielkości sporego talerza, inne pociski zostawiły pojedyncze, malutkie kropelki-strupki. Laser leżał na przedłużeniu prawej ręki, palce” wciąż zaciskały się na spuście, rubinowe oczko na wylocie lufy) jarzyło się, czało, gotowe parsknąć śmiertelnym światłem. Ostrożnie obszedłem Guylorda, przegoniłem do samochodu Tebę, która zamierzała podejść do ciała akurat polem ostrzału lasera, i delikatnie wyplątałem palec zabitego z ochronnego kabłąka nad spustem. Nie dotykając żadnego z kilkunastu owalnych przycisków podniosłem strzelbę, akumulator

wypiąłem z szelek i zaniósłem wszystko do blueballa. Udało mi się znaleźć przycisk zwalniający klapę bagażnika, wrzuciłem doń laser, wrzuciłem? włożyłem delikatnie i wróciłem do ciała. Dłonie zabitego niemal nie miały ran, chwyciłem za nie i zawlokłem go do wozu, za nami został szeroki pas zgniecionej, zalanej krwią trawy.

Po włożeniu Guylorda na tylne siedzenie pochyliłem się i nie wsiadając do blueballa obejrzałem deskę rozdzielczą. Różniła się znacznie od znanych mi, pod zamaskowaną klapą

odkryłem pulpit czegoś, czego żaden ze współczesnych samochodów nie miał – sterownik maszyny czasu. Były to dwa nadspodziewanie proste w odczycie ekrany, jeden wskazujący datę i godzinę, którą wskazywał również mój zegarek, i drugi, na którym znalazłem dzień, miesiąc i rok, z którego przybył Guylord. Ta informacja była dla mnie bardzo cenna, miałem nawet zamiar zapytać o nią samego Guylorda seniora i zrobiłbym to, gdyby bieg wypadków nie uległ przyspieszeniu. Oba ekrany otoczone były podwójnymi szeregami przycisków opatrzonych napisami znanymi z klawiatury kompów, ale tylko częściowo. Zastanawiałem się, na przykład, chwilę co może znaczyć „DEGR” albo „CO” czy „PHL” i co się stanie, jeśli nacisnę ten właśnie klawisz. W końcu uznałem, że tu niczego nie należy ruszać. Ekran, wskazujący dane z przyszłości, w górnym prawym rogu bezgłośnie odstukiwał czas do automatycznego powrotu, co do tego nie było wątpliwości. Jeszcze siedem godzin z minutami. Zatrzęsnałem drzwiami wozu i zapaliłem papierosa. Musiałem zdecydować się albo na siedmiogodzinne czekanie, albo na podpalenie wozu, albo na pozostawienie go własnemu losowi. Wróciłem do bastaada i dopiero gdy sięgnąłem do skrytki przypomniałem sobie, że cały zapas alkoholu został w garażu, a gdy roześmiałem się z własnej głupoty, zastanowiło mnie coś w paśmie drzew oddzielających łąkę od szosy. Szybko wyjąłem lornetkę i jednym okiem, nieznacznie wysuwając głowę ponad deskę rozdzielczą, zlustrowałem długą kępę drzew i krzewów. Poprawił mi się humor, poklepałem Tebę po łbie i uruchomiłem silnik. Po własnych śladach wycofaliśmy się na szosę, tam już bez wyrzutów sumienia przyduśiłem gaz do dechy, przed domem zahamowałem marszcząc glasfalt, ale i tak nie zdążyłem. Kiedy wszedłem do salonu, Doug właśnie mówił do Nicka:

–Rodzaj gilotynki do cygar...

–Jeszcze kilka dni temu uważałem, że jestem człowiekiem, który nie używa, jak mawiał sierżant Kaszel: „słów na ka, na cha i na dupa”. Ale im częściej was widuję, tym słowa owe mocniej cisną mi się na usta! – Podszedłem do barku i nalałem sobie pół szklanki czystej whisky. W głuchoj ciszy, emitowanej, choć brzmi to paradoksalnie,

z tyłu, wychyliłem zawartość szklanki. Odwróciłem się.

–Rodzaj gilotynki do cygar? – powiedział Nick, ale zapomniał popatrzeć przy tym na Douga.

–Tak – machinalnie odpowiedział Sarkissian, również wpatrzony we mnie.

–Dajcie spokój... – Podszedłem do nich z butelką w dłoni i nalałem do prawie pustych szklanek. – Nie uda się już wam mnie wnerwić. Możecie robić, co wam się żywnie podoba, a i tak zostaniecie moimi jedynymi wspaniałymi, niepodważalnymi przyjaciółmi. – Napawałem się ciszą jeszcze głębszą niż poprzednia i minami Nicka i Douga. – Jeszcze coś powiem i kończę. Wczoraj powiedziałem Guylordowi, że jedyna rzecz, na jaką mogę liczyć, są moi przyjaciele. Szczerze mówiąc, chwilę po tej wypowiedzi zbeształem sam siebie za takie gadanie, pomyślałem, że wysmknęło mi się to tylko dla okrągłego ładnego zdania. Ale godzinę temu musiałem sam sobie pogratulować; nieświadomie, ale powiedziałem wtedy zdanie ładne i prawdziwe. – Uniosłem szklankę do góry: – Piję wasze zdrowie.

Ponad brzegiem przechylonej szklanki zobaczyłem spoconą twarz Nicka i zarumienioną Douga. W jakiś idiotyczny sposób skojarzyli mi się z niedbale sfastrygowanymi rękawami, parsknąłem krótkim śmiechem.

–Prosimy o wyjaśnienie – wykrztusił Sarkissian. – Takie napady u ciebie zdarzają się rzadko i włącz magnetofon.

Zwaliłem się na fotel i już mniej łapczywie łyknąłem ze szklanki.

–Wiesz, kogo zastrzeleś? – popatrzyłem na Douga. – Nie rób głupich min! – Wysunąłem w jego kierunku wskazujący palec. – Owszem, najpierw pomyślałem, że to pokryły się dwa trafienia drizzlerów, ale potem zrozumiałem, że Guylord dostał jednocześnie albo chwilę wcześniej pocisk w plecy, który nie wyszedł już z drugiej strony.

A potem zdążyłem zauważyć twoje oczęta w kępie krzewów... No, i jeśli dodać wasz dziwny brak troski o mnie...

–Brak troski??? A kto omal nie wybił oka w parku kijem jednemu z moich chłopaków? – zaprotestował Doug.

–Ja! – przyznałem się.

–A kto... – zaczął, ale przerwałem mu:

–A kto wie, kogo zastrzeliliśmy?

Obaj wzruszyli ramionami. Westchnąłem i pokiwałem z politowaniem głową i natychmiast załała mnie fala wstydu. Szybko odpowiedziałem na własne pytanie:

–Guylorda! Starszego o ćwierć wieku. Wierzycie mi?

Uwierzyli po osiemdziesięciu minutach opowiadania i przekonywania. Staczaliśmy się po równi alkoholowej jeszcze drugie sto pięćdziesiąt minut, dopiero gdy Nick na pytanie o godzinę odpowiedział:

–Dzieś... obok trzec... trzeciej?

Chórem, dwuosobowym chórem uznaliśmy go za największego pijaka po mnie. Straciliśmy jeszcze pół godziny i pół butelki na rozmieszczenie się po łózkach. A jeszcze potem usiłowałem wystukać kod do Pymy, ale byłem na tyle rozsądny, że zrezygnowałem już po siódmej próbie. Zmęczony zasnąłem w fotelu przy telefonie.

Epilog

Dobrze po osiemnastej – zadzwonił Doug, żeby powiedzieć, że blueball, pilnowany przez dwu jego podkomendnych, zgodnie z moimi przypuszczeniami punktualnie o szóstej zniknął, pozostawiając po sobie tylko cmoknięcie w uszach agentów. Chwilę rozważaliśmy z Dougiem implikacje tego faktu i jeszcze kilka innych spraw, pod koniec rozmowy Sarkissian niedbałym tonem zadał najważniejsze pytanie:

–Dalej masz zamiar powiedzieć wszystko Guylordowi?

–Tak.

–Pytam cię po raz któryś: po co? Skomplikujesz swoje i jego życie, cokolwiek stanie się z Pymą, czy Philowi ktoś podstawi nogę – będziesz zastanawiał się, czy to nie zemsta Guylorda.

–Prze-ry-so-wu-u-jesz!... – wysylabizowałem lekceważąco.

–A jeszcze taka sprawa: co będzie, jak zada ci to samo co i ja pytanie?

–Odpowiem mu to, co odpowiedziałem wczoraj i tobie: – Nie mogę żądać uczciwości wobec siebie, jeśli choć raz sam okażę się nieuczciwy. Howgh!

Musiał poprosić technika, żeby dorobił mu jakiś układ, który pozwalał głośno wyrażać niezadowolenie z zakończonej właśnie rozmowy. W każdym razie głośniki nieźle huknęły.

W pół godziny później siedziałem już za kierownicą bastaada w drodze do cesarstwa R.M.G. Wciąż ten sam oddźwierny, nie mając instrukcji co do mnie, podszedł ni to wolno, ni to szybko, ani się uśmiechał, ani też nie miał ponurej miny. W każdym razie nie był to jego popis. W sekretariacie mogłem poczuć się raźniej – sekretarka widząc mnie wskazała prawą dłońią fotel, lewą wystukując szefowi na klawiaturze, kto zamierza dostać się przed jego oblicze. Kilkanaście sekund później poderwała się i wdzięcznie majątając kuperkiem – za co wyrzuciłbym ją z pracy – podprowadziła mnie pod drzwi do gabinetu szefa, a w idealnie zsynchronizowanym momencie, chociaż nie, Richmond Guylord nie bawiłby się w takie idiotyzmy, po prostu – otworzył drzwi do gabinetu, akurat wtedy, kiedy trzeba było to zrobić, żebym nie musiał stać pod nimi. Niespecjalnie ucieszył go mój widok.

–Coś się stało? – zapytał szybko, wyraźnie śpiesząc się.

–Owszem, odkryłem twojego Anioła Stróża.

–O? No to świetnie – ucieszył się, ale nie tak, jak się spodziewałem. – I kto to jest? – Dyskretnie zerknął na zegarek.

–Jeśli śpieszysz się, to umówmy się w innym terminie... – zaproponowałem. –

Ale sprawa jest ważna, zwłaszcza dla ciebie.

–No to poczekaj... – Poderwał się i siedząc na biurku wydał kilka dyspozycji sekretarce, potem wrócił na fotel.

–Wracając do twojego pytania – kto to jest? Odpowiedź brzmi: ty! Tyle, że nie „jest”, a „był”. Coś z tego rozumiesz?

Pokręcił wolno głową. Zmrużył powieki i wysunął do przodu żuchwę, jak zazwyczaj robią ludzie zastanawiając się nad jakimś problemem.

–No to wyjaśniam... Twój Heyroud jest opętany manią władzy nad czasem, to jest problem, nad którym pracuje, i za jakiś czas uda mu się zbudować urządzenie, które pozwoli na cofanie się w czasie. Mniej więcej wtedy również jego pracodawca... – wskazałem Guylorda dłońią-...dojdzie do wniosku, że decyzja sprzed iluś lat, chęć pozostania uczciwym obywatelem, była największym błędem życiowym. Bo gdyby tak nie zdecydował, to mógłby zapanować nad światem. Bierze więc maszynę czasu, wraca i nieco podretuszowuje swoją przeszłość, żeby poprawić przyszłość. Tak ty sam mi to tłumaczyłeś, rozumiesz?

–Nie, ale mów dalej.

–Noo... Zabawa okazała się trochę niebezpieczna, o czym uprzedzał Heyroud i trzeba było interweniować bardziej zdecydowanie, w każdym razie ty sam wywołałeś zamachowca i sarnę go zlikwidowałeś. I w ogóle trochę się zaplątałeś, Guylord, ale zawsze niedoszli władcy świata sami tak się zaplątają w intrygach, knowaniach, oszustwach, że to, co się później z nimi dzieje, jest tylko zwykłą konsekwencją tego postępowania.

Wciąż ze zmrużonymi oczami opadł na oparcie fotela i myślał nad czymś intensywnie.

–Gdybym przeczytał w jakiejś książce, że detektyw serwuje takie rozwiązanie...

–Przeczytasz... – przerwałem mu. – Mam zamiar szybko to napisać, to jeden z elementów mojego zabezpieczenia przed zemstą.

–Zemstą-ą? Czyją?

–Twoją...

–Mo... moją? – Poderwał się i zaraz opadł w fotel, musiało dopiero teraz coś do niego dotrzeć.

–Wczoraj spotkałem się z tobą, tyle że nieco starszym. Ten Guylord Senior postanowił zabić mnie, a potem być może jeszcze parę osób, żeby dokładnie zamieść

ślady. Wybacz, Richmond, ale to nie był normalny człowiek, raczej dewiant, paranoik czy jeszcze coś innego...

–Teraz dociera do mnie... – powiedział wolno. – Zabiłeś go?

Pokiwałem głową. Guylord skrzywił się i poruszył szczękami, jakby rozcierając między nimi przekleństwo albo pestkę.

–Myślę o nim... o! nawet mówię „on”, nie „ja”... Nie można uwierzyć, że ktoś już mnie zabił! – Wzruszył ramionami. – Ty nie czujesz w tym jakiegoś fałszu?

–Nie, ale ja widziałem cię wczoraj i widzę dzisiaj.

–Nie, to któryś z tych książkowych paradoksów...

Wstałem i klasnąłem w dłonie.

–No, to już twoja sprawa. Ja powiedziałem, co musiałem powiedzieć, rachunek prześlę w przeciągu dwóch, trzech dni...

–Czekaj! Guylord poderwał się również. – Chcesz powiedzieć, że mnie zastrzelełeś i po tej informacji wychodzisz sobie?

–A co, mam ci złożyć wyrazy współczucia? – ominąłem go i podszedłem do drzwi. – To był niebezpieczny chory człowiek, nieuleczalnie chory. A tak przy okazji – ktoś powiedział, że złym może się stać ten człowiek, który jest zły.

–A ja co: mam ci podziękować? Czy w rachunku będzie także pozycja – zabójstwo klienta?

–Guylord, tracisz panowanie nad sobą, to nie w twoim stylu. Prymitywna zemsta to też rzecz nie w twoim stylu, ale na wszelki wypadek informuję: jeśli stanie się coś mnie lub mojej rodzinie kilka godzin później będziesz wiedział, w jakim dniu tygodnia zabiję cię w przyszłości. Będziesz się zastanawiał na przykład, czy już ten piątek będzie ostatnim czy też dopiero jakiś inny... Jeśli to był piątek...- Trąciłem kławkę. – Nie próbuj mnie ruszać, jeśli nie chcesz umierać 52 razy w roku. W razie mojej śmierci dostaniesz listy z nazwą dnia tygodnia od osiemdziesięciu adwokatów z całego kraju, i to jest takie doraźne opancerzenie. Potem będzie książka...

Odwrociłem się i po raz ostatni w życiu przekroczyłem próg gabinetu Richmonda Marca Guylorda, którego zabiłem przedwczoraj szóstego czerwca, a właściwie, dwudziestego marca 2089 roku, to znaczy za dwadzieścia osiem lat. Co za paranoja – chcesz zabić człowieka? – możesz zrobić to zawsze – dziś, jutro, wczoraj... Czas ci sprzyja...

Zaparkowałem przed domem i w tej samej chwili zatrzymała się przed nim taksówka. Phil wyskoczył i biegł w moim kierunku ze spojrzeniem wbitym w nowy

stary dom. Od ganku ujadając gnała Teba. Phil zawisł mi na szyi i włączył nadawanie:

–A-kochas-mnie-a-mama-kupiła-mi-beemwura-i-bab-cia-się-ucieszyła...

Zabrakło mu tchu i dlatego mogłem się włączyć:

–Kocham cię i zbiję mamę, a babcię może też. A na pewno stłukę takiego chłopaka, który mówi „sceka” zamiast „szczeka”, znasz takiego?

–Aha! – Wyrwał się z objęć i popędził do domu. Wyjąłem Pymie z ręki torbę, objąłem i poszliśmy, co kilka kroków hamując, żeby nie zdeptać oszalałej ze szczęścia Teby. Gdy do drzwi brakowało mi najwyżej dwóch metrów, okno w pokoju Phila otworzyło się i wysunęła się jego wściekła buzia.

–Nie ma mojego panopka z Lego! – wrzasnął.

Odwrociłem się do Pymy i złożyłem błagalnie ręce.

–Pyma! Ile on miał tych kompletów?

–Czterdzieści trzy – odpowiedziała lodowatym tonem.

–Teraz ma siedemdziesiąt! To chyba...

–Ale nie ma panopka! – krzyknęli jednocześnie.

Opuściłem głowę i ponuro wszedłem do livingu. Przemknęła mi przez głowę myśl, że zbyt pochopnie zrezygnowałem z maszyny czasu. Teraz skoczyłbym do przodu o jakieś dziesięć lat i popatrzył na swojego syna. A jeśli nie byłby taki, jak sobie wymarzyłem – w łeb szczenią...

–Ale cię nabrałem! – usłyszałem ze schodów. – Są nawet dwa panopy.

Wróciłem do myśli, która mi przed chwilą błysnęła.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-04-21

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/